



NOVAE RES

20

49

Rafał Cichowski



To było dobre życie.

Właściwie tylko tyle zdążyłem pomyśleć, zanim moje okno wypełnił kadłub samolotu pasażerskiego i cały świat stanął w ogniu. Eksplozja za eksplozją. Dokładnie cztery głucho uderzenia przebijające się przez delikatną membranę snu, rozklejające powieki i wpuszczające do głowy zimny powiew rzeczywistości o czwartej nad ranem.

Albert zawsze puka do drzwi. I zawsze wpada tu bez zapowiedzi, najczęściej w środku nocy, nawalony, cały przesiąknięty zapachem whisky i drogich kobiecych perfum, żeby opowiedzieć mi ze wszystkimi szczegółami, co się wydarzyło tego wieczoru. A ja zawsze daję mu te kilka chwil niepewności, czekam do momentu, w którym za drzwiami usłyszę zniecierpliwione szuranie, i dopiero wtedy podnoszę się, zataczam w półśnie przez długi korytarz i otwieram te drzwi, bo od tego są kumple.

– Człowieku... – mówi, praktycznie taranując mnie w wejściu. To też część rytuału. Podobnie jak wtargnięcie do mojej kuchni. Znika tam na dobre pół minuty okraszonej trzaskaniem szafek i dźwiękami butelek przetaczających się po granitowych blatach.

– Nie masz lodu – oznajmia wreszcie, wyłaniając się ze środka z dwiema wypełnionymi po brzegi szklankami, po czym idzie pijanym krokiem do salonu. Siadamy w najnowszych, masujących plecy fotelach firmy Ironthron, które kupiłem sobie za ostatnią premię. Albert nie komentuje ich. Przechyliła drinka i każe mi słuchać uważnie swojej historii.

– Szkolenie ze strategii komunikacji, dwa lata temu, kolacja zapoznawcza – zaczyna. – Upiliśmy się tam w towarzystwie pewnej bardzo interesującej niewiasty – mówi, ilustrując słowo „interesującej” niedwuznacznym gestem, tak żebym na pewno wiedział, że chodzi mu o jej kształty.

– Pamiętam, Al. Mieliśmy wspólny pokój, więc nocowałem w restauracji – przypominam mu. – Weronika jak-jej-tam?

– Nieważne – ucisza mnie. – Ściany mają uszy. W każdym razie byłem dzisiaj na spotkaniu z menedżerami z ATL. Przyszedł też szef. Z żoną. Zgadnij, kim jest żona szefa? Poczekaj, podpowiem ci – mówi, odkładając na chwilę drinka, żeby znów obrazowo powymachiwać łapami.

– Miasto jest małe.

– Za małe. Ale słuchaj dalej. Dziewczyna podchodzi do mnie, przedstawia się z imienia i nazwiska i podaje sztywno rękę, więc wiem, że rozmowa o „starych dobrych” nie wchodzi w rachubę. Jak ktoś zapyta, to się nie znamy. Spoko. Siedzimy tam jedną godzinę, drugą godzinę. Gadamy o kompletnych pierdołach, gratulujemy sobie zdobycia nowego klienta przy każdym toaście, ale widzę, że ona cały czas szuka kontaktu wzrokowego. Coś ją gryzie.

– Wysłała ci wiadomość – zgaduję.

– W sali jest zakaz używania sprzętu przy rozmowach biznesowych, zwłaszcza po drinku, żeby przypadkiem nie zarejestrować prezesa opowiadającego świński dowcip albo historię ustawionego przetargu. Nieważne. Ważne jest to, że od whisky chce mi się szczać.

– Wiesz, gdzie jest kibel – mówię.

– Nie teraz. Wtedy. Więc wstaję i wychodzę. A ona wychodzi zaraz za mną. Dogania mnie i przypiera do ściany, mówiąc, że jak cokolwiek mi się wymysknie, słowo, gest, spojrzenie, to ona utnie mi jaja. Używa dokładnie tych słów: „uciąć” i „jaja”. Na co ja pół żartem, pół serio odpowiadam, że oczywiście, od razu przeczytałem to w jej ciepłym spojrzeniu, którego, nawiasem mówiąc, do dzisiaj nie mogę zapomnieć. I wtedy staje się coś ciekawego. Gadka nagle zaczyna kleić się tak dobrze, że nawet wracamy wspomnieniami do pamiętnego wyjazdu na szkolenie. Znasz mnie, nie jestem facetem, który często odmawia, ale mam swoje zasady. Gdzieś w głębi czuję, że już dawno powinienem zakończyć naszą małą, miłą pogawędkę przy kiblu, ale widzę, że dziewczyna dała się porwać wspomnieniom o tych naszych ekscesach. Pozwalam jej dać się ujeżdżać mentalnie jeszcze jakiś czas. Jest ten klimat, alkohol, niedwuznaczne aluzje i spojrzenia, wiesz, o czym mówię. Wszystko płynie. Miód z pieprzem. I w momencie, gdy ona rzuca: „Gdyby Henry wiedział, że to zrobiłam, na pewno by nie uwierzył”, zgadnij, kto pojawia się w korytarzu?

– Prezes.

– Prezes – powtarza ponuro. – Sam pieprzony Henry „Wrogie Przejęcie” La Fayette podchodzi, spogląda mi prosto w oczy tym swoim twardym, biznesowym wzrokiem, nie jej, ale mnie, i spokojnie pyta: „Nie uwierzyłbym w co?”.

Albert przerywa na moment, żeby dolać sobie whisky. Robi to wyłącznie po to, by spotęgować narastające napięcie. Uwielbia to. Tę rozmowę, tę whisky i to życie.

– Stary. Wyobrażam sobie, że lecę z tego sto osiemdziesiątego piętra prosto na glebę, że on po prostu łapie mnie za szmaty i jakimś cudem wyrzuca przez to niezniszczalne okno. Ale w ostatniej chwili, w przeblysku geniuszu albo w przypiływie

głupoty czy odwagi, odwracam się do jego żony i mówię: „Przykro mi, ale muszę o tym powiedzieć prezesowi”. Dziewczyna blednie, praktycznie mdleje. A ja kontynuuję: „Pańska żona pytała mnie właśnie o zdanie na temat niespodzianki, którą szykuje na pańskie urodziny”. Boom!

– I co? Łyknął to?

– Od razu. Nie pytaj mnie, w jaki sposób przypomniałem sobie, że prezes ma urodziny w przyszłym tygodniu, ale pewnie dlatego tu teraz siedzimy. W każdym razie nagle wszystko zaczyna nabierać nowego sensu. Jej rumieńce na twarzy nie są już rumieńcami zawstydzonej żony, przyłapanej na wspominaniu przygód z przypadkowym kolesiem, ale rumieńcami żony, która chciała dobrze. Moje zdenerwowanie też jest zupełnie na miejscu, w końcu wpadłem w sytuację bez wyjścia i musiałem wybierać pomiędzy dochowaniem powierzonej tajemnicy a lojalnością wobec mojego pracodawcy. Wybrałem najlepiej, jak potrafiłem. I słuchaj dalej tego: pieprzony Henry „Zwalniam Was Wszystkich” La Fayette uśmiecha się, odprawia swoją żonę do stolika, obejmuje mnie ramieniem i gdy już myślę, że jednak plan nie wypalił, że prowadzi mnie w ciemny róg korytarza, żeby wypruć mi tętnicę z szyi stłuczonym kieliszkiem, on mówi: „Cenię ludzi lojalnych i szczerych. Zapraszam do mojego gabinetu w poniedziałek, renegocjujemy warunki pańskiego zatrudnienia”.

– Podsumowując: bzyknałeś żonę szefa, a on dał ci awans?

– Kto jest królem?! No, kto jest królem, Rob?! – Wstaje, wydziera się, wznosząc obie ręce ku górze.

Uśmiecham się, wciąż pamiętając, że wszystkie jego opowieści należy przesiewać przez gęste sito. Być może tylko wydawało mu się, że prezes mógł słyszeć ich rozmowę z sąsiedniego pomieszczenia, wszystkie pikantne wspomnienia były niczym więcej, jak wymownym spojrzeniem, którym wymienili się w drodze do kibla, a awans to po prostu nagroda za rok zarzanych nad projektami nocy.

Ale to nieważne.

Albert podnosi się z fotela. Dopiero teraz dostrzegam, jak bardzo jest pijany. Podeszwy jego absurdalnie drogich butów ścierają się z podłogą z prawdziwego drewna, wydając z siebie przeszywające dźwięki. Albert zatacza się w kierunku okna i zastyga tam z czołem opartym o szybę, zostawiając na niej tłuste ślady.

– Ci wszyscy ludzie tam, w dole – mówi, wskazując na nocną panoramę odległego miasta za murem – nawet nie wiedzą, na jakim poziomie tu toczy się gra. To mały. Niedawno zeszli z drzew.

– Myślisz, że mógłby uderzyć w nas samolot? – próbuję zmienić temat.

– Co? – rzuca, nie odrywając wzroku od rozświetlonej przestrzeni.

- Zapomnij. Miałem sen.
- Powinieneś więcej wychodzić. Spotykać ludzi, Rob. To siedzenie w domu ci nie służy.
- Historia zna takie przypadki – przypominam.
- Jak masz jakieś lęki, to idź na zabieg, stary. Ja też kiedyś bałem się przestrzeni, a teraz?

Albert gwałtownie uderza otwartymi dłońmi w szybę, zupełnie jakby chciał ją wypchnąć z ram, ale to ona odpycha go w głąb pomieszczenia. Traci równowagę, ale jakimś cudem i tak udaje mu się wylądować z impetem w fotelu firmy Ironthron, z funkcją masażu, podgrzewania i wentylacji. Opróżniona szklanka bez lodu nie ma już tyle szczęścia i kończy swój żywot jako milion błyszczących i ostrych kawałków rozsypanych po drewnianej podłodze.

– Teraz mogę, kurwa, latać – kończy i wybucha donośnym, histerycznym śmiechem. – Zaraz to posprzątam, stary – mówi, wycierając łzy z kącików oczu.

– Nie przejmuj się – odpowiadam, sprawdzając, która godzina.

Jest czwarta dziesięć nad ranem. Noc wciąż czarna jak smoła. Powoli zaczynam przyzwyczajać się do myśli, że odeślę jego wizytę dopiero po południu. Ruszam do kuchni po odkurzacz. W połowie drogi zatrzymuje mnie głośnie walenie do drzwi.

– Ha, wiedziałem! To dziewczyny, powiedz, że to dziewczyny, Rob – mówi, próbując szybko wyprasować ręką swoją wymiętą koszulę.

– Naprawdę zaprosiłeś do mnie ludzi w środku nocy? – pytam, nie ukrywając zdenerwowania.

– Stary, to nie w moim stylu – tłumaczy się. – Myślałem, że ty się kogoś spodziewasz.

– Nie – odpowiadam, nasłuchując ruchu za drzwiami. Panuje absolutna cisza, ale wiem, że wciąż ktoś tam jest. Po prostu czuję to.

– Hej, wypierdalać! – Albert wydziera się w kierunku korytarza. W tym samym momencie drzwi ustępują z metalicznym trzaskiem, a do środka wpada oddział uzbrojonych ludzi w uniformach. Próbuję usunąć się z drogi, pozwolić im zrobić swoje, ale oni wcale nie przyszli tu po Alberta. Nie są zainteresowani jego obecnością, groźbami ani wulgaryzmami, którymi ich wita.

To mnie rzucają na podłogę, zamiatając moją twarzą kawałki potłuczonego szkła. Chwilę później czyjeś ręce podnoszą mnie do pionu i wyprowadzają w kierunku wyjścia, w kierunku gapiów i kamer, z których każda bez wyjątku rejestruje moje wystraszone i zdezorientowane spojrzenie oraz pokancerowaną twarz. Rejestruje bezbronną kukłę w powyciąganym, podartym szlafroku, pakowaną do windy przy akompaniamencie

wyjących alarmów i informacji o tym, by zachować spokój, bo sytuacja tak naprawdę jest pod kontrolą.

Jadąc po bandzie, musisz liczyć się z tym, że któregoś dnia nie wytrzyma twojego naporu i nagle znajdziesz się daleko poza polem gry, skotłujesz bezwładnie, wytracając prędkość, nażresz ziemi i połamiesz. Ale gdy jesteś jedną z tych osób, która stara się kłaść spać przed północą, ćwiczyć dwa razy w tygodniu i chodzić na basen, gdy nie bierzesz narkotyków, okazjonalnie upijasz się na bankietach z przełożonymi, ale zawsze jesteś w stanie wrócić do domu o własnych siłach, gdy twoje życie kręci się wokół dobrze płatnej, ciekawej pracy, w której od kilku lat robisz niewiadzącą nikomu, pozbawioną wrogich przejęć karierę, gdy twoi znajomi to gromada przeważnie zawianych, ale niegroźnych koleśków, którzy głównie rozmawiają o pracy i kobietach, gdy kobiety, z którymi sypiasz, wskakują ci do łóżka z własnej woli i nie mają wspomnień związanych ze zbyt zazdrosnymi facetami, gdy historia w twojej przeglądarce nie składa się wyłącznie z haseł nawiązujących do twardej pornografii, domowej produkcji bomb oraz sposobów utylizacji zwłok, gdy starasz się dopasować do otoczenia i żyć tak, aby nie przeszkadzać swoim życiem innym, naprawdę nie masz się o co martwić. A sytuacje takie jak ta są po prostu nieporozumieniem, za które już niedługo otrzymasz ogromną rekompensatę.

Nie rozumiem, jak można człowieka pozbawić wszystkiego i wrzucić do tej szklanej klatki, zupełnie jak jakieś zwierzę? Mam teraz dużo czasu na myślenie, bo oto mija siedemdziesiąta druga godzina, jak tkwię tu kompletnie sam, w ciszy, pod całodobowym nadzorem kamer i czujników ruchu. Brak konturów, kolorów, jakichkolwiek dźwięków, kontaktu z ludźmi i świadomości cyklu słońca powoli zaczyna wywierać wpływ na moją psychikę. Czytałem o tym kiedyś. Po niedowierzaniu przychodzi gniew, później chcesz negocjować, na końcu czeka jedynie smutek i apatia.

Czwarty dzień. Tak przynajmniej mi się wydaje. Nerwowo przechadzam się po celi od ściany do ściany. Ilekroć kieruję mój wzrok na strażnika, jego ręka wykonuje nieznaczny ruch w kierunku wielkiego, czerwonego przycisku, który wypełni moją klatkę ultradźwiękami i ugotuje mój mózg. W uszach zaczynam słyszeć miarowy szum, swoista

halucynacja powstała z braku bodźców. Już nawet nie myślę o misternie ułożonym życiu, które wali się przez brak zaangażowania z mojej strony, o nieprzygotowanych prezentacjach i przegapionych spotkaniach. Chcę wyjść. Nic więcej.

A co, jeśli zrobiłem coś złego przypadkowo? Skrzywdziłem osobę i zupełnie o tym zapomniałem? Być może jako dziecko zrzuciłem kogoś ze schodów? Utopiłem w wannie siostrę, której nigdy nie miałem? Może wcisnąłem jakąś magiczną kombinację klawiszy na komputerze, a program finansowy wyczyścił komuś konto, skasował życie i ten ktoś umarł?

A może to wszystko jest tylko inscenizacją? Za chwilę przyjdzie tu mój szef razem z Albertem i powiedzą, że zdałem, że już mogę wyjść i dostać w nagrodę naprawdę dużo pieniędzy. I awans. I wakacje. Albo, co najbardziej prawdopodobne, jestem częścią jakiegoś sadystycznego programu badań nad granicami ludzkiej wytrzymałości. Jeśli tak, to nie przegapcie tego momentu, skurwysyny...

Pękam. Jak szklanka rzucona o podłogę.

Niewiarygodne, jak tęsknię za prozą życia. Jak bardzo chcę wrócić i odkurzyć mój salon.

Nakrywam głowę sterylnym prześcieradłem i zapadam w krótki, niespokojny sen. Znow mam cztery lata, najwcześniejsze wspomnienie, które posiadam. Spotykam ojca, którego znam głównie z opowieści. Teraz widzę go wyraźnie, wszystkie kontury wytarte czasem są uzupełnione. Ma zamysłone, niebieskie oczy i ciepły uśmiech. Czuję jego silny uścisk, gdy unosi mnie w górę wprost z miękkiego dywanu wyściełającego przedpokój i wychodzi ze mną na zewnątrz, przed dom. Ciepły, czerwcowy podmuch wiatru muska mnie po twarzy. Na horyzoncie strzelają w niebo wysokie, białe wieże o niedokończonych szczytach. Tata tłumaczy mi coś, pokazując każdą po kolei, ale nie jestem w stanie zrozumieć słów. Czerwone słońce nurkuje za horyzont, idealnie trafiając w wolną przestrzeń pomiędzy szkieletami tych dziwnych konstrukcji. Powietrze wypełnia suchy pył.

– Budzić! – rozkazuje stanowczy głos, a ja otwieram oczy w samą porę, by oszczędzić sobie kopnięcia prądem w wystające spod prześcieradła kolano.

Strażnik, wyraźnie zawiedziony, powolnym ruchem wycofuje elektryczną pałę.

– Proszę się w to ubrać.

Stojący w drugim rzędzie mężczyzna w nienagannie czarnym garniturze przekazuje ponad strażnikami wieszak z kopia własnego stroju.

– Pan jest moim prawnikiem? – zgaduję pełnym nadziei głosem.

– Tak. Zostałem tu przydzielony w ramach praktyk.

– Praktyk? Bez urazy, ale stać mnie na kogoś z większym doświadczeniem – mówię, patrząc mu prosto w oczy.

– Pańskie zdenerwowanie jest w pełni uzasadnione. Swoimi umiejętnościami reprezentuję raczej dolną półkę. Proszę myśleć o mnie jak o nieporadnym albatrosie, który zatacza się po twardym gruncie, o ptaku, który jeszcze nie wzleciał, nie miał okazji zaprezentować w pełni swojej gracji w locie.

– Słucham?

– Na szczęście nie musi się pan tym wszystkim przejmować, gdyż i tak nie jestem w stanie pana reprezentować.

– Dlaczego nie może mnie pan reprezentować?

– Nie stać pana.

– Nie stać mnie na pseudoprawnika na praktykach?

– Zgadza się. Został pan pozbawiony pieniędzy. Wszystkich. Proszę myśleć o sobie jako o osobie zupełnie nagej. W przenośnym znaczeniu oczywiście, gdyż za chwilę ubierze się pan w garnitur, który specjalnie dla pana kupiłem, ale to było wcześniej, zanim dowiedziałem się, że pana zdolności finansowe są żadne.

– To jakiś absurd i paranoja! Zostałem zatrzymany bez przedstawienia zarzutów, wbrew mojej woli i do tego pozbawiono mnie uczciwie zarobionych środków! Może mi ktoś to wszystko...

Strażnik postanawia nie czekać, aż mój wznoszący się ton głosu przekroczy barierę krzyku, lub po prostu daje upust swoim sadystycznym zapędom. Tak czy inaczej, następną chwilę spędzam, rozmasowując żebra po krótkim zwarcu.

– Paragraf 122 głosi: „Osoba przebywająca bezprawnie na terytorium strefy A miasta Ketra zostaje pozbawiona wszystkich dóbr materialnych i innych, w których posiadanie weszła, przebywając na terytorium strefy A miasta Ketra”. Widzi pan, coś tam jednak wiem. Niestety, to nie może panu w żaden sposób pomóc. Wydaje mi się też, że nie powinienem zdradzać powodu pańskiego zatrzymania, jeśli nie będziemy współpracować, a tym bardziej przed wejściem na salę sądową. Obawiam się, że mogę zostać pociągnięty do odpowiedzialności, skoro już to panu powiedziałem przy świadkach.

– W takim razie proszę myśleć o sobie jako o kompletnym idiocie – mówię mu.

– Jest mi bardzo przykro, że pan tak twierdzi. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Tak. Ten szum? Co to jest?
- To deszcz.

W dzisiejszym odcinku „Crime Factor” poznacie człowieka, który przez ostatnie 25 lat świadomie ukrywał swoje pochodzenie, by żyć, pracować, mieszkać i korzystać z wszelkich praw i przywilejów rezydenta strefy A. Być może był waszym znajomym? Współpracownikiem? Sąsiadem? Usiądźcie dobrze, bo doznacie szoku, widząc w naszej sali przesłuchań twarz, którą tak dobrze znacie, osobę, której bezgranicznie ufaliście, a która świadomie wykorzystywała wasze dobre intencje i waszą nieświadomość, by czerpać z tego korzyści...

Głos prezentera sączy się przez sufit głuchymi, basowymi falami. Cztery metry niżej klawisze ustawiają mnie na ruchomej platformie, która wyniesie mnie prosto do sali obrad. Ostatnie przygotowania przed wielkim wejściem. Makijażystka nakłada mi na twarz chemikalia w różnym stanie skupienia, desperacko próbując zamaskować pocięty szkłem policzek i rozwalony łuk brwiowy. Ochrona dostraja elektryczną obrozę. Mam na sobie tani czarny garnitur trzy numery za mały. Wygląda jak coś, co mógłbym na siebie włożyć piętnaście lat temu, gdybym był ślepy. To upokarzające.

– Pamiętaj, żeby być grzecznym i odpowiadać na pytania. Zakres dozwolonych ruchów ogranicza się do dyskretnego drapania się po jajach i mrugania. Na platformie zostajesz, dopóki prowadzący nie powie, że możesz z niej zejść. Niezastosowanie się do tych poleceń będzie miało swoje konsekwencje.

– Popraw mu krawat, to jest program na żywo – rozkazuje makijażystka.

Moje ręce wiszą przede mną biernie, skute bransoletkami magnetycznymi. Klawisz próbuje wykonać polecenie i angażując tylko jedną ze swoich wielkich łap, trąca mój krawat niechlujnym, pogardliwym ruchem. Zupełnie, jakby bał się, że przez dłuższy dotyk zarazę go jakąś chorobą, że zło, które reprezentuję, przeskoczy na niego i zawładnie jego umysłem. Mam ochotę krzyknąć bardzo głośno i sprawdzić, czy popuści, czy będzie próbował mnie zabić. Jego nerwy są jak postronki, więc prawdopodobnie jedno i drugie. Ja natomiast jestem spokojny jak nigdy. Nerwy puszczają dopiero wtedy, gdy słyszę:

Przed państwem Robert Welkin.

Tak, to ja. Jakoś nie mogę przestać wizualizować sobie siebie z perspektywy widowni. Oto z ziemi wynurza się groteskowa postać z pobitą twarzą, ubrana w obrozę i kajdany, ze źle dobranym garniturem i krawatem dyndającym niczym urwany sznur z szubienicy. Oczy błędzą onieśmiałe ostrym światłem jupiterów. Szukają punktu

zaczepienia, próbują schować się do wewnątrz. Postać Iśni jednolitą czernią stroju, powierzchnią naprędcie namalowanej maski. Wygląda niezdrowo i nieżywo. Po chwili po raz pierwszy daje się słyszeć jej głos:

– Nazywam się Robert Welkin, mam dwadzieścia dziewięć lat i od początku istnienia miasta Ketra jestem jego prawowitym mieszkańcem – zaczynam nieproszony.

Studio wygląda na dużo większe od tego, jakie zwykle się oglądać po drugiej stronie ekranu. Z perspektywy sceny widzę dokładnie stół sędziowski zajmowany przez trójkę wykwalifikowanych w sztuce prawniczej celebrytów, których nazwiska sprzedają wszystko – od mebli po środki higieny intymnej. Na frontowej ścianie wygaste ikony w liczbie odpowiadającej sędziom przyglądają się mi swoim złowieszczym spojrzeniem. Wystarczą dwa, bym popłynął w dół przez jelita systemu i został z niego wydalony wprost w objęcia chaosu za wielkim murem ogradzającym coś, co przez większość mojego życia nazywałem domem. W dalszej części, za hologramowym szkłem o zmiennej przezroczystości rozpościera się szara ściana naszpikowana tysiącem par oczu. To widownia, spowita mrokiem i spokojna, lecz gotowa gwizdać, drzeć się, śmiać lub płakać na zawołanie w zależności od komendy wysłanej z reżyserki. Rój miniaturowych kamer unosi się w powietrzu w ledwie słyszalnych oparach mechanicznego pomruku. Opływa mnie, gdy wygłaszam mój monolog, tak aby widzowie byli w stanie załączyć sobie mnie w przeglądarce z dowolnego profilu oraz łatwo sprawdzili, czy drapię się po jajach, jak pan strażnik przykazał. Prowadzący, który na razie znajduje się poza kadrem, sprawdza skrypt programu na wyświetlaczu wmontowanym w mikrofon w stylu retro, by dowiedzieć się w szybki sposób, jak ma reagować na moje nieproszone wejście oraz co przewidują procedury, gdybym nie chciał się zamknąć. Schemat, który widzi, wygląda następująco: 5-10 sekund – delikatna reprymenda dowolnej treści. 10-15 sekund – kwestia: „Przepraszam, ale powinniśmy oddać głos naszemu szanownemu jury”. Powyżej 20 sekund – „Przepraszamy widzów za zakłócenia. Wrócimy po krótkiej przerwie”, bo w tym momencie powinienem już leżeć na podłodze powalony strzałem prądu w szyję. Wiem to, bo pomagałem wymyślić formułę tego programu. Dzięki niemu Albert zrobił karierę w mediach, a ja, mając mniejsze parcie na władzę, zadowolilem się posadą konsultanta w największej agencji kreatywnej w Ketrze. Z ówczesnej perspektywy Crime Factor nie wydawał się złym pomysłem. Gdy został kupiony, a ja zacząłem dostawać dziesięć propozycji pracy na godzinę, uznałem go za dzieło współczesnej rozrywki. Prawdziwy przebłysk geniuszu. Jednak kiedy pół roku temu na wizji zginęła osoba, a wyniki oglądalności wystrzeliły w górę, zażądałem, aby zdjęli go z anteny. Ale już nic nie byłem w stanie zrobić. Nikt nie

chciał słuchać tego, co miałem do powiedzenia. Moje podania trafiały prosto do kosza albo były w nieskończoność przekazywane dalej.

Tak czy inaczej, od pierwszego wdechu do ostatniego słowa mam około dziesiętnastu sekund, które muszę dobrze wykorzystać, więc kontynuuję, nie zważając na chrząkania konferansjera:

– Mój ojciec był jednym z architektów, którzy zaprojektowali to miasto. Nie kupiłem sobie w nim miejsca, ale zostało mi ono nadane zgodnie z prawem, dlatego moja tu obecność jest nieporozumieniem, które na pewno... – nie kończę myśli.

– Przepraszam, ale powinniśmy oddać głos naszemu szanownemu jury.

Jak widać, opamiętałem się w samą porę.

– Jeśli pan już skończył, pozwolę sobie zadać pierwsze pytanie. Jak dobrze zna pan swojego ojca? – dziwnie znajomy głos Mandy Wester sprawia, że czuję się przez chwilę jak u siebie w domu przed monitorem.

– Praktycznie wcale – odpowiadam krótko i rzeczowo.

– Czy może pan nam podać przyczynę, dla której nie utrzymujecie kontaktu?

– Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałem cztery lata. Wychowywałem się z matką. Ojciec nigdy nie wprowadził się do strefy A, mimo że, tak jak jego rodzina, miał do tego pełne prawo.

– Oczywiście, że miał. Ma do tej pory i, szczerze mówiąc, nie mogę dociec, dlaczego z niego nie korzysta – na widowni rozlega się pomruk zadowolenia w stopniu umiarkowanym. – Wszystkie osoby będące jego najbliższą rodziną w dniu otwarcia bram strefy A miasta Ketra także posiadają ten przywilej. Czy wie pan, panie Welkin, do czego zmierzam?

– Nie mam pojęcia.

– Proszę podać dokładną datę rozvodu pańskich rodziców.

– 9 października 2024 roku, dokładnie dwadzieścia dziewięć dni po inauguracji – rzucam jednym tchem, bo znam tę datę na pamięć. Mama nigdy nie pozwoliłaby mi jej zapomnieć. Nawet w ten słoneczny i spokojny dzień, gdy widziałem ją po raz ostatni, wspominała ojca i po raz kolejny, do znudzenia, przerabiała tę historię. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego miała do niego tak duży sentyment. Dlaczego tak łatwo wybaczyła mu, że od nas odszedł. Zmarła, zanim zdążyłem o to wszystko zapytać.

– Niestety, myli się pan. Właściwa data to 10 września 2024. Dokładnie jeden dzień przed.

– Bzdura! – Mrowienie obroży natychmiast powstrzymuje we mnie chęć rzucenia kilku siarczystych bluzgów, które i tak wyraźnie artykułuję w myślach.

– To ludzki błąd podczas digitalizacji dokumentów urzędowych, którego odkrycie zajęło nam ćwierć wieku.

Jest suspens, a wraz z nim wchodzi dżingiel zapowiadający reklamy. Zawsze zastanawiałem się, co dzieje się w studio, gdy kamery przestają pracować. Czy sędziowie wychodzą ze swoich ról, żartują z oskarżonymi? Czy jest czas na łyk napoju? Chwila bez kajdanek, by rozprostować kości?

Budzę się na ziemi, okładany gumowymi pałami przez ochronę.

– Nie po twarzy – instruuje kobiety głos z góry.

Nie wiem, co jest bardziej nie do zniesienia: czy promieniujący ból obitych żeber, czy zdrętwienie nerwów po strzale prądem. Czuję się zbyt słaby, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Przede mną jedna z pary ekskluzywnych szpilek projektu Christiana Lobotomy stuka w ziemię w rytmie pał lądujących na moich plecach.

– Wystarczy.

Ochrona podnosi mnie do pionu, nie popuszczając uścisku. Wredna, stara suka wlepia we mnie zaciekawione spojrzenie błyszczące fałszywym błękitem soczewek, pociąga łyk napoju przez słomkę i suchym, lektorskim głosem przedstawia mi pokrótce swoją wersję nadchodzących wydarzeń.

– Doskonale wiem, kim pan jest, panie Welkin. Kim pan był. Sugeruję nie wykorzystywać swojej wiedzy, nie naginać zasad programu, by wygłaszać tu wzniosłe mowy, i odzywać się tylko wtedy, gdy udzielimy panu głosu. Rozumie pan?

Milczę, próbując oddychać tak, by płuca nie roztrzaskały mi żeber od wewnątrz.

– Chcę, by dobrze pojął pan sytuację, w której się znaleźliśmy... Żyjemy w burzliwych, niepewnych czasach, w których miasto Ketra, jako jedyne miejsce na ziemi, w pełni gwarantuje swoim obywatelom dobrobyt i spokój. Właśnie dlatego stajemy się coraz częściej celem ataków hakerskich, musimy radzić sobie z przemytem, nielegalną imigracją i przypadkami takimi jak pański. Ale naszym zadaniem, jako władz tej wspaniałej społeczności, jest utrzymywanie porządku za wszelką cenę. Ostatnim, czego potrzebujemy, to sytuacja, w której zepsucie zacznie szerzyć się od środka. Zrobię z pana przykład, panie Welkin. Przykład, który jasno pokaże siedemnastu milionom ludzi zamieszkujących strefę A, że każdy, nawet najmniejszy czy nieświadomy, rodzaj niesubordynacji może kosztować ich miejsce w tym mieście. Wspólnie przypomnimy im, że życie tu to przywilej, który bardzo łatwo stracić.

– Jestem niewinny. Oboje dobrze o tym wiemy – mówię w kierunku jej pleców.

Wchodzimy za 3... 2... 1...

– Przedstawiam państwu dowód rzeczowy A – rój kamer odpływa w kierunku zniszczonej, wymiętej kartki wypełnionej równymi rzędami znaków i dwoma odręcznymi

podpisami wykonanymi niebieskim atramentem. Prawdziwy antyk z epoki analogowej, gdzie przez ludzkie ręce przewalały się tony papieru na pohybel wszystkim lasom i ekologom. Hologram wyświetla obraz z kamery także dla mnie.

– Panie Welkin, proszę o odczytanie daty zawartej na dokumencie.

W ostatnim geście bezsilności zaciskam spocone pięści i cedzę przez zęby:

– Dziesięć, zero-dziewięć, dwa tysiące dwadzieścia cztery.

– Myślę, że nie potrzeba nam więcej. Zanim odczytamy wyrok, krótka wiadomość sponsorowana.

Mandy ustawia się na tle hologramu, by wyrecytować jeden z moich własnych tekstów:

W 2000 roku kandydatka na miss Chile, zapytana o to, którego mężczyznę i którą kobietę wybrałaby, jako parę mogącą przedłużyć nasz gatunek na wypadek nuklearnej zagłady świata, odpowiedziała: „Wybieram papieża i Matkę Teresę”. Dziękujemy ci iHistory za 20 lat wspierania zdalnego systemu zintegrowanej edukacji Ketry.

Uśmiecham się, ale dlatego, że nie mogę nie dostrzec ironii sytuacji, gdy doznaję publicznego linczu w spektaklu, który sam wyreżyserowałem. Kończmy. Poddaję się.

Sędziowie udają się na krótką przerwę, aby ustalić wyrok. Jeszcze tylko spojrzenie na wyniki głosowania wśród internautów. Niesamowite: 96,32% chce oglądać mój koniec na żywo w naturalnej rozdzielczości 3 D. Dziś w nocy całe miasto Ketra jest zjednoczone gniewem przeciwko mnie. Na stole sędziowskim trzy czerwone ikry zapalają się praktycznie jednocześnie.

– Robercie Welkin, na mocy udzielonej nam przez administratorów miasta Ketra, uznajemy pana winnym wszystkich postawionych tu zarzutów, pozbawiamy wszelkich praw mieszkańca i skazujemy na bezwarunkowe opuszczenie strefy A. Jednocześnie ustalamy dwudziestopięcioletni okres karencji, przed upływem którego nie będzie pan mógł ubiegać się o wpis na listę osób oczekujących na miejsce w strefie A. To szczęśliwa noc dla mieszkańców naszego wspaniałego miasta, w którym praworządność zawsze triumfuje. To także szczęśliwa noc dla jednej ze stu milionów osób oczekujących na bezprawnie zajmowane przez pana miejsce. Już po przerwie ogłosimy nazwisko osoby, która wkrótce dołączy do naszej społeczności. Zostańcie państwo z nami.

– Czy ma pan dla nas jakieś ostatnie słowa, panie Welkin? – pyta, rzucając pełnym pogardy spojrzeniem.

– Tak. Jestem...

Wchodzi dzingiel, zapadnia w podłodze otwiera się i pochłania mnie ciemność. Bezbledny czas reakcji. Producenci Crime Factor musz by dumni. To by naprawd dobry odcinek.

Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate^[1] – glosi napis nad ostatni suz podziemnego tunelu prowadzcego do strefy B.

– To oznacza, że masz przejebane – wyjania oty czarny straznik o twarzy buldoga, cay falujc w rytm swojego miechu. Przejcie otwiera si w limaczym tempie. Dwadziecia pic osb za mn maca drzcymi palcami spusty, celujc w nadchodzc ciemnoc prosto przez moje plecy. Bo oto kawaek po kawaku odslania si mityczna, owiana legendami, ogldana jedynie z bezpiecznej perspektywy fotela przed monitorem, kraina bezrobocia, kolejek i zlej pogody. Potwr otwiera swoje oko, gotw skoczyc nam prosto do garde, rzucic nam w twarz swoim gwnem. Jeszcze sekunda i...

Tunel zalewa ciepe, popoudniowe sonce, a wraz z nim wpada do rodka bryza czystego powietrza.

– Idz! – rozkazuje buldog, popychajc mnie w stron wyjcia, a sam cofa si w gb uzbrojonej brygady. Juz wiem, co mgl czuc Armstrong stawiajcy pierwsze kroki na Ksizycu albo Huang-Chi ldujcy na Marsie. To przerazenie mieszajce si z ciekawoci, fascynacj, ktra wygrywa ze strachem i napdza twoje kroki, kiedy kierujesz si w nieznane. Trzy sekundy pzniej jestem na zewntrz. Po raz pierwszy od dwudziestu piciu lat, po raz pierwszy, od kiedy istnieje to miasto, jestem po drugiej stronie muru i z bliska podziwiam niekontrolowane przez nikogo rodowisko, chaotycznie zagospodarowan przestrze, ludzi pochonych wsnymi sprawami i kolor. KOLOR na wszystkim: od kobiecych butw rozdeptujcych kauż na krzywym chodniku, do cian budynkw bez pomysu powsadzanych w krajobraz, tak mocno kontrastujcych z perfekcyjn symetri jednolicie biaych wiez za moimi plecami. Suza zamyka si z trzaskiem, odcinajc bezpowrotnie ppowin, ktr miasto matka toczyo we mnie karier, dobrobyt i spokj umysu. Teraz jestem zdany na siebie, zdany na łask dzikiej rzeczywistoci. I kompletnie przerażony.

Niespodziewanie tuz przede mn parkuje czarna jak noc limuzyna. Drzwi kierowcy uchylaj si ku grze, a na zewntrz wyskakuje wielki, łysy czowiek o bardzo surowym wyrazie twarzy.

– Zapraszam – oznajmia, łapic za klamk rodkowych drzwi.

Trochę zdezorientowany, ale też zaskoczony stanowczością i klarownością wydanego mi polecenia, bez większych protestów wsiadam do ciemnej przestrzeni pojazdu i ląduję na miękkim siedzeniu, które z jakiegoś powodu zostało wyłożone grubą folią. Limuzyna rusza, ktoś podkreca oświetlenie wewnątrz i moim oczom ukazuje się dwóch mężczyzn.

– Dzień dobry – mówi pierwszy z nich głosem, w którym słychać znużenie.

Drugi bez przywitania przystawia mi broń do czoła.

– P-panowie... – chcę rozpocząć dyskusję, ale milczący osobnik po lewej przeczącym ruchem głowy uświadamia mnie, jak bardzo zły pomysł próbuję zrealizować.

– Musisz wybaczyć mojemu koledze. Jest małomówny i czasem porywczy, ale to dla naszego bezpieczeństwa – podkreśla. – Pochodzisz z krainy supermenów, więc być może strzelasz laserem z dupy. Nie wiemy tego. A tak w ogóle, to powinniśmy się najpierw poznać. Więc... to jest Jahred – wskazuje na uzbrojonego, wytatuowanego od nadgarstków po szyję fluorescencyjnym tuszem czarnoskórego kolegę – a ja nazywam się...

Leonard Constantine, oczywiście. Poznaję go dopiero, gdy ściąga okulary i odgarnia długie, czarne włosy. Pomimo gigantycznego kaca ciężącego na jego powiekach, którego w żaden sposób nie stara się ukryć, jego twarz wciąż wygląda młodzieńczo i sympatycznie. W biurze wszyscy zawsze twierdziliśmy, że byłby świetny do reklamy kosmetyków albo ekskluzywnej odzieży. Ale Leonard nie jest typem człowieka, którego interesuje firmowanie swoją twarzą czegokolwiek innego niż samego siebie. Jego marka jest na to zbyt silna. Posiada dziesiątki klubów rozsianych po wszystkich trzystu sześćdziesięciu stopniach Ketry B. Jest także współwłaścicielem wydawnictwa, wypożyczalni luksusowych aut, ma swoje udziały w studiu filmowym i wielu mniejszych lokalnych biznesach, o których nie mam pojęcia. Imponujące jak na człowieka, który niedawno przekroczył trzydziestkę. Mniej imponujące są jego kontakty ze światem przestępczym, produkcja twardej pornografii, sieć burdeli i handel zakazanymi substancjami. Mówi się, że jest bardzo wpływowym i niebezpiecznym człowiekiem. Nieobliczalnym. Ale to tylko teorie, którymi żyją media. Te same, które organizują mu sesje zdjęciowe i sugerują, aby wystąpił na nich z bronią i w towarzystwie półnagich kobiet.

Leonard sam niczego nie dementuje ani nie potwierdza. Nie ukrywa też, że cieszy go zamieszanie wokół jego osoby. Notabene, przed kamerą wypada doskonale. Zawsze jest bardzo żywiołowy, ale też elokwentny. Sprawia wrażenie charyzmatycznego, dowcipnego człowieka, w towarzystwie którego trudno się nudzić. Co nie zmienia faktu,

że większość osób z góry utożsamia z nim wszystko, co najgorsze w strefie B: jej zacofanie, samowolę i korupcję.

Nigdy nie podejrzewałem, że dostąpię przyjemności podróżowania z nim limuzyną podczas prawdopodobnie ostatniej przejażdżki w moim życiu.

– Dla przyjaciół Leo – dodaje, uśmiechając się od niechcienia.

– Nazywam się Robert Welkin – mówię i wyciągam przed siebie dłoń, którą natychmiast przejmuje siedzący obok człowiek zwany Jahredem.

Puszczą w moją stronę długie i przenikliwe spojrzenie. Przez chwilę czuję się, jakby próbował przeczytać moje myśli, ale staram się nie uciekać wzrokiem, szczególnie w kierunku wiszącej przede mną odbezpieczonej broni, aby nie podsuwać mu żadnych pomysłów. Właściwie nie mogę nic zrobić. Jak zahipnotyzowany gapię się w jego czarne, przenikliwe oczy. Minutę. Może dwie. Może tylko ułamek sekundy. Nie jestem w stanie stwierdzić, jak długo trwa ta przedziwna próba sił. Wreszcie uwalnia moją rękę. Opadam plecami na zafoliowane oparcie i widzę, jak trawi coś w swojej głowie, zawieszając wzrok na nieistniejącym punkcie gdzieś daleko za mną. Wzdycha, przez ułamek sekundy uśmiecha się do siebie, po czym z pełną powagą po raz pierwszy odzywa się krótko:

– OK.

– Blu! – Leonard krzyczy do kierowcy.

Limuzyna natychmiast hamuje.

– Dzięki, wypierdalaj – zwraca się do mnie, pokazując eleganckim gestem, których drzwi mam użyć.

I tak kończy się nasze krótkie, lecz pełne wrażeń spotkanie. Limuzyna znika za rogiem, a ja rozglądam się zdezorientowany po okolicy, której nie mam prawa znać. Gdzieś w oddali, na tle granatowego nieba, majaczą wieże skąpane w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca. Po raz pierwszy widzę je z tej perspektywy, jak górują nad miastem, wbijając je całe jeszcze głębiej w ziemię. Są nierzeczywiste. Absolutnie dominujące. Sprawiają, że budynki wyglądają tu jak domki z piasku, samochody jak ziarenka, ludzie jak pył. Aż trudno mi uwierzyć, że w jednej z tych lśniących wież przeżyłem całe moje życie.

Równie trudno uwierzyć, że to już koniec.

Jeśli chodzi o liczby, strefę A miasta Ketra zamieszkuje około 17 milionów osób żyjących na stosunkowo niewielkiej powierzchni 1350 kilometrów kwadratowych. Zabudowa składa się z 36

wież o zróżnicowanej wysokości, z których najwyższe przekraczają niewiarygodny próg 1200 metrów. Umieszczenie, a także kształt wszystkich budynków, zostały zaprojektowane z myślą o zmaksymalizowaniu ekspozycji każdej z wież na promienie słoneczne tak, by zapewnić wszystkim strefom mieszkalnym stały dopływ energii słonecznej w ciągu dnia, niezależnie od pory roku. Strefa A miasta Ketra została wyposażona w pierwszy na świecie system kontroli pogody WCS-Tesla, który jonizując powietrze nad miastem, jest w stanie zachowywać bezchmurną pogodę w dzień oraz wywoływać kontrolowane opady deszczu podczas godzin nocnych. Jonizatory wraz z generatorami wiatru zasilanymi bateriami słonecznymi zostały umieszczone w trzech srebrnych wieżach, które stoją w równych odstępach i wpisują się w okrąg ograniczający obszar miasta. Wieże te są cylindrycznymi konstrukcjami o ostrych wierzchołkach, pochylonymi łagodnym łukiem w kierunku wnętrza strefy. Zamknięta część miasta Ketra jest często nazywana „Koroną”, właśnie dzięki unikalnej panoramie tworzonej przez te fascynujące konstrukcje. Faktem wartym odnotowania jest także to, że centralna wieża Ketry, zwana Zero Tower, jest nie tylko najwyższą stworzoną przez człowieka konstrukcją na Ziemi, ale także jedną z najlżejszych. Niewiarygodny stosunek wysokości do masy został osiągnięty dzięki zastosowaniu grafenu oraz metalicznych mikrosiatek o gęstości poniżej kilograma na metr sześcienny, a także...

– Zakończ – wydaję komendę, którą archaiczny czytnik e-booków interpretuje jako „przewiń” i rozpoczyna raz jeszcze recytację pierwszego rozdziału z książki „Planeta Miasto” autorstwa doktora Benedicta Waya.

Niechętnie podnoszę dupę z powycieranej kanapy i manualnie zatrzymuję odtwarzanie. Mija trzeci dzień bezczynnego oczekiwania na informację o zatrudnieniu, którą miałem otrzymać za pośrednictwem e-maila. Obrażliwej wielkości suma, tak zwana odprawa, przelana na nowe, specjalnie otwarte do tego celu konto, topnieje w zastraszającym tempie w miarę opłacania wynajmowanej przeze mnie nory, dumnie nazywającej się Apartamentem Milton. Przyzwyczajony do widoku błękitnego nieba i słońca spacerującego łagodnym łukiem ponad równą granicą horyzontu, nieustannie zasłaniam szyby mojego apartamentu kiepskim, migoczącym hologramem, wyświetlającym górski krajobraz z wodospadem w wypranych kolorach. Robię to, bo za oknami widok ogranicza mi odrapana, brudna ściana budynku z jednym malutkim oknem, przez które mogę obserwować kibel sąsiada. Przez to wszystko za bardzo nie jestem w stanie stwierdzić, jaka jest pora dnia lub nocy. Może i lepiej... Nie wiem... Czuję się bezsilny wobec sytuacji, w której się znalazłem. Wypompowany. Zdemotywowany. Trwam w bierności, kontemplując spisek, którego ofiarą padłem. Snuję w głowie plany odzyskania mojego życia. Wędruję, stawiając ciężko kroki od kibla do kanapy i z powrotem. Nie tracę nadziei. I czekam... Czekam, aż los sam się odmieni.

Umrę tu. Teraz to wiem. Dziś w sklepie mężczyzna poprosił mnie o autograf. Praktycznie wybiegłem stamtąd, nie płacąc. Na szczęście zamontowane w wejściu czujniki automatycznie ściągnęły należność, więc obyło się bez wizyty w komisariacie. Dobrze, że zredukowałem oprogramowanie mojego zegarka do wersji kompatybilnej z tutejszymi systemami. Ketra B nie korzysta ze zintegrowanego systemu płatności, a moje multimedialne soczewki zostały skonfiskowane. Technologia jest tu opóźniona przynajmniej o półtora roku.

W drodze do domu towarzyszyła mi dziewczyna, która przez dwie ulice zdążyła opowiedzieć mi o całym swoim życiu, o psach, które hoduje, o chłopaku, którego chce poznać, i o tym, że ona też stoi w niekończącej się kolejce do strefy A. Chyba miała nadzieję, że w zamian rozpalę jej wyobraźnię opowieściami o tym, jak jest na górze, ale ja po prostu zniknąłem za drzwiami hotelu. Muszę ograniczyć wychodzenie do minimum.

Druga sprawa to Albert. Próbowałem się z nim skontaktować, ale moje konto zostało zablokowane, więc aktualnie nie mam możliwości porozumieć się z kimkolwiek z Ketry. Postanowiłem spróbować czegoś innego i zostawiłem komentarz pod utworem Anyi, o którym wiem, że puszcza sobie praktycznie codziennie. Po godzinie odpisał: „Jeśli jesteś tym, kim myślę, to wiedz, że nie miałem z tym nic wspólnego, stary. Życie toczy się dalej, głowa do góry”.

Problem w tym, że ilekroć spoglądam w górę, widzę wieże Ketry.

Transmisja z zaświatów przerywa mój pijany letarg. Monitor jeszcze przez chwilę migocze konwulsyjnie, po czym zalewa go ciemność. Nie reaguje na komendy głosowe ani te wprowadzane dotykowo. Nie reaguje na bluzgi, groźby i uderzenia pięścią w ekran. Informacja o czekającym na mnie wakacie przepada w cyfrowej otchłani.

Dość tego – mówię do siebie mobilizującym tonem, postanawiając złożyć oficjalny protest wobec nieludzkich warunków panujących w tym slumsie. Pociągam porządny łyk kupionego za ostatnie pieniądze wrednego łyskacza i ruszam szybkim, choć lekko niepewnym, krokiem w kierunku drzwi. Odziany jedynie w spodnie od piżamy wjeżdżam na ostatnie piętro zajmowane przez administrację tego budynku, po czym dokonuję wtargnięcia na tereny służbowe przez drzwi ozdobione adekwatnym napisem „B URO”.

– Zapomniałeś, jak się puka, chłopcze?

Kobieta o wyglądzie zużytej aktorki porno wbija we mnie badawcze spojrzenie, wciskając w szklane naczynie coś, co wygląda, pachnie i tak właściwie musi być

papierosem. Jej uroda ma w sobie coś orientalnego. Fala blond włosów spoczywa na jej czole niczym naleśnik.

– Tak. Przyszedłem tu, żeby zgłosić awarię sprzętu w moim pokoju – mówię, próbując oderwać wzrok od jej ogromnych, sztucznych, okrągłych jak dwie piłki cymbałki wyskakujących prosto na mnie przez głębokie rozcięcie obcisłej sukienki.

– Jaki numer? – mówi, wypuszczając powoli dym przez usta wypacykowane błyszczącą mazią.

– Słucham?

– Numer twojego pokoju. A myślałeś, że o co pytam?

– O nic. Sześć dziewięć – odpowiadam zgodnie z prawdą. Dokładnie tak to mówię. Nie sześćdziesiąt dziewięć. Nie siedemdziesiąt minus jeden. Sześć-dziewięć.

– Zobaczą, co da się zrobić – mówi i uśmiecha się.

Wychodzę równie rozbawiony. Następne piętnaście minut spędzam na leżeniu z rękoma założonymi za głowę i wzrokiem wcelowanym prosto w zacieki na suficie. W przypiływie nagłego optymizmu napędzanego kolejnymi łykami alkoholu postanawiam nie zdychać tutaj. Składam przed sobą obietnicę, że dam sobie radę ze wszystkim, co przyniesie ten i każdy kolejny dzień. Pukanie do drzwi przerywa mój wewnętrzny monolog motywacyjny. Otwieram je z nadzieją, że zastanę za nimi kogoś z serwisu. I zastaję. Ją.

– Więc co się dokładnie zepsuło? – pyta, strzelając petem w głąb korytarza, drugą ręką mocno łapiąc mnie za jaja.

Instykt każe mi się wycofać, zaprzeczyć, przeprosić i pożegnać. Czyli wszystko to, czego miałem NIE robić. Otwieram drzwi szerzej.

Carpe, kurwa, diem.

Jej oddech śmierdzi fajkami, skóra ma kolor popiołu, w dotyku przypomina karton, a pod wielkimi cymbałkami widać źle usunięte ślady blizn po laserze. Kobieta ma fatalnie wykonane tatuaże i obsesję na punkcie swojego wyglądu, która objawia się układaniem naszych ciał w pozycjach, jakbyśmy pozwolili do zdjęć. A może to spaczenie zawodowe? Mimo wszystko jest atrakcyjna; w bardzo wulgarny, ale pociągający sposób. No i jej oczy. Jasnobłękitne, niesamowite oczy, które wyglądają, jakby były, lub po prostu są, zaćpane. I, ku mojemu zaskoczeniu, jest świetnie. A pół godziny później – bardzo dobrze. Następne czterdzieści minut po – ledwo ledwo, ale ciągle OK. Rano budzi mnie ból głowy, fiuta i nieznany mi zapach, który okazuje się napojem zwanym kawą.

Wenecja, bo tak ma na imię – dowiaduję się tego dopiero przy śniadaniu – przechadza się przez pokój bez majtek, odziana jedynie w moją wymiętą koszulkę. W jej rękach dwa kubki wypełnione czarnym płynem parują w chłodnym, porannym powietrzu.

– Jeśli ci się wydaje, że to początek czegoś, to od razu wybij to sobie z głowy – mówi spokojnym, ochrypniętym głosem i po chwili namysłu dodaje – co nie oznacza, że nie wpadnę do ciebie jeszcze kiedyś w odwiedzinach.

Jestem zafascynowany jej bezpruderyjnością. Brutalną szczerością i prostotą słów i czynów. Cechami praktycznie wymarłymi w cywilizowanym, ugrzecznionym i empatycznym środowisku, w którym dorastałem.

– Wszyscy są tutaj tacy bezpośredni? Takie zwyczaje panują tu, na dole? – pytam.

– Na dole? – powtarza, dmuchając mi w twarz duszącym dymem. Kawę kończymy w milczeniu. Później ona zbiera swoje ubrania z podłogi, owija się w hotelowy szlafrok i rusza ku wyjściu.

– Sprawdź nadajnik prądu. Poprzedni lokatorzy mieli kota, który lał gdzie popadnie – mówi i zatrząskuje za sobą drzwi.

– Tak zrobię – odpowiadam pustym ścianom.

Nagle mam ochotę cały się podrapać. Biorę prysznic i wracam bez szlafroka przeprosić się z monitorem, któremu dałem w mordę poprzedniego wieczoru. Sprawdzam bezprzewodowy nadajnik prądu ukryty we wnęce za szafą, który – jak się okazuje – jest do połowy zjedzony. Zapewne przez futrzaka z zapędami samobójczymi. Chwytam więc ogromny, półprzezroczysty ekran i przenoszę go bez kłopotu na koniec pokoju, tak aby znalazł się w zasięgu drugiego z nadajników. Dostaję w twarz jasnym światłem. W związku z przerwą w dostawie prądu system zarządza twardy reset. Parę minut później znów jestem połączony ze światem. „Masz jedną nową wiadomość” – migocze radośnie na ekranie. Nareszcie...

Odpalam swoje konto, ale zamiast znajomego trójwymiarowego interfejsu w stylu retro, tapety przedstawiającej zorzę polarną i pedantycznie posegregowanych linków do moich chmur, zastaję twarz człowieka identyfikującego się jako Porucznik Bezpieczeństwa Sieci Stopnia Drugiego. Nie byle kto.

W związku ze zmianą pańskiego miejsca zamieszkania i przeniesienia się na teren podwyższonego ryzyka pańskie konto zostaje zawieszona, a wszystkie dane o charakterze niewrażliwym zostają eksportowane do zewnętrznych serwisów hostingowych. Ma pan prawo do odmowy transferu danych, ale będzie to równoznaczne z wykasowaniem wszystkich prywatnych kolekcji z każdej z połączonych chmur i bezpowrotną utratą tych danych. Czy chce pan rozpocząć transfer konta na serwery zewnętrzne?

– Tak – odpowiadam, nie odrywając oczu od rozgrzebanego łóżka.

Uwaga! – Porucznik przywołuje mnie do porządku. – Z powodu aktualizacji zasad bezpieczeństwa zawartość pańskiego konta zostanie zweryfikowana przez pracowników biura bezpieczeństwa Ketry. W związku z ogromną ilością danych zawartych na pańskim koncie nie jesteśmy w stanie w tym momencie podać szacunkowego terminu zakończenia prac administracyjnych. Prosimy o cierpliwość. Miłego dnia.

Jego twarz znika zastąpiona paskiem postępu wyświetlającym okrągłe zero procent. Mam ochotę coś zniszczyć. Cokolwiek. Wyrwać nogę od stołu i okładać nią brudne ściany. Rozpieprzać w pył jedną po drugiej, aż przebiję się na drugą stronę muru i wrócę do zaścielonego przez pokojówkę czystego, chłodnego łóżka w moim apartamencie. Do prostego, pozbawionego stresów życia, które ktoś mi zabrał. Tak smakuje bezsilność. Gorycz porażki. Dno.

Jeśli poświęcimy nieco uwagi dostępnym materiałom traktującym o mieście Ketra, natkniemy się przede wszystkim na opisy konstrukcji poszczególnych wież. Poznamy część tajników działania systemu kontroli pogody, natrafimy na szczegółowe schematy skomplikowanej siatki wind i tuneli pozwalających mieszkańcom przemieszczać się pomiędzy wieżami bez konieczności schodzenia na ziemię. Poznamy także podstawowe zasady ergonomicznego planowania przestrzeni w celu zmaksymalizowania komfortu mieszkańców oraz, jeśli będziemy mieli nieco szczęścia, znajdziemy garść wzmianek o podziemnych konstrukcjach miasta, których przeznaczenie do tej pory nie zostało jednoznacznie zdefiniowane. W całym ogromie materiałów, mogącym zapełnić dyski wielu bibliotek multimedialnych, nie znajdziemy natomiast ani jednej wzmianki o bezpośrednim sąsiedzie tej futurystycznej metropolii – strefie B. Ktoś mógłby w tym momencie zapytać, dlaczego mielibyśmy natrafić na takie materiały? Co może być szczególnego w tej naprędce skonstruowanej i niczym niewyróżniającej się strefie miejskiej, która powstała w cieniu prawdziwego cudu współczesnej architektury i myśli technicznej?

Otóż o wiele więcej, niż mogłoby się nam wydawać na pierwszy rzut oka.

Weźmy na przykład jej fascynującą historię. Strefę B stworzyła fala migracji, którą można porównać jedynie do amerykańskiej gorączki złota z XIX wieku. Setki tysięcy miejsc pracy, obietnica dobrego i długotrwałego zarobku zwabiła tu ludzi z całego świata. Improwizowane osiedla robotnicze szybko zaczęły zamieniać się w dzielnice, później w miasta. Wraz z nimi powstawała niezbędna do życia infrastruktura. Szkoły, fabryki, bary, restauracje, domy publiczne – to wszystko stworzyło kolejne miejsca pracy, napędzając rozwój miasta. Ludzie z całego świata przyjeżdżali, by tu pracować i żyć. Zwabieni obietnicą dobrobytu, z ciekawości, dla przygód i z

tyśiąca innych pobudek kolejne osoby zajmowały swoje miejsce w tym multikulturowym, dynamicznie przekształcającym się środowisku.

11 września 2024 roku, gdy strzeliste wieże Ketry zaczynały zaludniać się pierwszymi mieszkańcami, u ich stóp tętniąca życiem metropolia zdążyła zatoczyć pełen okrąg...

Wywód doktora Waya, który już trzy rozdziały temu awansował na miano mojego najlepszego i jedyne go przyjaciela, przerywa pukanie do drzwi.

– Jesteś dzisiaj wcześniej – mówię, zastając za drzwiami Wenecję dzierzącą w czerwonych szponach pół butelki wrednego bourbona, którego ewidentnie wlała w siebie.

– Nie tak szybko, kolego. Przyszłam ci tylko coś podzucić – mówi, przekazując na moje ręce flaszkę. – I jeszcze to.

Przyglądam się nieufnie prostokątnemu przedmiotowi, który wygląda jak... papier?

– List – tłumaczy.

– List? Do mnie?

– Tak. Taki analogowy. Kurier zostawił go w recepcji. Jest na nim twoje nazwisko. Miłego wieczoru.

– Dzięki – odpowiadam, zamykając drzwi.

Odwracam kopertę i czytam kilka razy bez zrozumienia: „Robert Welkin” wypisane ładnym, regularnym charakterem pisma. Rozklejam delikatnie fałdy papieru i wydostaję ze środka już mniej stylową kartkę będącą zwykłym wydrukiem. Dotyk prawdziwego papieru i tak wywołuje we mnie wrażenie obcowania z historią, jakbym co najmniej wydobywał z ziemi czaszkę dinozaura albo pił dwustuletnie wino, co akurat raz w życiu miałem okazję zrobić. Smakowało jak krew zmieszana z ogórkowym sokiem.

Panie Welkin, Pana konto jest zablokowane, a muszę się z Panem koniecznie skontaktować. Proszę zatem zastosować się do poniższych instrukcji:

A – ze strony vintagesoftware.com ściągnąć program o nazwie Skype i zainstalować go na swoim pulpicie wirtualnym (instalację należy wykonać w trybie zgodności z systemem Windows C8);

B – założyć konto o nazwie robertwelkin2120 i pozostawić je aktywne;

C – dodać kontakt, wpisując nazwę użytkownika aceira2119 i oczekiwać na połączenie.

Postaram się skontaktować z Panem jak najszybciej.

Pozdrawiam,

A.

– Wykonaj – potwierdzam przeczytane na głos instrukcje.

Sprzęt przystępuje do instalowania jakiegoś antycznego programu o przestarzałym, manualnym interfejsie, zaprojektowanym w czasach, gdy słowo „mysz” miało dwa

znaczenia. Automatycznie restartuje go dobre pięć razy, szukając właściwego trybu zgodności. Dociąga sterowniki z podejrzanych stron, informując mnie o uszkodzeniach, które mogą wyrządzić, i powtórnie pyta, czy na pewno chcę zobaczyć, jak umiera. Ostatecznie na ekranie pojawia się komunikat o powodzeniu. Kilka update'ów, trzasków i zgrzytów, później program ożywa, zwracając się do mnie przyjemnym, kobiecym głosem:

– Czy to Robert Welkin?

– Tak. To ja – odpowiadam, nie mając pewności, czy rozmawiam z automatem, czy z żywym człowiekiem.

– Fantastycznie, że udało nam się w końcu skontaktować. Mam na imię Almeida. Jestem pańską psychoterapeutką.

– Słucham?

– Coś nie łączy. Proszę chwilę poczekać... poprawię... o, teraz powinno być lepiej. JESTEM PAŃSKĄ PSYCHOTERAPEUTKĄ!!! – drze się na mnie przesterowanym głosem.

– Słyszę panią doskonale. Tylko za bardzo nie wiem, dlaczego rozmawiamy.

– Już wyjaśniam. Zgodnie z dyrektywą 132 łamane na 5 ustęp 3 każda osoba usunięta z miasta Ketra otrzymuje pomoc psychologiczną w pierwszym miesiącu pobytu na zewnątrz. Takie są procedury i to mnie wyznaczono do monitorowania pańskiego przypadku... Przepraszam, chciałam powiedzieć, że jestem tu po to, aby pomóc panu w przystosowaniu się do nowych warunków życia.

– Świetnie – mówię, przepłukując gardło bourbonem. – Czy to obowiązkowe?

– Nie, ale...

– Zakończ – wydaję komendę, której program zdaje się nie rozumieć.

– ...mocno pana zachęcam do rozmowy. Mogę panu pomóc. Proszę tylko o chwilę...

Podnoszę dupę z fotela i pewnym dotknięciem ekranu odwieszam zieloną słuchawkę. W pokoju nastaje błoga cisza.

Głucha cisza.

Psycholog jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję – myślę, odsuwając przechyloną butelkę od ust i oblewając się resztką lepkiego, śmierdzącego alkoholu po głowie i twarzy.

Niestety jest za słaby, żebym mógł się podpalić.

Wciąż nie potrafię pozbyć się przeczucia, że ktoś jest w moim pokoju. Nie tutaj, ale tam, na górze. Przechadza się przez ciche i ciemne mieszkanie, stukając obcasami butów w drewnianą podłogę. Staje obok rozgrzebanego łóżka. Domyka szafkę z

alkoholami w kuchni. Spogląda przez okno, kiwając głową na widok półki pełnej martwych kwiatów. Bierze do ręki ramkę ze zdjęciami, którą trzymam na biurku, przerzuca kilka fotografii, przyglądając się roześmianym twarzom, i beznamiętnie wypieprza ją do kosza razem z całą resztą moich wspomnień.

Zielona słuchawka drży na monitorze. Pani „psycho” nie daje za wygraną. Przyglądam się pulsującym kolorom na powierzchni półprzezroczystego, elastycznego ekranu. Za ścianą słychać brzęk tłuczonego szkła. Pusta butelka spoczywa u stóp w kałuży podrzędnego trunku, kapiącego kropla po kropli z mojej twarzy. Za oknem pijane śpiewy, szum elektrycznych aut. Odgłos spuszczonej wody w kiblu. W rogu ekranu bezlitosne zero procent. Uderzam ręką w monitor.

- Jesteś tam jeszcze? – pytam.
- Jestem – odpowiada.
- To dobrze... Możemy zaczynać...

Deszcz... Ketra w deszczu. Deszcz płynie ulicami miasta, tworzy potoki, rzeki, wodospady. Wlewa się do butów i próbujących złapać oddech gardeł. Rozgania ludzi po domach. Podmuch wiatru wyrывa kobiecie parasol z ręki. Widzę, jak dostaje falą zimnego deszczu prosto w twarz. Próbuje osłonić się rękoma, rusza w krótką pogoń za zbiegiem. Ciężka od wody sukienka oblepia jej ciało. Wreszcie, zniechęcona kolejną i jeszcze kolejną chłostą, zataczając się na szpilkach, znajduje schronienie w drzwiach baru po przeciwnej stronie ulicy.

Niebo nad nami jest przykryte jednostajnie szarą powierzchnią nisko sunących chmur. Dopiero po chwili dociera do mnie, że wieże Ketry też utonęły w kłębiastych odmętach. Upiłowane u nasady, wyglądają jak wycięty las – smutno i martwo. Bez zrozumienia gapię się w to miejsce na niebie, zwykle zajmowane przez ogromną, błękitną wyrwę w chmurach. Czuję, jak panika spływa dreszczem wzdłuż kręgosłupa. A może to zimno. Bo jestem na wskroś przemoczony.

- Hej, starczy miejsca dla wszystkich!

Kobieta bez parasola trzyma dla mnie uchylone drzwi restauracji.

W środku śmierdzi wilgocią. Nikt nic nie zamawia. Ludzie tłoczą się przy małym monitorze podwieszonym w rogu ciasnej sali, który nadaje wiadomości na żywo. Rozmawiają szeptem, spekulują w oczekiwaniu na wyjaśnienia. Młody typ w dredach zakłada się z kolegą o dychę, że za wszystkim stoi jakiś haker. Drugi obstawia przypadkową awarię systemu.

– Gównu się dowiemy, jak zawsze – komentuje ktoś w tłumie.

– Nawet w niebie pada deszcz... – starsza pani mówi do mnie, a może tylko do siebie.

Powinienem jak najszybciej się stamtąd wynosić. Zdążyłem przejść w tej ulewie zaledwie trzy, może cztery ulice. Do hotelu już niedaleko. Ale jednak muszę tu zostać. Zalecenie pani doktor. Almeida powiedziała, że muszę wzbudzić w sobie ciekawość dziecka i powoli, ale systematycznie zacząć oswajać rzeczywistość wokół siebie. Od pokoju, przez podwórko, ulicę i miasto, do momentu, w którym poczuję się obywatelem świata. Mam podróżować, eksperymentować i poznawać reguły nowej gry. Przy tym wszystkim cały czas bardzo starała się, żeby nie określić mnie mianem „upośledzonego”. Zanim rozłączyliśmy się o trzeciej nad ranem, zdążyłem podziękować jej za rozmowę, motywację, jej czas. Dodałem też, że ma ładny głos, odpowiedni do tej roboty. Ona kazała mi się nie poddawać.

Więc oto jestem. Po nieprzespanej nocy ziewam chęcią do życia i nasiąkam zapachem wilgoci w przypadkowej knajpie.

– Herbata. Na koszt tego pana.

Kobieta bez parasola składa zamówienie przy barze, wskazując na mnie dyskretnym ruchem głowy. Krople deszczu spływają z jej bordowych włosów na blat, rozmazując ekran namawiający nas do kupienia zupy dnia.

– Osiem dziewięćdziesiąt dziewięć.

Przesuwam dłonią nad skanerem. Dyskretnie wibrująca bransoleta zegarka informuje mnie o tym, że jestem już niebezpiecznie blisko dna konta.

Kobieta bierze pierwszy łyk z parującej filiżanki, oblizuje usta. Uśmiecha się do siebie. Łapię się na tym, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Ona na pewno to czuje, mimo że nie patrzy w moją stronę. Kobiety wiedzą takie rzeczy.

Chcę jakoś zacząć rozmowę. Tak w ramach ćwiczeń z interakcji, oczywiście. Ale to ona pierwsza przerywa milczenie.

– Od dawna w Ketrze?

– Przyjechałem kilka dni temu. Aż tak to widać?

– Turystę zawsze łatwo poznać po spojrzeniu. Interesuje go wszystko wokół, w przeciwieństwie do mieszkańców, którzy po prostu snują się po ulicach ze wzrokiem skierowanym przed siebie.

– Prawda.

– Jak ci się podoba nasze miasto? – pyta, obrzucając mnie badawczym spojrzeniem.

– Wszystko jest inne niż to, do czego jestem przyzwyczajony. Może trudno w to uwierzyć, ale nigdy nie wyjeżdżałem z domu. To mój pierwszy raz.

Dziewczyna uśmiecha się. Przeczesuje dłonią swoje mokre włosy.

– Skąd pochodzisz? – pyta.

Cholera.

– Z północy – rzucam ogólnikowo.

Jesteśmy w okolicach sto osiemdziesiątego stopnia strefy B, więc technicznie rzecz biorąc, nie kłamię. Moje miasto rodzinne jest dokładnie na północ od nas. Jakies dwa kilometry do przodu i kilometr w górę.

– Macie tam zimno, co?

– No, zimy bywają ciężkie – brnę dalej – ale w lato zdarzają się dni z temperaturą powyżej zera.

Dziewczyna zanosi się szczerym, przyjemnym dla ucha śmiechem.

Nie potrzebuję psychologa, żeby wiedzieć, że mój mechanizm obronny tylko pogłębia moją izolację.

Wszystko źle.

– Jeśli chcesz, mogę oprowadzić cię po okolicy – proponuje. – Znam kilka ciekawych miejsc, do których moglibyśmy razem zajrzeć.

Barman podnosi nieznacznie brwi, rzuca okiem na mnie, na dziewczynę i z powrotem na mnie. Jego głowa kilkakrotnie potakuje, dłonie ani na chwilę nie przestają szorować kufła po piwie.

W głębi duszy bardzo chcę powiedzieć jej prawdę. Wcisnąć to pomiędzy zdania w nadziei, że nie zauważy, albo sprzedać w odcinkach, dawkując napięcie, jakkolwiek, byleby oczyścić sumienie, a później wyjść stąd, kupić za ostatnie grosze parasol, który będę trzymał nad jej głową przez całą drogę. Powłóczyć się zlanymi deszczem ulicami, porozmawiać, wreszcie rozstać się i już nigdy nie spotkać, ale chociaż przez chwilę poczuć, że nawiązałem kontakt z drugim człowiekiem.

– Ej, ty jesteś tym gościem, co go wyrzucili z Ketry, co?

Człowiek w dredach rozwiązuje mój problem.

– Tak – odpowiadam. – TAK! – mówię jeszcze raz, jeszcze głośniej.

Dziewczyna w bordowych włosach gapi się na mnie zaskoczona.

– Wyrzucili mnie ze strefy A, byłem w telewizji.

– Dzięki – mówi. – A ty, ziomek, przelewaj dychę – zwraca się do swojego kolegi, odchodząc.

Dzieciak z plecakiem niechętnie podciąga rękaw, zbliża zegarek do twarzy, zatwierdzając przelew skanem własnej siatkówki. Dziewczyna opróżnia filiżankę i wstaje.

– Miłego pobytu – rzuca przez ramię, oddalając się zdecydowanym krokiem w kierunku wyjścia. Barman wzrusza ramionami, przerzuca wzrokiem pomiędzy mną, dziewczyną i nalewakiem do piwa.

– Nie, dzięki – odpowiadam i też podnoszę się ze stołka, wzdychając ciężko. Zadanie domowe odrobione. Można wracać.

– Zabrałeś komuś z nas dwadzieścia pięć lat szczęścia – głos z tłumu daje mi do zrozumienia, że powinienem przyspieszyć kroku.

Zarzucam kaptur na głowę i otwieram drzwi knajpy.

Huk wiatru.

Sztorm w kałużach.

Jest 28 października 2047 roku. W wypełnionej po brzegi Apple Arena gasną światła. Dziesięcioletni tłum skanduje imię gwiazdy wieczoru. Pojedyncza wiązka lasera przecina mrok, nakreślając na scenie kontur kobiety. Widownia milknie, lecz po chwili znów wznosi swoje okrzyki, rozpoznając pierwsze dźwięki przeboju „You are everything to me”. Kontur powoli wypełnia się barwą, lekko unosi w powietrzu, wreszcie eksploduje światłem, z którego wyłania się postać wokalistki. Anya – wirtualna gwiazda każdym singlem bijąca światowe rekordy oglądalności – zaczyna tańczyć w rytm dudniącej z ogromnych głośników muzyki z pogranicza dub-popu i synthstepu. Jej modulowany, lecz doskonale ludzki głos, stworzony przy pomocy jednego z najbardziej zaawansowanych algorytmów przewidujących nawet pomyłki i fałsze, wypełnia salę i porywa tłumy. Gdy przychodzi czas ostatniego refrenu publiczność ze zdwojonym entuzjazmem zdiera gardła, powtarzając „You are everything, everything to me, baby”. Anya przygląda się fanom z zachwytem, zachęcając ich do głośniejszego śpiewania. Nikt zdaje się nie zauważać, że w jej ręku od kilku chwil zamiast mikrofonu znajduje się potężny, połyskujący w świetle jupiterów pistolet. Dźwięki utworu dobiegają końca. Anya kłania się fanom, przykładając broń do skroni i pociągając za spust. Wirtualna krew bryzga na scenę gęstym strumieniem. Głuchy odgłos bezwładnie opadającego ciała synchronizuje się z ostatnim uderzeniem werbla. Telebimy jeszcze przez chwilę torturują zdezorientowany, niemy, absolutnie przerażony tłum dynamicznym kolażem powtórek, odtwarzając z niebywałą dokładnością wszystkie szczegóły – palec zaciskający się na spuście,

podmucha broni rozwiewający złote włosy, fragmenty mózgu i kości roztrzaskujące się o obiektyw kamery, szkarłatną mgłę unoszącą się w powietrzu, wirującą łuskę, wysuwające się z kadru puste spojrzenie Anyi i rozłupaną głowę spoczywającą w kałuży krwi. Dopiero gdy ciało przeszywa pojedynczy agonálny skurcz, wszyscy zaczynają się drzeć.

Właśnie w ten sposób świat dowiaduje się o istnieniu Vincenta Noira.

Następnego dnia Międzynarodowa Federacja Bezpieczeństwa Internetu, ku przerażeniu fanów i zdumieniu opinii publicznej, oznajmia, że kod źródłowy gwiazdy oraz wszystkie jej algorytmy zostały skasowane lub uszkodzone w sposób uniemożliwiający odtworzenie. Anya jest oficjalnie martwa.

Szef MFBI i oddany fan wokalistki, Olaf Hendrickson, wygłasza następnie długie i emocjonujące orędzie, w którym podkreśla, że mimo swej cyfrowej natury dla milionów fanów na całym świecie Anya była nie mniej żywa niż jakakolwiek inna osoba, którą można oglądać na ekranie własnego komputera. Nie była jedynie hologramem, posiadała osobowość. Stanowiła naszą najlepszą, najpełniejszą próbę stworzenia syntetycznego życia. Hendrickson żąda ścigania Vincenta Noira nie tylko za cyberterrorizm i naruszenie własności, ale także za morderstwo.

Jego przemówienie prowokuje rozległe dyskusje na temat definicji istoty żywej. Naukowcy, etycy i filozofowie wdają się w ogromną kłótnię, próbując ustalić granicę pomiędzy sztucznym tworem a prawdziwym bytem. Ostatecznie jednak jedyny wspólny wniosek, do jakiego dochodzą, jest taki, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za znalezienie odpowiedzi na to niewygodne pytanie. To planeta powinna zdecydować, czy byt, poniekąd wirtualny, lecz zdolny do wywoływania w nas tych samych emocji, co żywa osoba, może zostać uznany za żywy.

13 grudnia 2047 roku w atmosferze konsternacji i kontrowersji odbywa się głosowanie, w wyniku którego dowiadujemy się, że zatrwające siedemset osiemnaście procent populacji uznaje Vincenta Noira winnego odebrania życia. Ten absurdalny wynik jest oczywiście kolejnym popisem hakera. Olaf Hendrickson zapowiada, że Vincent Noir zostanie złapany w ciągu kilku tygodni. Sam ścigany odpowiada milczeniem. Permanentny brak postępów w śledztwie powoli spycha sprawę na drugie strony wyników wyszukiwania, wreszcie cały temat umiera śmiercią naturalną. Nikt nie umie w jednoznaczny sposób wyjaśnić, jak Vincent Noir był w stanie, nie tyle zniszczyć, co przeprogramować jeden z najlepiej chronionych kodów źródłowych na świecie. MFBI rozkłada bezradnie ręce, pytana o to, kim lub czym jest Vincent Noir i jakie są motywy jego działania. W rocznicę wirtualnego samobójstwa Anyi milion

zrospaczonych fanów spamuje Internet laurkami odtwarzającymi „You are everything to me”, organizuje marsz pamięci, a Olaf Hendrickson podaje się do dymisji.

Dzisiejsze wiadomości donoszą: *W wyniku ataku kod źródłowy systemu kontroli pogody miasta Ketra został zastąpiony tekstami utworów tragicznie zmarłej wirtualnej gwiazdy Anyi. Specjaliści sprawdzają, czy zniszczenia są odwracalne. O rezultatach będziemy informować na bieżąco...*

– Jesteśmy nieskończonością – mówię, leniwie zarzucając ręce za głowę.

Kwadrat w ciepłym odcieniu zachodzącego słońca pełźnie po ścianie pokoju coraz wyżej i wyżej.

– Pomyśl o tym w ten sposób. Wszystkie atomy, z których składa się nasze ciało, to te same elementy, z których zbudowane są gwiazdy, planety i cała przestrzeń pomiędzy nimi. Jesteśmy częścią wszechświata i wszechświat jest w nas. Kiedy odchodzimy, oddajemy naszą cielesną formę i powstają z niej nowe rzeczy. Niektórzy mówią, że w kontekście całości jesteśmy mrugnięciem oka, nieważni. To nieprawda. W tej czy innej formie jesteśmy od zawsze i na zawsze. Ale jako rasa ludzka nie powinniśmy czuć się wyjątkowo. Bo być może człowiek nie jest najlepszą formą rozwoju, na jaką stać ten wszechświat. Być może któregoś dnia będzie musiał ustąpić, żeby na jego miejscu mógł pojawić się ktoś inny. Lepszy. Ktoś, kto nie wymyśli pieniędzy, wojny i popu.

– Wróćmy na chwilę do Alberta – proponuje Almeida. – Rozmawialiśmy o przyjaciółach.

– Może to dziwne, ale nie brakuje mi go – mówię. – To znaczy... On... Wiesz, przyjaciel to duże słowo, a Albert...

– Po kolei, Robercie.

– Po kolei – powtarzam, próbując uporządkować myśli. – Znam go tak długo. Pamiętam jako zupełnie inną osobę. Beztronski dzieciak, zawsze miał najwięcej do powiedzenia, wszyscy chcieli go zgarnąć do swojego zespołu, nieważne, czy graliśmy w kosza, czy rozwiązywaliśmy zadania na zaliczeniu semestru. Zmienił się, gdy zginęli jego rodzice. Mieliśmy po dwanaście lat. Przyszedłem do niego wtedy w święta. Jego apartament był zupełnie pusty. Pod choinką nie było prezentów. To musiała być najsmutniejsza chwila naszego dzieciństwa. Po prostu siedzieliśmy tam przed monitorem, oglądając jakieś głupoty. Przyniosłem ze sobą kawałek ciasta, który upiekła moja mama, ale nie miałem odwagi mu go zaproponować. Nie wiedziałem, w jaki sposób mam się odezwać, żeby go nie urazić, ale czułem, że muszę tam być. W końcu,

po kilku długich godzinach, on powiedział, że jest już zmęczony i pozwolił mi iść do domu. Następny raz spotkałem go miesiąc później. Był już kimś zupełnie innym. Gdy ktokolwiek pytał go o rodziców, zawsze wymyślał jakąś bajkę – że wyjechali, że przeprowadzili się, że nie utrzymuje z nimi kontaktu. Notoryczne kłamstwa weszły mu w nawyk, pewnie dlatego zrobił zajebistą karierę w reklamie. Wszystkie jego opowieści były po prostu jego własną wariacją na temat tego, co mogłoby się stać, gdyby... A ja przez te wszystkie lata byłem tam po to, żeby wysłuchiwać jego opowieści. Nawet jeśli pytał, co u mnie, to i tak nie czekał, aż zacznę mówić. Nasza przyjaźń, o ile można to tak określić, była jednostronna. Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że byłem tam tylko po to, żeby pomóc mu dźwigać jego bagaż. A teraz, gdy już go nie ma w moim życiu, mnie też jest lżej. Czy to źle, że tak mówię? Powinienem czuć się winny?

– A czujesz się winny?

– Czuję się lepiej.

– To coś mówi o waszej przyjaźni, prawda?

– Niestety.

– Opowiedz mi o kimś innym.

– Kim?

– Chyba był ktoś jeszcze. Może kobieta?

– Nawet kilka – mówię zgodnie z prawdą, starając się nie zabrzmieć, jakbym się chwalił.

– Słucham.

– Pierwszej nie podobało się, że używam niebieskiego koloru do malowania liści na drzewach, i obawiała się, że dostanę mało punktów za rysunek, a jej rodzice zawsze powtarzali, że nie warto zadawać się z kimś poniżej swojego poziomu. Druga chciała spotykać się tylko i wyłącznie w towarzystwie swoich przyjaciółek. Straciłem nią zainteresowanie w momencie, gdy złapałem się na tym, że rozumiem znaczenie słowa „mikrodermabrazja” i zaczynam go świadomie używać w moich wypowiedziach. Trzecią interesowało właściwie tylko rżnięcie. Nie mieliśmy wspólnych tematów, ale w sferze intymnej dogadywaliśmy się jak mało która para. Niestety, to też nie przetrwało próby czasu. To akurat moja wina...

– Robert... Jeszcze raz. Chciałabym, żebyś pokrótce opisał osoby, z którymi połączyła cię więź emocjonalna.

– Trochę to smutne, co?

– Co takiego?

– Że właściwie to nie mam kogo opisać. Mama nie żyje, taty nie widziałem od dwudziestu pięciu lat i równie dobrze on też... – nie kończę zdania.

– Ty mnie znasz – mówię jej prosto w monitor – i chyba nie ma nikogo poza tobą. Po drugiej stronie zapada cisza, która trwa zdecydowanie zbyt długo.

– Hej – mówię – wiem, że poruszyły cię te słowa, ale nie rób sobie nadziei. Mam taką zasadę, że nigdy nie umawiam się z moimi psychoterapeutkami.

– Och, nie – mówi głosem, w którym słychać rozdzierającą serce rozpacz. – Teraz to ja będę potrzebowała pomocy.

Słońce tonie za horyzontem. Niewidzialne fale niosą nasz śmiech w obie strony.

Chłopiec spluwa w dłonie, rozciera ślinę szybkimi ruchami i podnosi spod swoich stóp piłkę. Jeszcze kilkakrotnie obraca ją lekko palcami, szukając idealnej pozycji na okrągłej, skórzanej powierzchni. Napina mięśnie, jego dłonie zakleszczają się na przedmiocie, płuca wciągają powietrze. Wygina się do tyłu niczym łuk, a następnie z całą wściekłością, którą jest w stanie zebrać w sobie, wyrzuca przed siebie futbolówkę, którą dodatkowo popędza głośnym wrzaskiem. Piłka wpada w pole karne. Dwaj chłopcy zderzają się głowami, próbując przeciąć trajektorię jej lotu. Pod bramką zamieszanie i kopanina. Zarówno obrońcy, jak i atakujący, stosują tę samą taktykę, według której najważniejszym elementem gry jest nawiązanie kontaktu z tym okrągłym, skórzanym przedmiotem. Spróbować go sobie przywłaszczyć, opanować. Ale piłka nie chce przynależeć do kogokolwiek. Obrażona odbija się od nóg, kolan i głów, nabiera prędkości, umyka. *C'mon! Rapido!* – zagrzewają się do walki. Każdy we własnym języku, wszyscy doskonale rozumiejąc siebie nawzajem.

Ja też grałem w piłkę jako dziecko. Ale w porównaniu z obserwowaną przeze mnie batalią nasze mecze były jak partia kinetycznych szachów w zwolnionym tempie. Przymusowe seanse zblazowanych dzieciaków, dla których ostatnim, czego potrzebowały pomiędzy dniem wypełnionym zajęciami w szkole, a wieczorem spędzonym przed monitorem, było fizyczne zmęczenie. W tych natomiast pali się ogień. Grają, jakby od tego meczu miało zależeć ich życie. To fantastyczne. Prawdziwe. I kompletnie mi obce.

– Pan Robert Welkin? – zachrypnięty głos wrywa mnie z zamyślenia. – Proszę za mną.

Opuszczam taras widokowy i podążam długim korytarzem w kierunku sali konferencyjnej, w której reprezentanci Centrum Kariery omówią ze mną wyniki testów i przeprowadzą wstępną ocenę mojej przydatności do spożycia przez system. Następnie moje CV zostanie wystawione na wirtualną Giełdę Talentów, na której zalogowani

pracodawcy mogą licytować co lepsze aplikacje w czasie rzeczywistym i oczywiście za odpowiednią opłatą. Ja także płacę za ten przywilej znalezienia źródła utrzymania, oddając całe dziesięć procent moich dochodów na rzecz Centrum Kariery. Ale to nic. Bo „dziewięćdziesiąt procent czegoś to zawsze więcej niż sto procent niczego” – jak zwykł mawiać Albert, który w tym momencie zapewne jest zajęty spuszczeniem w kiblu projektu za osiemnaście milionów, po wliczeniu go sobie w koszty. Dzień jak co dzień.

– Panie Welkin, przez ostatnie pięć dni przeprowadziliśmy z panem drogą internetową wymagane testy kompetencji, których rezultaty za moment zaprezentujemy. Zanim jednak przejdziemy do formalności, chciałbym zadać panu jedno ważne pytanie.

– Dyrektor ośrodka wbija we mnie swoje przenikliwe spojrzenie.

Dwie młode, wyzywająco ubrane, przesadnie odmalowane i kompletnie nieme asystentki rozsądzone po jego bokach trzepoczą rzęsami, nie zdradzając emocji. Zmieszane zapachy ich perfum wypełniają pomieszczenie mdłą wonią. Zaczynam nabierać podejrzeń, że są tu tylko po to, by wzbogacić walory wizualne tego spotkania.

– Słucham pana.

– Jak tam jest? Niech pan coś opowie...

W jego głosie nie ma ciekawości. Słysząc tylko satysfakcję z tego, że oto siedzi przed nim mieszkaniec wysokiej białej wieży, najbogatszego, najlepszego miejsca na tej planecie, teraz zupełnie nagi, złamany i w potrzebie. Że to od jego widzimisię zależy moja przyszłość.

W pierwszym odruchu mam ochotę wetrzeć mu w twarz wciąż jeszcze świeże wspomnienie widoku na ten łez padół z perspektywy mojego zawsze sprzątniętego, klimatyzowanego apartamentu na sto sześćdziesiątym trzecim piętrze. Opowiedzieć trochę o dobrze poukładanym, pozbawionym stresów życiu w miejscu, w którym nie musisz pamiętać o zamykaniu drzwi, a zgubione przez ciebie rzeczy zawsze wracają do twoich rąk. O społeczeństwie, które nie wie, co to przemoc, strach i dyskryminacja. O kojącej, niedającej się opisać i wytłumaczyć równowadze ducha spowodowanej absolutną pewnością jutra. O miejscu, które każdym kolejnym dniem pokazuje, jak wspaniały jest człowiek, jak wiele potrafi osiągnąć zgodą, nie siłą.

Zamiast tego opowiadam mu wszystko, co tak naprawdę pragnie usłyszeć, bo wolę nie minimalizować moich i tak znikomych szans na wygrzebanie się z zapaści finansowej. Na bieżąco szyję opowieść o tym, że część osób nie radzi sobie z ciągłym przebywaniem na tak dużych wysokościach i jest zobowiązana do przechodzenia ciężkich terapii chemicznych, które zabijają w nich akrofobię, przy okazji upośledzając ich zdolność do odczuwania emocji. O tym, że pomimo wielu sztucznych parków i jezior wciąż brakuje kontaktu z naturą, a dni są monotonne. Tworzenie wersji rzeczywistości –

kiedyś płacili mi krocie za to gównu, widać jeszcze nie straciłem swojego drygu. Jego usta otwierają się ze zdumienia i połyka on wszystkie te wygrzebane spod ziemi brudy i rewelacje. Gdy kończę, jego twarz jest pełna zrozumienia dla mojego losu. Dziewczyny natomiast trzepocą rzęsami niewzruszone.

– Pana testy wypadły doskonale – zaczyna. – Jest pan osobą bardzo dobrze wykształconą, ponadprzeciętnie inteligentną, znającą języki, o ciekawej, kreatywnej specjalizacji zawodowej. Jedyne, do czego mogę się przyczepić, to niska motywacja do działania i kiepska samoocena, ale biorąc pod uwagę pańskie ostatnie doświadczenia, jest to zupełnie zrozumiałe...

Dwadzieścia minut podbudowywania ego, później maraton wyliczania moich zalet dobiega końca. Wiem, że to wszystko kompletnie nic nie znaczy, ale zawsze jest miło usłyszeć dobre słowo, nawet jeśli jest kłamstwem.

– Jest pan gotowy znaleźć pracę?! – wykrzykuje w moim kierunku, robiąc zamaszty ruch dłonią, która ostatecznie łąduje na kolanie jego asystentki.

– Zaczynajmy – mówię.

Jak na rozkaz szyby w oknach ściemniają się, a przezroczysty stół zamienia się w ogromny monitor. Moje CV zostaje opublikowane na portalu w dziale z nowościami. W prawym dolnym rogu licznik odwiedzin pokazuje numerycznie i przy pomocy wykresu równomiernie przyrastające zainteresowanie moją skromną osobą. Po długiej chwili niepewności pojawia się pierwszy licytujący o barwnej nazwie „Alutech – Piana aluminiowa by Ziggy Sozak”. Gdy już zaczynam sobie wyobrażać siebie w gumowych rękawicach i obcisłych goglach na twarzy, wciskającego ten sam przycisk przez długie sześć godzin dziennie, tudzież umilającego sobie czas na przerwach wymianianiem się z kolegami z roboty żartami o pierdach i jebaniu, do licytacji dołącza wydawnictwo „Everybody Schadenfreude”. Chwilę później pojawia się też coś o generycznej do bólu nazwie „EuroBest Industries” oraz serwis „Internetowe najebki”, prowadzący, jak sama nazwa wskazuje, video chat roomy poświęcone wspólnemu zażywaniu alkoholu. „Mocne trunki – mocne rozmowy” – głosi ich motto. Na całe szczęście zostają daleko w tyle. Jako następne wykrusza się „EuroBest”. „Ziggy” przez chwilę próbuje nawiązać równą walkę, ale wydawnictwo najwidoczniej nie liczy się z kosztami. Ktoś tam po drugiej stronie ekranu bardzo mnie chce. A mnie to bardzo pasuje. Na stole pojawia się pięć iksów, co oznacza, że poszliśmy już w dziesiątki tysięcy. Ostatni konkurent znika, zabierając ze sobą wizję gumowego stroju ochronnego.

– Zwycięża firma „Everybody Schadenfreude”! – głos prezesa przekracza barierę krzyku, a on sam nie spuszcza z oka okrągłej sumy na monitorze. Kobiety przestają zwracać uwagę na mnie i nieznacznie, choć zauważalnie, przechylają swoje ciała w

kierunku szefa, obrzucając go następnie pełnymi uznania, trzepoczącymi spojrzeniami. Oddycham z ulgą, myśląc, jak mogę odwdzińczyć się Almeidzie za zmotywowanie mnie do tego spotkania. Taka szkoda, że nie możemy się zobaczyć na mieście, bo to naruszyłoby jej zawodową etykę, czy coś takiego. A ja po prostu chcę jej postawić drinka i powiedzieć „dzięki”. Może uściskać. Na pewno przyszedłbym z kwiatem. Taki staroświecki, miły gest.

– Pański nowy pracodawca zgłasza gotowość do przeprowadzenia rozmowy. Proszę przejść do pokoju wideo-konferencji, gdzie pozna pan dalsze szczegóły. To wszystko z naszej strony. Dziękuję, panie Welkin – podaje mi spoconą dłoń, po czym znika, zabierając ze sobą dziewczyny.

Przechodzę do końca korytarza. Zamykam się w niewielkim pokoju i odpalam monitor. Wita mnie obowiązkowy blok reklam autopromocyjnych. Kilkakrotnie nie wyrażam zgody na dalsze przetwarzanie moich danych osobowych. Gdy system pyta mnie, czy jestem gotowy do przeprowadzenia rozmowy, potwierdzam głośnym „tak”, a moim oczom ukazuje się... Leonard Constantine.

– Witam nową małpę w moim cyrku! – mówi, uśmiechając się od ucha do ucha.

Zapada pół minuty naprawdę niezręcznej ciszy, podczas której Leonard przesuwając po ekranie wyniki moich kolejnych testów, poświęcając każdemu z nich minimalną ilość swojej uwagi. Ostatecznie wywala wszystko z pola widzenia i pochyla się w kierunku monitora. Na jego twarzy błądzi sadystyczny uśmiech. Mina człowieka, który trzyma w garści twoje jaja i dobrze o tym wie.

– Piszą tu, że jesteś zdolny, więc uważaj, co teraz powiem. To nie jest świat dla ludzi zdolnych. Są trzy typy osób, które odnoszą sukces – idioci, którzy są świadomi tego, że są idiotami, i całe życie konsekwentnie pracują, dzień po dniu, centymetr po centymetrze wspinając się na szczyt; idioci, którzy mają wśród znajomych idiotów, którym już udało się dotrzeć na szczyt, i wchodzą tam bez kolejki; i skurwiele, tacy jak ja. Jutro przyjedzie po ciebie nasz kierowca. Tymczasem.

Ekran gaśnie, po czym zapala się ponownie.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego użyłem słowa „tymczasem” – dodaje, kończąc przekaz.

Miasto jest planetą. Jest samowystarczalnym organizmem złożonym z miliardów elementów, które starają się trwać ze sobą w symbiozie. Krwią miasta są ludzie, jego arteriami ulice, przez które życie przepływa każdego dnia. Życie też ma swoje tempo. Mówi się, że z każdym rokiem

szybsze. Od kiedy człowiek przestał być podporządkowany cyklowi pór roku, a początku i końca jego dnia nie określa już wędrówka słońca po nieboskłonie, jedynym ograniczeniem zdaje się być nasza własna wytrzymałość, a i tę da się stymulować odpowiednimi środkami. Od człowieka współczesnego wymaga się dokładności, punktualności i dyscypliny. Nasze dni wypełnione są listą ściśle określonych zadań, a obok każdego z nich widnieje magiczny ciąg znaków określający przewidywany czas wykonania. Czas. To właśnie jemu jesteśmy bezwarunkowo podporządkowani. Nasze dni skrupulatnie podzielone na minuty. Każde przebudzenie się, dojazd i pobyt precyzyjnie obliczone, ułożone jeden na drugim w misterną konstrukcję dnia. Wystarczy wytrącić z niej choćby jeden element, by cała układanka zwaliła nam się prosto na głowę, niczym lawina. Każdy mieszkaniec dużego miasta doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, że najbardziej utrudniającym życie czynnikiem, skutecznie wytrącającym nas z równowagi, jest źle działająca komunikacja. Spójrzmy prawdzie w oczy: 250 lat po wynalezieniu samochodu wciąż jesteśmy zacofani, jeśli chodzi o organizację ruchu. Wszystkie działania podjęte w ostatnich latach – ścisły monitoring na każdej ulicy i algorytmy automatycznie wybierające dla naszego auta alternatywną drogę, wprowadzenie obowiązku jazdy ławicami, zwiększenie dopuszczalnych limitów prędkości czy ustanowienie drakońskich stawek za przywilej posiadania samochodu w terenie zurbanizowanym – okazały się jedynie połowiczną odpowiedzią na problem. Aut jest po prostu zbyt dużo. Architekci Ketry musieli zdawać sobie sprawę z zagrożenia, które niesie ze sobą niesprawna komunikacja. Dlatego zdecydowali się na radykalne, lecz – jak pokazał czas – jedynie słuszne posunięcie. Miasto Ketra zostało pozbawione ulic i samochodów. W zamian mieszkańcy otrzymali superszybką kolej magnetyczną, windy, segwaye, shweeby i... mnóstwo czasu zaoszczędzonego na staniu w korkach i kolejkach. Mówi się, że szczęśliwy jest ten, kto czasu nie liczy. Powodzenie miasta Ketra zostało zbudowane na tym właśnie założeniu.

Mężczyzna za kierownicą przeżuwa końcówkę stylusa, wyjmując go co jakiś czas z ust w charakterystyczny dla palaczy sposób. Jego ciało faluje w rytm dub-popowej papki sączącej się z internetowego radia, którą doktor Benedict Way pomaga mi zagłuszyć. Gdy jego ręce akurat nie są zajęte dłubaniem w zębach ani sprawdzaniem pogody w Internecie, mocno gestykuje nimi w kierunku stojących przed nami aut. Czasem nasze spojrzenia spotykają się w lusterku wstecznym, które wyświetla podgląd na wygodniejszą część tej stylowej limuzyny. Ciekawskie, bystre spojrzenie zupełnie nie pasuje do masywnego cielska ugniatającego czarny fotel wykonany z najprawdziwszej skóry. Jego łysa czaszka obraca się w różnych kierunkach z taką energią, że czekam na moment, w którym oderwie się od reszty ciała i polecą przez okno w dół zakorkowanej ulicy, torując sobie drogę soczystymi kurwami.

– Co za gówno – mówi do siebie, a może do mnie.

Wyłączam słuchawki i pochylam się w kierunku przodu auta.

– Wypadek? – próbuję zagaić rozmowę i praktycznie od razu zaczynam tego żałować.

– Jakiś kretyn wpadł na pomysł, żeby prowadzić na manualnym i wprasował się w filar wiaduktu. Zakorkowane do samego bulwaru Gatesa – mówi. – Gdyby to moja firma obsługiwała te ulice, takie wypadki nie miałyby miejsca. Na każdym wjeździe w strefę monitoring modułów. Nie masz załączonego automatu? – ograniczenie do dwudziestu na godzinę i możesz się toczyć, ale nikogo nie uszkodzisz, nic nie zakorkujesz, rozumiesz? W ten prosty sposób wszystko idzie do przodu. Wolno, ale idzie. Można by przymusowo załączać ludziom automaty, ale to zaraz protesty, że się wolność ogranicza, że to, że tamto. Kurwa. Ludzie nie umieją jeździć, taka jest prawda. Kiedyś to przynajmniej trzeba było testy jakieś zdawać, na kurs chodzić, manualnie się wykazać. A teraz? Egzamin online i możesz wsiadać, rozumiesz? Niby racja, samochody są bezpieczne, a żeby prowadzić starsze auta, trzeba już mieć odpowiednie uprawnienia, ale co, jak komuś palma odbije, tak jak temu? Albo jak elektronika wysiądzie, co też się zdarza? Taki kierowca jest kompletnie bezradny. Właściwie, co ja mówię, to już nie jest kierowca. Przecież teraz używa się terminu „użytkownik”. Hector Lann, Vladislav Pavluchenko – to byli kierowcy. Opanowanie pojazdu, drift, manewry, gra umysłowa z przeciwnikiem, wszystko wypracowane latami morderczych treningów. Tak się ścigali. A teraz? Możesz włączyć autopilota i sam za ciebie przejedzie tor, rozumiesz? To nie ludzie się ścigają, tylko inżynierowie i programiści. Gdzieś to wszystko zepsuli po drodze...

– Blu! – na przedniej szybie pojawia się ni stąd, ni zowąd ogromna twarz Leonarda.

– Witam, szefie.

– Według moich obliczeń powinieneś tu być dwadzieścia osiem minut temu. Co jest ważniejsze od bycia tutaj?

– Korek, panie prezesie. Jakiś kretyn...

– A jak przesyłka? – Pokazuje wyraźnie na mnie palcem.

– Bardzo dobrze. Tak sobie właśnie...

– Pamiętaj, że chcę go żywego – przerywa tłumaczenia kierowcy po raz kolejny, po czym znika tak szybko, jak się pojawił.

– To nie jest niebezpieczne? Taki projektor w przedniej szybie?

– Szef kazał zamontować we wszystkich limuzynach służbowych, bo lubi mieć bezpośredni kontakt z podwładnymi. Zawsze załatwia sprawy twarzą w twarz. To młody

człowiek, ale ma zasady jak ludzie dawniej, to u niego lubię. Jest konkretny, rozumiesz? Sprawiedliwy.

– Wciąż nas słucha? – zgaduję.

– Ta... – rzuca, nieudolnie maskując swoją odpowiedź udawanym kaszlem.

– Robert Welkin do pana Leonarda Constantine'a.

Kilka stojących obok osób obraca się z zaciekawieniem w moją stronę. Sekretarka rezydująca w recepcji głównego hallu wydawnictwa Everybody Shadenfreude podnosi zaskoczony wzrok znad ekranu zasypanego wirtualnymi kartami do gry i natychmiast staje do pionu, wyrzucając przed siebie swoje wielkie, sztuczne piersi.

– Proszę za mną. – Łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą w kierunku wind. – Jest pan bardzo, ale to bardzo spóźniony – powtarza nerwowo, szorując długimi szponami po przezroczystej ścianie, próbując trafić w odpowiedni przycisk. Winda rusza do góry szklanym tunelem. Gdyby nie wieże górujące nad bezchmurnym przedpołudniowym niebem, prawie dałbym się oczarować tej estetycznej architekturze, imponującym otwartym przestrzeniom. W tym budynku każde piętro ma swój odmienny klimat, bo gdy wjeżdżamy na górę, minimalistyczna forma ustępuje barokowemu przepychowi. Moje buty zapadają się w miękkie, czerwony dywan. Spowity w półmroku korytarz kończą ogromne drewniane drzwi, w których wyrzeźbiono misterne wzory przypominające widziane przeze mnie kiedyś rodowe herby starogermańskie. Pamiętam, że użyliśmy ich w serii filmów dla inteligentnych termostatów. A może to były kremy wyłączające łaknienie? Sekretarka puka, otwiera nieśmiało drzwi i rzuca się z powrotem w kierunku windy.

Zastaję Leonarda w trakcie obiadu. Tuż obok talerza, na stole, stoi ogromne psisko rasy rottweiler. Potwór miota obślinionym pyskiem ciężką, metalową misę po całym stole. Dostrzega moją obecność, puszcza od niechcienia głęboki, bulgoczący warkot i stwierdzając, że nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, powraca do pochłaniania ochłapów. Leonard daje mi znak, żebym mimo wszystko zachował bezpieczny dystans. Kończy obgryzać skrzydełko kurczaka, rzuca je od niechcienia przed siebie, po czym głośno beka, starając się przez cały czas utrzymać ze mną kontakt wzrokowy.

– Jeden dziennie, nie więcej niż cztery w tygodniu. Nigdy z rana lub na noc – mówi, wyjmując papierosa zza ucha. – Stosuj się do tych zasad, a twój organizm nawet nie zauważy, że przyjmujesz tę truciznę.

Energicznym ruchem uderza staroświecką zapalniczką benzynową o brzeg stołu. Zapala papierosa, zaciągając się dymem po brzegi płuc.

– Tę kurwę na motorze na pustej po horyzont drodze... – mówi rozmarzonym głosem i na pełnym wdechu.

Jego głowa opada powoli na oparcie fotela. Pusty wzrok błądzi po suficie. Po twarzy przesuwiają się smugi dymu ulatniające się z półotwartych ust. Zastygamy tak w ciszy i bezruchu na długie minuty. On, pogrążony w swojej nikotynowej fazie, ja, zdeorientowany, cierpliwy, przerażony. Przynajmniej rottweiler nie interesuje się moją osobą, tylko ciężko opada na dupę i zaczyna lizać się po jajach.

– Do rzeczy! – zniecierpliwiona krzyczy Leonard.

Ostatni obłok przefiltrowanego dymu opuszcza jego płuca. Przeskakuje stół i z hukiem rozwiera drewniane wrota, po czym rozpoczyna energiczny marsz w kierunku wind. Ruszam w pogoń za nim, ledwo dotrzymując mu kroku. Krzycząc i gestykułując, Leonard w dość chaotyczny sposób przekazuje mi podstawy:

– Jak pewnie wiesz z wiadomości i innych programów science fiction, jestem najlepiej prosperującym przedsiębiorcą w tym grajdole. Nie ukrywam, że to prawda. Obecnie jestem właścicielem kilkunastu firm zajmujących się wszystkim: od promowania sztuki do nagrywania filmów porno. Czarnoskóry dżentelmen, którego miałeś okazję poznać ostatnio, to mój człowiek do zadań specjalnych i tak zwana prawa ręka. Będziesz pracował pod nim, co brzmi głupio w kontekście filmów porno, o których właśnie wspomniałem, ale interpretuj to sobie, jak chcesz. Jahred twierdzi, że się nadasz jako jego asystent, a on się nie myli. Pewnie się zastanawiasz, skąd może to wiedzieć, gdy widział cię tylko raz w życiu przez dobrą minutę. Gdybym ci powiedział, i tak byś nie uwierzył. I pewnie musiałbym cię później zastrzelić, tak dla pewności. W każdym razie mam do Reda pełne zaufanie. Co więcej, mnie też się przydasz, z powodów wizerunkowych. Jesteś człowiekiem z góry. Byłeś w telewizji. Możesz być dla niektórych egzotyczną atrakcją. Mam zamiar to wykorzystać. Poza tym zmusiłem się do przeczytania twoich papierów i było coś tam... coś tam... o byciu kreatywnym?

– Tak, pracowałem w reklamie.

– Dokładnie, zajebiście. W takim razie mianuję cię moim ministrem propagandy.

– Czyli?

– Będziesz robił dobry PR dla mojego biznesu. Albo czarny PR dla konkurencji. Albo oba. Jeszcze się nie zdecydowałem.

Winda parkuje na poziomie minus dwa. Doktor Benedict Way wspominał coś o budownictwie strefy B, które jest słabo „ukorzenione”. Ziemi na Ziemi nigdy nie

przybędzie, dlatego w obecnych czasach jedynym słusznym kierunkiem rozbudowy jest pion, nie poziom.

– W każdym razie pamiętaj dwie rzeczy. Praca u mnie to przywilej – kontynuuje swój wywód, prowadząc nas podziemnymi korytarzami głębiej w trzewia budynku. – Każdy dzieciak po tej stronie muru dałby się pokroić, żeby mieć twoją robotę, bo przynosi pieniądze, szacunek i tyle kurew, ile jesteś w stanie wepchnąć do sypialni.

– A ta druga? – pytam ośmielony jego ekspresyjnym tonem.

Leonard otwiera przede mną drzwi i zaprasza mnie do jasnego pomieszczenia, w którym honorowe miejsce zajmuje duży, błyszczący stół... chirurgiczny?

Uklucie w szyję. Prawie niezauważalne. Działa natychmiast. Oczy zachodzą mgłą...

– Żeby dla nas pracować, będziesz musiał umrzeć... – mówi głos dobiegający z drugiego końca świata.

Zapach ziemi po deszczu... Wypełniam się nim. Ostatnie krople błyszczą w świetle czerwcowego słońca, leniwie zsuwając się z falujących na wietrze liści. Soczysta zieleń ocieka kolorem. Zatapiam buty w wysokiej trawie, przedzierając się dalej w głąb lasu. Moje stopy grzęzną, zaplątują się w długie, zielone pnącza, ale nie zważając na trudności, maszeruję przed siebie, niesiony jak na skrzydłach chęcią poznania, odurzony zapachem i wrażeniami. Wreszcie docieram na miejsce. Moje miejsce – bo tak lubię o nim myśleć – jest skrzyżowaniem dwóch wydeptanych ścieżek przecinających las dokładnie pod kątem prostym. Każda z dróg prowadzi w określonym kierunku świata. Kręcę się w koło z zamkniętymi oczami, zatrzymując się co kilka chwil i próbując zgadnąć właściwy kierunek, nim je otworzę. Zawsze mi się udaje. W moim własnym lesie nigdy nie tracę orientacji. Tu, na skrzyżowaniu, w samym centrum świata mam chwilę dla siebie, mimo że gdzieś z oddali już słychać głosy. *Robert... Robert...* Nawoływanie odbija się echem pomiędzy drzewami... Ostatni raz żegnam się spojrzeniem ze wschodem, północą i zachodem i kieruję moje kroki z powrotem do domu.

– Robert!

– Tu jestem... – próbuję odpowiedzieć, zrywając się z łóżka.

– No, wreszcie! – mówi Leonard.

Para zielonych oczu ukryta za opadającymi włosami przygląda mi się z zaciekawieniem. W rozmytym, prześwietlonym kącie kadru pojawia się też Jahred. Stwierdzam, że jestem u siebie w pokoju. Jeszcze nie wiem, jakie niesie to ze sobą

konsekwencje. Zapach mokrego, wiosennego lasu ustępuje zatęchłemu smrodowi hotelu. Cała lewa ręka od nadgarstka do łokcia pulsuje ostrym bólem. Przez chwilę przyglądam się bez zrozumienia silikonowym bandażom na moim ręku, które wyświetlają puls i temperaturę ciała, po czym wszystko wraca do mnie spiętrzone na szczycie wielkiej fali świadomości.

– Co wy ze mną, kurwa, zrobiliście?! – wydieram się, próbując wstać.

– Spokojnie. Musieliśmy usunąć z ciebie nadajnik. Na szczęście nie urodziłeś się w strefie A, więc to była w miarę prosta robota, nawet dla naszego chirurga plastycznego. Uwierz mi, ten z mózgu wychodzi gorzej. Powiedz mu, Red.

– Nie zawsze się udaje – odzywa się mocno basowym tonem.

– Kurwa! Jaki nadajnik?

– Chip zbierający o tobie informacje, ustalający twoje położenie. Każdy na górze go ma. Ketra ma wiele sekretów, kolego. Ale ty akurat nic nie możesz o tym wiedzieć.

– Ale...

– Już po wszystkim. Jak tylko się rozpogodzi, satelity zaktualizują dane, a ty zostaniesz oficjalnie uznany za martwego. Swoją drogą, dawno już nie było tak deszczowego lata – mówi, wyglądając przez umazane brudnymi zaciekami okno.

Wściekłość i bezsilność wypalają mnie od środka. Zaciskam pięści powyżej granicy bólu. Bandaż nasącza się krwią. Próbuję walczyć ze znieczulonym, odrętwiałym ciałem, podnieść się do pionu. I dopiero wtedy go zauważam. Leży niewinnie na stoliku obok łóżka, połyskując w bladym świetle. Nie większy niż dwa milimetry, kształtem przypominający pocisk w łusce. Jego silikonowa powłoka rozerwana w strzępy. Martwy nadajnik. Martwy ja.

– Czy to?...

– Jest zsynchronizowany z twoim organizmem. W momencie usunięcia go z ciała uznaje, że ustały funkcje życiowe i przestaje nadawać – wyjaśnia Leonard. – Co lepsze, uwalnia substancje żrące i sam usuwa po sobie ślady. Dobrze przemyślane. Żadna sekcja tego nie wykryje. Nawet nie wiesz, ile kosztowała mnie wiedza o tym głównie – mówi, zmierzając do wyjścia.

– Blu przyjedzie po ciebie jutro o tej samej porze – rzuca i zamyka drzwi.

Jeszcze przez chwilę słyszę jego głos na korytarzu i zaskoczony popiskiwanie Wenecji. Witają się jak starzy, dobrzy przyjaciele, ale co ja tam mogę wiedzieć o przyjaciółach? Co ja mogę wiedzieć o czymkolwiek? W głowie dudni mi chaos. Do ust cofają się same wkurwione pytania. Żadnych odpowiedzi. Zataczam się z powrotem do łóżka. Nadzieja na powrót do domu wymyka się razem ze świadomością.

*

A później słyszę zawroźnienie wiatru. Ciężko dyszy nade mną w ciemnościach nocy, gdy walczę o ponowne przebudzenie z chemicznego letargu. Wynurzam głowę ponad powierzchnię snu, a wycie zamienia się w słowa.

– To głupie. Idiotyczne. Sama właściwie nie wiem, po co to robię...

Smutne, szeptane, szare słowa.

– Widzisz... Może dlatego, że cały ten czas słuchałam twojego gadania, a sama chciałam ci powiedzieć kilka rzeczy. Na przykład to, że jestem beznadziejnym psychologiem. Na stażu i bez doświadczenia. Naprawdę nie wiem, dlaczego dostałam twój przypadek. Ale ucieszyłam się, bo całe życie mieszkałam w cieniu tych pieprzonych wież i całe życie marzyłam o tym, żeby się tam dostać. A ty stałeś się moją namiastką lepszego świata. To był układ, z którego każdy korzystał. Ja też nadaję się do leczenia. Każdy potrzebuje pomocy, bo wszystkim jest źle z tym, co mają i kim są. To życie jest jak szpital, a my jesteśmy jego pacjentami i wiecznie marzymy o zmianie łóżka... To były dobre rozmowy. Szczere... Nie mogłam nie zaangażować się w nie emocjonalnie, choć wiem, że nie powinnam. Wspominałam już, że jestem beznadziejna w naprawianiu ludzi? Nieważne. Podróżuj spokojnie, bądź nieskończonością w swoim zjednoczonym wszechświecie... Było bardzo miło cię poznać, Robercie Welkin... Na razie. Cześć.

Przez chwilę walczę ze sobą, czy mam się odezwać, czy pozwolić temu po prostu zginąć w świecie pełnym przypadku i nieporozumień. Ale przez te wszystkie słowa, wypowiedziane i przemilczane, przez zarwane noce, nie mogę pozbyć się uczucia, że zrobię to wszystko źle, popełnię ogromny błąd, jeśli nie zrobię nic.

I zostanę tu zupełnie sam.

– Hej – przerywam ciszę. – Wciąż tu jestem.

Nie widzę jej, ale jestem w stanie ją sobie wyobrazić. Jej rozszerzające się źrenice. Oddech uwięziony w gardle. Gubiące rytm serce. Wstyd?

– To... to niemożliwe – szepcze.

– To ja.

– Ty żyjesz? – pyta zaskoczona i dodaje po chwili bardziej wściekle. – I słyszałeś to wszystko?

– Nic nie słyszałem, same zakłócenia.

– Daruj sobie! – rzuca i się rozłącza.

Mija minuta. I jeszcze jedna. Wracam z herbatą i zasiadam przed monitorem.

– Lepiej powiedz mi, dlaczego system uważa, że nie żyjesz? – pyta, wznawiając transmisję.

– Nie wiem. Mam pewną teorię, ale muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy. Na razie nie wyprowadzajmy nikogo z błędu. Tak będzie lepiej.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie mogę ci teraz tego powiedzieć. Spotkajmy się – proponuję.

Po drugiej stronie zapada długa cisza. Słowa zostały powiedziane. Myśli przekazane.

Jej ruch...

– Gdzie? – odpowiada po kolejnej minucie.

– Wybierz miejsce, tylko mi nie mów.

– Więc jak się dowiesz?

– Tak jak ostatnio.

– Dobrze.

– Almeida?

– Słucham.

– Bardzo mi się podobał ten fragment o szpitalu.

– Proszę, zamknij się już!

Wyłączam monitor, siadam na brzegu łóżka i próbuję sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać nasze spotkanie. Moment, gdy ją zobaczę. Być może usłyszę ten znajomy, spokojny głos gdzieś za plecami i będę bał się odwrócić, żeby jej nie wystraszyć. Być może w końcu zacznę ważyć słowa, gdy będę musiał je wszystkie wypowiedzieć na głos. Przy niej. Bez zachowania bezpiecznego dystansu i anonimowości. A co, jeśli jest piękna, a ja po prostu stanę tam z kretyńskim wyrazem twarzy, jakbym pierwszy raz w życiu zobaczył atrakcyjną dziewczynę? Co, jeśli w ogóle nie przyjdzie? Nagle zapominam o byciu uśmierconym przez nielegalny implant, który wyciągnął ze mnie chirurg plastyczny pracujący dla gangstera. Po prostu chcę dobrze wypaść.

Pukanie do drzwi.

– Leo prosił, żebyś sprawdziła, czy żyjesz. – Wenecja wprasza się do pokoju.

Po drodze do łóżka zsuwa z siebie czarną, krótką sukienkę, pod którą nie nosi żadnej bielizny.

Życie. Nie mam nic do powiedzenia.

Leonard jest dziś w wyjątkowo złym humorze. Tak przynajmniej twierdzi Jahred, który mówi tylko wtedy, gdy sytuacja naprawdę tego wymaga. Ed ma w sobie coś dziwnego. Jest jakby wiecznie zawieszony. Medytujący. Jak wojownik starej szkoły. Szaman.

Zawsze spokojny i opanowany. Zawsze czujny. Tylko jego aparycja – dwa metry wzrostu, muskularna sylwetka, fluorescencyjne tatuaże i blizny – opowiada historię zupełnie inną, niż mogłoby sugerować jego zachowanie. Podobno pochodzi z Czerwonej Ziemi, a gdy już mówi, w jego głosie słychać mocny akcent. W hierarchii tej organizacji jest drugi po szefie, ale tak naprawdę stanowi przeciwwagę dla wiecznie naćpanego emocjami, pędzącego we wszystkich kierunkach jednocześnie wysłannika chaosu, którym jest Leonard. Bardzo potrzebną przeciwwagę.

– Mam pewnego współpracownika – Leo rozpoczyna krótki briefing. – Bardzo go lubię. To dowcipny człowiek, pełen pomysłów, z niebywałą wyobraźnią. Tylko że ostatnimi czasy coraz częściej zdarza mu się mylić marzenia z rzeczywistością. Chciałbym, żebyście wręczyli mu wypowiedzenie.

Na przezroczystym stole łąduje z hukiem broń. Wiem, że nie zostałem tu zatrudniony, żeby podlewać kwiaty i recytować wiersze, ale atmosfera zaczyna robić się gęsta. Leonard, jak zdążyłem już się zorientować, bezbłędnie czyta moje emocje, nim zdążę je ukryć pod głęboką warstwą profesjonalnej obojętności.

– Lubię studiować ludzi – zwraca się do mnie, obracając pistolet lufą w moją stronę – i interpretować zachowania. Można powiedzieć, że mam na tym punkcie małą obsesję. Bo tak naprawdę wszyscy jesteśmy do siebie w pewien sposób podobni. Mamy wrodzone instynkty, zakodowane schematy, które łatwo można dostrzec, jeśli potrafisz patrzeć. – Odciąga górę pistoletu do tyłu. Zamek wraca na miejsce z metalicznym trzaskiem.

– Jeżeli czegoś nauczyły mnie lata spędzone w show-biznesie, to tego, że ze wszystkich rzeczy na świecie widok broni wycelowanej w twoją głowę robi robotę najlepiej. Każdy nagle staje się sobą, gdy musi spojrzeć w ślepe oko lufy.

Naciska spust, a broń robi „klik”.

O dziwo, pocisk nie rozszarpuje mojej czaszki na strzępy, nie maluje krwawą breją fraktali na szybach pedantycznie wysprzątananej sali konferencyjnej. Nie słychać huku. Nie widać dymu. Ale i tak wydaje mi się, że właśnie umarłem. Właśnie mogłem umrzeć. To było takie proste. Tak nic nieznaczące. Angażujące tak niewiele energii. Treść żołądka podływa mi do gardła na myśl, że tak w ogóle można. Odrzeć czyjeś życie ze znaczenia jednym, praktycznie niezauważalnym gestem.

Leonard przygląda mi się z uwagą. Uśmiecha się, przygryzając filtr nieodpalonego papierosa, po czym kieruje nas do drzwi.

^[1] Napis witający wchodzących umieszczony nad bramą piekielną w *Boskiej komedii* Dantego. Przekład Edwarda Porębowicza: *Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją*; przekład Władysława Kopalińskiego: *Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie*.

*

Nad miastem zapada zmierzch. Wieże Iłnią pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca. Tu, na dole, ulice zduszone gęstą parą schną po ulewie. Niespiesznym tempem przemierzamy północne dzielnice strefy B – najstarsze miejsce miasta pod murem, wypełnione dziś ruinami fabryk, przerobionymi na squaty, kluby i burdele. Stopień zero to dogorywające cmentarzysko odpadów tego świata, wiecznie ukryte w cieniu wysokich wież. Za oknami kuloodpornej limuzyny przesuwa się świat, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, bo poprawna politycznie telewizja miasta Ketra oszczędzała nam tego typu obrazów, wypełniając czas antenowy reklamami poprzetykanymi kolorową procesją reality show, które z reality nie mają nic wspólnego. To samo filmy, które nauczyły mnie, że wizja artystyczna powinna być przejawem obrazem rzeczywistości. W dzisiejszych czasach, jeśli chcemy, aby coś odniosło sukces, przekazało myśl skutecznie, musi być przesadzone, napompowane, dziesięć razy lepsze i sto razy szybsze od swojego pierwowzoru. Ludzie zbyt szybko obojętnieją na obraz i słowo. Ich umysły muszą być nieustannie stymulowane nową, bardziej ekstremalną wizją świata. Ale to... to jest realne. Fascynujące. I dziwniejsze niż fikcja.

– Jesteśmy. – Blu parkuje auto przed wejściem do klubu Valhalla Vortex.

Neonowy napis w stylu retro spowija ulicę czerwoną poświatą. Wszystko Iłni od deszczu. Strumień ścieków przy krawężniku unosi głównie wypalone pety, przepływa obojętnie wokół ciała grubego, martwego kota i pełźnie dalej w dół ulicy. Smród śmieci i chemicznego dymu uderza mnie w nozdrza od pierwszej sekundy, gdy tylko wyłaniam się z klimatyzowanego i aromatyzowanego wnętrza limuzyny. W półmrokach ulicy, niczym cienie, przesuwiają się bezszelestnie anonimowe postaci. Czasem w oddali słychać czyjś śmiech, ale przeważnie są to szepty. Wchodzimy tylnym wyjściem ciasną klatką schodową, wprost na sam szczyt czteropiętrowego budynku.

– Nie przejmuj się, mzungu. Nikt nie umrze.

To jedyne, co mówi do mnie Jahred przez cały ten czas. I wystarczy, bo to wszystko, co chciałem wiedzieć.

Na ostatnim piętrze znajduje się wejście do gabinetu strzeżone przez dwóch przesadnie szerokich dżentelmenów. Na nasz widok kiwają porozumiewawczo głowami i bez słowa rozchodzą się w przeciwnych kierunkach, po czym znikają w ciemnych korytarzach. To będzie prostsze, niż myślałem – mówię do siebie, pukając do drzwi.

Z drugiej strony ostry, ochrypliwy i wściekły głos rzuca kategoryczne:

– Czego?

Jahred naciska klamkę i przepuszcza mnie pierwszego w drzwiach. W niewielkim, ciemnym gabinecie znajduje się masywne, drewniane biurko z wielkim holograficznym monitorem. Przez jego półprzezroczystą powierzchnię dostrzegam okrągłą, brodatą twarz przyglądającą mi się wybałuszonymi, zaskoczonymi oczyma.

– A ty, kim, kurwa, jesteś i jak tu wlałeś?

– Dobry wieczór. Przysyła nas Leonard Constantine...

Jego twarz eksploduje. Podobnie jak moje ucho ogłuszone wystrzałem. Czuję na poliku piekący podmuch z lufy i słyszę tylko jednostajny pisk. Otrząsam się z pierwszego szoku, tego fizycznego.

– Kurwa! Co, do kurwy?! – wydieram się ponad moją głuchotą.

Jahred chowa broń pod klapę marynarki i mija mnie, ignorując wszystkie moje krzyki. Zza stołu wystaje para nóg opartych na przewróconym krześle. Obraz na monitorze gaśnie, odsłaniając ogromną krwawą plamę spływającą melancholijnie ze ściany. Czuję, że tracę kontakt z rzeczywistością. Że śnię. Gram w grę.

– Kurwa... Miał nie umierać! – Pokazuję w kierunku trupa.

Piecze mnie ryj i boli brzuch. Jahred wyciąga z kieszeni garść ziemi.

– Nikt nigdy nie umiera. Duch trwa – tłumaczy spokojnym tonem, rozrzucając ją wokół ciała.

Po chwili – nie jestem w stanie stwierdzić, jak dłużej – wyciąga mnie za rękaw z pokoju i ściąga jak kukłę w dół po schodach, umieszcza na tylnym siedzeniu limuzyny i nakazuje Blu ruszać przed siebie, głębiej w labirynt nocy.

Dziesięć tysięcy. Dokładnie tyle mogę wepchnąć sobie w dziurę po kuli, którą ja też cały czas mam w głowie. To dużo. To nic. Zależy od perspektywy. Czas pokaże, czy wystarczająco, by zatamować potok myśli, od których wciąż pocą mi się ręce.

Mija dzień i noc.

I dzień.

Patrzę w lustro i powoli przestaję poznawać siebie. Nie dlatego, że trochę zarosłem, że z twarzy zniknęła opuchlizna, która pozostawiła po sobie pamiątkę w postaci kilku łatwych do usunięcia blizn. To bardziej kwestia oczu. Wypełnionych strachem po brzegi tęczęwek. Zdezorientowanych.

Pierdol to – mówi nagle osoba po drugiej stronie lustra. Jej spojrzenie jest inne. Nie wystraszone, ale żywe. Ciekawe. Każe mi się pochylić po raz ostatni nad moim nudnym i grzecznym trupem, a później jechać dalej tą samą drogą, by sprawdzić, dokąd nas

zabierze. Masz coś do stracenia? Nie wydaje mi się – mówi rozglądając się po brudnym, ciemnym pokoiku hotelowym, którego okno jest zbyt małe, by było w stanie zmieścić widok choćby połowy rozświetlonych wież.

Mam. Siebie – odpowiadam smutno. Ale powoli przyjmuję do wiadomości fakt, że kolejna granica została przekroczona. Że dzięki temu stać mnie na więcej – w każdym znaczeniu tych słów. Część mnie zginęła, by to, co pozostało, mogło dalej żyć. Pewnego dnia wrócę na szczyt wieży i to wszystko, co dzieje się teraz, stanie się złym snem. Spojrzę w okno i zapomnę go od razu.

Tymczasem...

- Co my właściwie tu robimy?
- Obserwujemy ludzi, którzy obserwują ciebie.

Leonard podaje mi tablet. Na ekranie młoda dziewczyna i nieco starszy od niej mężczyzna usadowieni przy małym stoliku w jakiejś podrzędnej knajpie konsumują sporą pizzę.

- Kto to?
- Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.
- Pierwszy raz ich widzę. Skąd wiecie, że mnie obserwują?
- Mam swoje źródła – mówi, zapalając papierosa.

Wiatraki w dachu limuzyny natychmiast neutralizują gryzący dym. Facet zza stolika woła do siebie kelnera. Z gestów, które wykonuje, łatwo wywnioskować, że zamawia dwa małe napoje. Być może kawę.

- Nie wyglądają na groźnych – mówię.

Leonard zatrzymuje obraz z kamery w momencie, gdy mężczyzna odbiera filiżanki z rąk kelnera.

- Aha! – wykrzykuje triumfalnie, powiększając fragment obrazu na ekranie.

Marynarka mężczyzny odsuwa się na ułamek sekundy od jego piersi, odslaniając połyskujący przedmiot, który może być bronią, odznaką lub czymś zupełnie innym.

- Ed, co to za giwera?

Jahred przygląda się przez dłuższą chwilę wyciętej klatce filmu, przesuwając ją o ćwierć sekundy w przód i w tył, tak aby uchwycić przedmiot w ruchu. Duża odległość kamery od miejsca docelowego nie pozwala na uzyskanie idealnego obrazu.

– Marauder 7D z 2046 roku z powiększonym magazynkiem, przerobiony na amunicję kriogeniczną – odpowiada wreszcie.

– Hm... niedobrze.

– Co to oznacza?

– Psy nie mają tak mocnej broni na wyposażeniu, więc to raczej nikt ze służb porządkowych. Z drugiej strony to zbyt pedalska giwera, jak na prawdziwego gracza, a przez gracza mam na myśli gangstera – wyjaśnienie jest wyraźnie skierowane do mnie – więc to też nikt z branży. My używamy mocniejszych armat – mówi, wyciągając zza pazuchy połyskujący, czarno-srebrny kawał żelastwa, zwracając tym razem moją uwagę nie na wylot lufy, lecz na napis na zamku.

– Desert Eagle. 50 AE – czytam.

– Dokładnie, skurwielu! Jeśli mają ci odstrzelić dupę na mieście, lepiej żeby twoje zwłoki trzymały go w ręku, inaczej możesz mieć chujową frekwencję na pogrzebie, bo nikt nie okaże ci szacunku – tłumaczy ekstatycznie, naśladując raperski akcent, a gdy zauważa, że Jahred spogląda na niego z powątpiewaniem, uspokaja się, profilaktycznie przeładowuje broń, chowa ją i kontynuuje dużo spokojniejszym tonem: – Nie ja ustalam te trendy, tak już po prostu jest. Od pokoleń. Nie wiem, czy słyszeliście historię Franka Lorenzo? Załatwili go w kiblu na lotnisku ładunkiem wybuchowym. I co? Frank mógł trząść tym miastem przez dekadę, być najbardziej wpływowym graczem na kontynencie, a wszyscy i tak go zapamiętali jako gościa który wyszedł stąd umazany w gównie i ze spuszczonej spodniami. „Czekoladowy Frank” tak na niego teraz mówią. Ulubiony bohater Franka? Willy Wonka. Co Frank myśli o bombach? Że są do dupy. Trzeba uważać, jak się kończy.

Jahred odsuwa kuloodporną szybę limuzyny, a do środka wlatuje miniaturowa kamera.

– Na razie nic tu po nas. Będziemy musieli poczekać na ich następny ruch – mówi Leonard. – Blu, podwieź nas do metra. Mam ochotę poobcować z plebsem.

*

W metrze śmierdzi. A dziś nawet nie jest ciepło. Nad ziemią niskie chmury zasnuwają niebo jednostajną szarością. Pod powierzchnią opary potu, moczu i resztek jedzenia wypełniają bezkresne tunele, wyciskając z oczu szczerą łzy obrzydzenia.

– Kasa izoluje – twierdzi Leo. – Ludzie z wypchanymi kieszeniami marzą najbardziej o tym, żeby zostawić ich w spokoju. Pancerne limuzyny, wysokie mury wokół domów, kuloodporne szyby, kevlarowe gacie i białe rękawiczki – to wszystko sprawia, że przestają smakować życie takim, jakie jest. Odcinają się, tworzą własną wersję rzeczywistości, pozbawioną elementu ludzkiego. A później umierają na skórzanym

fotelu, w klimatyzowanym apartamencie, twierdząc, że już wszystko widzieli. Gównu widzieli! – wydziera się w kierunku stojącego obok pasażera, wywołując małe poruszenie w wagonie.

Ludzie zaczynają pokazywać go sobie nawzajem. Kilka osób zaczyna nagrywać jego wystąpienie na urządzenia multimedialne, jakie akurat mają na sobie. Strumienie danych wysyłają transmisję w świat. Pojawiają się pierwsze komentarze, udostępnienia, odpowiedzi i polubienia. Informacja trafia na blogi, a stamtąd w ręce dużych dzienników, które złąknione dowolnej informacji robią przedruk bez podawania źródła. Liczy się czas. Gdy dojedziemy do ostatniej stacji, wideo Leonarda Constantine'a prawiącego kazanie do szarej masy w dusznym wagoniku metra zostanie obejrzone tysiące razy, trafi na setki serwisów, otrzyma kilka profesjonalnych recenzji, wyprodukuje niezliczoną ilość memów i przynajmniej jeden dobry dub transowy remiks. Przez chwilę świat Wielkiego Internetu będzie żył jego słowami:

– Pieniądze dają nieograniczone możliwości. Ale ceną, jaką za nie płacisz, jest strach.

– Panie Constantine, czy mogę prosić o autograf? – Drobną dziewczyna z kindlem w ręku przepycha się przez tłum, krzycząc do niego z daleka.

– Oczywiście, ale mam taką zasadę, że kobietom podpisuję się tylko na cyckach.

Dziewczyna podaje mi czytnik i sprawnym ruchem wywala górną część swojego niewielkiego biustu na zewnątrz, ściągając na siebie wszystkie obiektywy. Leonard składa swoją sygnaturę połączonym długopisem na najprawdziwszy tusz. Jego charakter pisma jest regularny, a przy tym arystokratycznie zamaszysty. Mało kto w dzisiejszych czasach może pochwalić się umiejętnością ręcznego pisania, zwłaszcza z taką finezją. Kilka osób zaczyna bić brawo. Ktoś z tyłu krzyczy „teraz pokaż dupę”. Kolejna kobieta pojawia się obok nas z silikonami w rękach. Gdy dojeżdżamy do ostatniej stacji, w wagonie panuje klimat regularnej imprezy. Drzwi się otwierają, a na peron wysypuje się rozbawiony tłum.

– I jak tu nie lubić miejskiej komunikacji? – pytam sam siebie.

Ruhome schody powoli wynoszą nas na powierzchnię.

Jesteśmy na samym krańcu strefy B. Pomiędzy sporadyczną zabudową, gdzieś w oddali dostrzegam ogromne pola, na których uprawia się ekologiczną żywność dla centrum Ketry. Jeszcze dalej majaczy rozmyta szarym, deszczowym powietrzem krawędź odległego lasu, który swoim ogromem wylewa się poza horyzont.

– Blu znów nie zdążył – mówi Jahred, zwracając naszą uwagę na pędzącą w dół ulicy czarną limuzynę.

Tuż za nią, na wzniesieniu, pojawiają się wyjąca syrenami armada radiowozów.

– Gdy dokonałem przejścia jego firmy, miałem do wyboru: albo go odstrzelić, albo zatrudnić – wyjaśnia mi Leo. – Od czasu do czasu ścigamy się w ten sposób. Jeśli kiedyś uda mu się wygrać i mnie wyprzedzić, odzyska swoją firmę i swoje dawne życie.

Limuzyna wpada z impetem na parking. Przez przyciemnioną, dźwiękoszczelną szybę widzę go, jak tłucze potężnym łapskiem w kierownicę, puszczając w naszym kierunku stosy siarczystych bluzgów.

– Blu jest zajebisty. Tylko czasem brakuje mu woli walki. Chcę w nim to obudzić.

Wokół nas parkują radiowozy, blokując wszystkie możliwe drogi ucieczki. Ze środka wysypuje się tuzin funkcjonariuszy. Każdy uzbrojony w tarczę emitującą dźwięki o niskiej częstotliwości na wypadek, gdyby trzeba było nas wszystkich obezwładnić przez uduszenie.

Leonard, kompletnie niewzruszony, podchodzi do policjantów.

– Kto tu dowodzi? – pyta pierwszego z brzegu.

– O, pan Leonard Constantine.

– Bardzo dobra odpowiedź. Możecie pakować się do samochodów. Sytuacja jest pod kontrolą.

– Panie Constantine, z całym szacunkiem, ale ten kierowca dokonał dezorganizacji ruchu w trzech sektorach. Zignorował wydane prawidłowo polecenie zatrzymania. Ten pojazd nie posiada nawet obowiązkowego systemu dezaktywującego. Musimy podjąć czynności wyjaśniające...

Funkcjonariusz próbuje walczyć w imię sprawiedliwości, mocno gestykulując. Pozostali jego koledzy i koleżanki nie mają tyle samozaparcia i unikając gwałtownych ruchów, potulnie wsiadają z powrotem do radiowozów. Leonard cierpliwie słucha wywodu, który z każdym kolejnym słowem staje się coraz mniej stanowczy, a coraz bardziej przeprasający. Ostatecznie twarda policyjna pała mięknie i ugina się pod ciężarem obojętnej ciszy.

– Proszę przekazać kierowcy, że dziś otrzymuje pouczenie – rzuca przez ramię, pospiesznie oddalając się w stronę auta.

Leo uśmiecha się i w całej swojej bezczelności salutuje im na pożegnanie.

– Blu, wieź nas do burdelu – zarządza – mam dla ciebie co najmniej dwie nagrody pocieszenia.

Zabierając się do pierwszego draftu niniejszej książki, pragnąłem opisać historię Ketry chronologicznie, co od razu nastręczyło mi nie lada trudności. Oczywiście ogrom materiałów, w

tym elektroniczne kopie artykułów z ówczesnej prasy i pierwsze publikacje poświęcone miastu, pozwalał mi stwierdzić, z dokładnością co do godziny, moment pierwszego wbicia łopaty w ziemię. Lecz po dłuższym zastanowieniu stało się dla mnie jasne, że fenomen miasta Ketra nie polega jedynie na niezwykłości jego budynków ani nawet na innowacyjności rozwiązań zastosowanych w systemie kontroli pogody. Nie da się go zmierzyć obszarem terytorialnym metropolii ani zważyć tonami węgla i szkła użytymi do jej budowy, jakkolwiek zatrważające by te liczby nie były. Bo Ketra to idea. Chęć stworzenia czegoś nowego i doskonalszego. To wizja wyniesienia człowieka na wyższy poziom ewolucji. I narodziny tej właśnie wizji są jej prawdziwym początkiem.

Cofnijmy się zatem do 23 grudnia 2014 roku, gdy w małej firmie farmaceutycznej Onearth Labs niespełna trzydziestodwuletni, praktycznie nikomu nieznany naukowiec o nazwisku Kanu Retter otwiera kopertę z wynikiem badania. Jego pacjent jest zdrowy. Jego organizm czysty. Pozbawiony nawet najdrobniejszych śladów wirusa, który przejmował kolejne organy, zmuszając wyniszczone ciało do kapitulacji. Koperta wypada z ręki. Doktor Retter chwyta za telefon komórkowy – ówczesne narzędzie komunikacji mobilnej – łączy się ze swoim ojcem, witając się słowami: „Pokonałem go”. Dwadzieścia cztery godziny później cały medyczny świat żyje informacją o odkryciu leku na HIV.

Po wykonaniu niezbędnych testów potwierdzających skuteczność i po zdobyciu wymaganych zezwoleń szczepionka o nazwie RS-9 zostaje wprowadzona na rynek i staje się najszybciej sprzedającym się artykułem w historii Ziemi, pobijając dotychczasowy rekord ustanowiony przez telefon iPhone 6. Doktor Retter, który czerpie bezpośrednio zyski ze sprzedaży leku, w ciągu kilkunastu miesięcy dołącza do czołówki najbogatszych ludzi na świecie.

Swoje środki inwestuje początkowo w rozwój medycyny. Wspomaga badania nad genomem ludzkim, opracowuje innowacyjne technologie produkcji syntetycznych organów zastępczych. Firma Onearth Labs, w której obejmuje funkcję prezesa, jako pierwsza na świecie tworzy w pełni funkcjonalne sztuczne oko. Pod koniec roku 2015, na corocznym zebraniu akcjonariuszy Kanu Retter przedkłada zdumionym inwestorom nowy kierunek rozwoju. Według prezesa standardowe modele biznesowe stały się przeżytkiem. Aby wyprzedzić czasy i wprowadzić firmę na wyższy poziom, potrzebne jest stworzenie całego kompleksowego środowiska, które będzie oferowało nieograniczone możliwości rozwoju indywidualnych talentów, zdobywania wiedzy i wykorzystywania jej dla dobra ogółu. Kanu Retter planuje stworzyć miasto przyszłości, całkowicie nowoczesną społeczność żyjącą ze sobą w symbiozie, będącą kolejnym logicznym krokiem w rozwoju zorganizowanego społeczeństwa. Mimo zdecydowanego sprzeciwu naukowiec-biznesmen forsuje finansowanie dla swojego projektu i niezwłocznie rozpoczyna budowę największego i najdroższego architektonicznego przedsięwzięcia w dziejach planety. „Dziela mojego, ale w przyszłości także waszego życia” – jak sam je określa.

Cztery miesiące przed dziesiątą rocznicą odkrycia szczepionki RS-9 zespół nabytego niedoboru odporności zostaje po raz ostatni w historii odnotowany jako przyczyna zgonu, zamykając tym samym łączną liczbę ofiar wirusa HIV na zatrważającej liczbie 34 milionów osób. Następnego dnia Kanu Retter oficjalnie obejmuje stanowisko pierwszego burmistrza miasta Ketra.

– Hej...

Zrywam się z kanapy, kopiąc piszczelem prosto w metalowy stół. Kubek z kawą wyrusza na samobójczą misję rozpoznawczą w kierunku podłogi.

– Spokojnie, człowieku... – Wenecja patrzy na mnie bardziej zrezygnowana niż rozbawiona.

– Można zapukać, zadzwonić, wysłać zapowiedź, zrobić to na tak wiele innych sposobów niż położenie komuś zniemacka ręki na ramieniu – mówię.

– Mam coś dla ciebie – rzuca krótko.

Spomiędzy jej szpiczastych pazurów, dziś umalowanych w pogrzebowe barwy, wysuwa się papierowa koperta, na którą czekałem. W sytuacji zagrożenia wszystkie moje zmysły pracują na sto pięćdziesiąt procent, więc może dlatego zauważam szczegóły, które normalnie by mi umknęły. Gniew w głosie, sztywność ruchów, ciężki oddech.

– Coś się stało? – próbuję zaprosić ją do rozmowy.

– Nie interesuj się – odpowiada, waląc za sobą drzwiami.

Przez chwilę myślę o tym, żeby dogonić ją i pogadać, bo od niedawna zacząłem głęboko wierzyć w uzdrawiającą moc zwykłej, szczerzej rozmowy, ale wiem, że ona nie potrzebuje tego ode mnie. Potrzebuje mojego fiuta, rąk i języka. Pieprzenia jej, a nie głupot.

Zamykam drzwi do pokoju – tym razem na klucz – i rozbebeszam kopertę widelcem. Szorstki dreszcz zsuwa się w dół moich pleców, gdy dociera do mnie to, co czytam:

Klub „Valhalla Vortex”, wtorek, 21:00. Do zobaczenia. Almeida.

Pierwsze, co zauważam, to garnitur. Jest nienaganny, idealnie dopasowany, jednolicie czarny i z pewnością cholernie drogi. Biała koszula. Na piersi czerwony krawat. Marynarka zapięta. Wyżej, na szyi, spod pedantycznie zaprasowanego kołnierzyka wystaje fragment tatuażu przypominający swym kształtem konar drzewa.

– Kenzo Masamune. – Mężczyzna koło czterdziestki, o azjatyckich rysach twarzy, chwyta moją wyciągniętą dłoń.

Ma mocny, zdecydowany uścisk, który staram się odwzajemnić, by go nie urazić. Wygląda na osobę, którą można urazić źle odwzajemnionym uściskiem. Podobno w pewnych kręgach podawanie sflaczałej, spoconej łapy uznawane jest za zniewagę. Od kiedy Leonard uświadomił mnie o tym konwenansie, ściskam każdą dłoń ile sił. Mocny respekt.

– Sprzęt czeka na zapleczu. Zapraszam.

Kenzo prowadzi nas przez swój sklep. Ciasne alejki wypełnione są zabawkami najróżniejszego gatunku. Mamy tu pluszowe misie wykonane na podobieństwo bohaterów kreskówek. Tuż obok lalki, domki i akcesoria. Są przestrzenne łamigłówki rozwijające wyobraźnię i przedmioty służące czystej rozrywce – jak na przykład hologramowe labirynty. Zabawki dla trochę starszych ukryte są na końcu korytarza, za ciężkimi wrotami otwieranymi przy pomocy skanera siatkówek. Tu sceneria nieco się zmienia. Długie stelaże uginają się pod ciężarem karabinów szturmowych. Obok, na ścianie, znajduje się ekspozycja krótkiej broni palnej. W koszach pod stołami leżą paczki amunicji. Honorowe miejsce w pomieszczeniu zajmuje stojak, na którym spoczywają trzy samurajskie miecze.

– Moi przodkowie słynęli z tworzenia katan – mówi, dostrzegając moje zaciekawienie. – Każda z nich ma swoją historię. To na przykład jest Zanmato... – wskazuje na najdłuższą z zestawu. – Jej nazwa pochodzi od umiejętności ścięcia zarówno jeźdźca, jak i jego konia w jednym uderzeniu. Prawda jest taka, że nigdy nie została użyta do zabicia zwierzęcia...

– To dobrze – wtrącam się.

– Ścięta za to kilkaset ludzkich głów.

Decyduję, że lepiej będzie, jak pomogę Jahredowi wrzucać do systemu naszą listę zakupów. Staję obok niego, udając, że nadzoruję, podczas gdy on wybiera na ekranie kompletnie nic niemówiące mi zbitki znaków. Po dodaniu wszystkich pozycji na półkach zapalają się małe diodowe lampki ułatwiające odnalezienie poszukiwanych produktów. Zupełnie jak w spożywczym, za starych dobrych lat, zanim handel online z darmową dostawą do domu nie wysadził wszystkich zwykłych sklepów z branży. Jeszcze jako nastolatek odwiedzałem ogromne galerie handlowe w drugiej wieży, w których pracowali ludzie. Zawsze lubiłem ten żywy akcent. Proszę. Dziękuję. Zapakować? Miało to swój urok, mimo że z ekonomicznego punktu widzenia było zupełnie nieopłacalne. Później te przestrzenie przejęły laboratoria, na randki zaczęto umawiać się z powrotem w

restauracjach, a tętniące życiem sklepy zmieniły się w zwykłe magazyny z produktami i zostały na wieki strącone do piwnic Ketry.

– Proszę przekazać moje pozdrowienia dla pana Constantine’a.

Jahred przesuwa nadgarstkiem nad terminalem, finalizując transakcję. Jeszcze tylko jeden mocny uścisk dłoni i można ruszać w drogę przez tylne wyjście.

Kenzo odprowadza nas wzrokiem, gdy zmierzamy niespiesznie ku drzwiom. Z jego ciemnych oczu bije chłód, ale po tym krótkim spotkaniu mam wrażenie, że to człowiek honoru, który nigdy nie pozwala sobie, by emocje wzięły nad nim górę, zaś właściciel każdej odrąbanej głowy musiał zasłużyć sobie na swój los.

Gdy wsiadamy do limuzyny, Blu nawet nie stara się poczekać, aż drzwi zasuną się do końca. Od razu wyrwa przed siebie z piskiem opon, łamiąc wszystkie możliwe przepisy. Kilka razy.

– Coś się stało?

– Leonard kazał mi was natychmiast przywieźć do firmy. Mówił, że jest problem. Natury prozaicznej czy coś – rzuca przez ramię skupiony na torowaniu sobie drogi przez miasto.

*

Gdy wchodzimy do „sali tronowej”, zastajemy Leonarda rozwalonego w swoim skórzanym fotelu, z nogami zarzuconymi na biurko i nieodpalonym papierosem pomiędzy zębami – w standardowej pozycji, w której przyjmuje wszystkich gości, niezależnie od wielkości ich konta oraz od pełnionej funkcji społecznej.

– Pozwólcie, że coś wam przeczytam... – mówi, nim zdążymy usiąść, biorąc do ręki pierwszą z grubego stosu najprawdziwszych papierowych kartek.

Jack Abelson nie zawsze znajdował przyjemność w rzeczach prostych. W codziennym życiu dokładał wszelkich starań, aby wypełniać swój czas ambitną muzyką, trudną sztuką i twardymi narkotykami... wszystkim, co sprawiało, że choćby przez chwilę mógł poczuć cokolwiek innego niż napawającą go szczerym obrzydzeniem nudę. Można by z powodzeniem rzec, że życie Jacka kręciło się wokół jego osoby. Wszystko, co nie dostarczało mu wrażeń estetycznych lub emocjonalnych, było przez niego traktowane jako smutny, lecz konieczny dodatek do rzeczywistości. W pewien deszczowy listopadowy dzień, jeden z tych, które smęcąc swoim monotonnym szumem, zdają się ciągnąć w nieskończoność, Jack usiadł na brzegu łóżka, standardowo obudzony rozłupującym czaszkę kacem, do którego, mimo intensywnego treningu wątroby, nigdy nie był w stanie przywyknąć. Jego rozespiane spojrzenie sunęło się leniwie po resztkach jedzenia zalegających na dywanie, kilku napoczętych butelkach wina, spoczywających

w kałuży własnej krwi, oraz porwanych stringach pospiesznie zdjętych z prostytutki leżącej właśnie za jego plecami, by ostatecznie zatrzymać się na zaplakanym od deszczu oknie. Jack na początku nie rozumiał, co dokładnie rejestrują jego źrenice, jednak już po kilku chwilach siedział tam, oniemiały z zachwytu, obserwując przekrwionymi oczyma przejmujący spektakl kropli rozmywających senny krajobraz za szybą. Porwał go ten ich dziwny wyścig ku ziemi, zaznaczony tysiącem łzawych szlaków, na których jedni zawodnicy dawali się pochłaniać innym i nikt nie wygrywał. „Muszę kupić sobie koty”, pomyślał Jack, nagle zrywając się z łóżka i wpadając stopami prosto w zimną pizzę.

Tu Leonard przerywa.

– Czytaliście kiedyś bardziej przygnębiające gówno? – pyta, waląc kartkami o stół.

– Niektórzy pewnie lubią... – próbuję.

– Kto? Kto to lubi? – wydziera się na mnie. – Chcę ich nazwiska i adresy!

Postanawiam już dalej nie bronić prawa do posiadania odmiennego gustu.

– To gówno. Miękkie, nostalgiczne i zblazowane gówno, którego nikt nie kupi, mimo że zostało wydalone przez samego Marka Navidsona.

– Czy on przypadkiem nie napisał... „Martwych kurew”? – zdanie ledwie przechodzi mi przez gardło i to wcale nie ze względu na kontrowersyjny tytuł, lecz na samo wspomnienie zawartości książki.

– Tak, ten sam. Właśnie dostałem do recenzji jego najnowsze opowiadanie, bo, gdyby to umknęło waszej uwadze, wydawnictwo Everybody Schadenfreude zajmuje się także wydawaniem książek.

Leo podpała stos kartek na biurku oraz swojego papierosa. Pomieszczenie zastrasząco szybko wypełnia się gęstym, żrącym dymem.

– Były czasy, gdy Mark szokował świat swoim pisaniem, ale dziś jego kutas jest miękki. I kto, do kurwy nędzy, zaczyna książkę od imienia i nazwiska swojego bohatera? Niech zacznie od wybuchu, opisu snu, czegokolwiek... Nie jestem w stanie wymienić nawet połowy rzeczy, które zrobił źle już na pierwszej stronie. Wydanie tego śmiecia to zła inwestycja, a ja nie robię złych inwestycji.

– Więc? – Jahred zabiera głos po raz pierwszy, odkąd trwa to nerwowe spotkanie. Jest spokojny jak zawsze.

– Więc chciałbym, żebyście pomogli naszemu zbyt dobrze opłacanemu pisarzynie odnaleźć jego własne jaja. Trzeba dać mu zastrzyk adrenaliny i inspiracji do tworzenia. Chciałbym, żeby zlazł ze swojego zblazowanego tronu i na powrót zakochał się w tym chorym i pięknym życiu, które zawsze jest muzą wszystkich artystów! Żeby tego dokonać, będzie musiał poczuć, że je stracił!

Stawiając kropkę w tym stanowczym zdaniu, Leo wali pięścią w stół. Huk uderzenia idealnie zgrywa się z momentem, w którym nad naszymi głowami eksplodują fontanny zraszaczy przeciwpożarowych.

I oto, jak na zamówienie, Mark Navidson, cały brudny, podarty i zlany potem klęczy przede mną w głębokim dole w środku lasu, daleko, daleko od Ketry, daleko od wszelkiej cywilizacji, ściska grudy ziemi w pięściach, jakby próbował złapać się kurczowo resztek swojego życia, i błaga o przebaczenie. A ja, tak samo daleko od białych strzelistych wież, głuchy na jego słowa macham na pożegnanie mojemu dawnemu życiu, które teraz wydaje mi się tylko snem, filmem, który kiedyś widziałem, po czym przekładam palec wskazujący na spust, mrużę oko, celując wprost pomiędzy jego rozszerzone źrenice. Jest coś dziwnie upajającego w tej świadomości władzy absolutnej nad czyimś życiem. Moja ręka nie drży. Jestem spokojniejszy niż kiedykolwiek i dokładnie wiem, co się tu zaraz wydarzy.

Plan Leonarda był prosty. Mieliśmy porwać Marka Navidsona, a później torturować go do utraty przytomności, faszerować psychodelikami i ogłuszać progresywnym industrial noisem. Wysłać go na rehabilitację duszy, jak określił to sam autor pomysłu. Ja postanowiłem wzbogacić jego scenariusz, dodając fabule nieco finezji i być może tym samym ocalając kilka palców i zębów pisarza. Jak za starych dobrych czasów zacząłem myśleć na głos, zastanawiając się, co by było, gdyby Mark Navidson sam odszukał w sobie werwę do tworzenia, zamiast dostać ją od nas wepchniętą na siłę w gardło. Być może jego najnowsza, zupełnie spokojna i zrównoważona książka jest efektem braku zainteresowania światem zewnętrznym, który już wszystko mu zaoferował, dlatego autor kieruje swój wzrok do własnego wnętrza? I co, gdyby nagle ktoś przypomniał mu, że świat i życie może go jeszcze zaskoczyć? Damy mu to uczucie. I żeby obraz był kompletny, będziemy musieli mu je natychmiast odebrać. Być może powinna to być kobieta. Tak. Takie historie zawsze zaczynają się od kobiety. Ale żeby zachować zasady dynamiki opowieści i spontaniczność, charakterystyczną dla prawdziwego życia, akcja musi być wartka od pierwszej minuty. Więc powinniśmy ją wprowadzić z impetem. Dosłownym. Niech to będzie wypadek samochodowy.

– Doskonale. Ale... – powiedział Leonard i, jak każdy normalny klient, wzbogacił moją kreację kilkoma swoimi przemyśleniami, przemieszczał kolejność, zmienił puentę, po czym spojrzął na całość i stwierdził ukontentowany – tak, mój pomysł jest dobry.

Następnego dnia zaczęliśmy śledzić nasz cel, by dowiedzieć się więcej o jego trybie życia i mieć pewność, że zastaniemy go, gdy będzie sam. Okazało się, że jak na najbardziej kontrowersyjnego twórcę naszych czasów, Mark Navidson wiedzie kompletnie pozbawione emocji życie. Większość czasu spędza w domu, oglądając seriale lub grając w stare gry RPG, a nie, jak się powszechnie uważa, recytując litanie do szatana i wciągając kokę prosto z waginy martwej prostytutki przy pomocy rury do odkurzacza. Jednym słowem: nuda. Nuda, która zaczęła udzielać się nam wszystkim. Żeby przewinąć do przodu godziny spędzone w pustych apartamentach i zaparkowanych autach, zacząłem rozmawiać z Jahredem, a właściwie przemawiać do Jahreda, opowiadając mu nieco o sobie, zadając setki pytań, na które on zwykł odpowiadać „tak” lub „nie”, nigdy „nie wiem” ani „może”. Wróciłem jeszcze raz do wydarzenia, które miało miejsce na zapleczu klubu, i powiedziałem mu, że nic nie usprawiedliwia tego, co tam zrobiliśmy. Wyrzuciłem to z siebie. Próbowałem sprowokować odpowiedź. Jakiegokolwiek zapewnienie, że jednak był powód. Że to był najgorszy człowiek. Krzywdził innych. Odpowiedziała mi jedynie cisza.

Trzeciego dnia nasza praca dobiegła końca.

Dokładnie o godzinie 22:15 Mark Navidson opuścił swój apartament. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd się udaje, ale to nie było ważne, bo miał tam nigdy nie dojechać. Ruch o tej porze jest praktycznie bezkolizyjny, a żeby wprowadzić pierwszy punkt programu – zatrudnioną przez Leonarda w dziale rekreacji długonogą blondynę o imieniu Klara – potrzebowaliśmy na chwilę go zatrzymać. Tu z pomocą przyszedł nieoceniony Blu, siedzący za sterami pięciometrowej, półtonowej i kompletnie niedopuszczonej do ruchu limuzyny, którą według naszych instrukcji wpakował z pełnym impetem na sam środek skrzyżowania, tuż przed maskę sportowego lexusa należącego do Navidsona. Panowie, po dżentelmeńsku i po kolei wymienili się obszernymi zestawami wulgaryzmów, lecz zanim którykolwiek z nich zdążył opuścić skrzyżowanie, miejsce na pokładzie auta naszego pisarza bez weny niespodziewanie zdążyła zająć jego nowa muza. Dla Klary napisałem bardzo bogate tło i odwrotnie proporcjonalną listę dialogową składającą się głównie z ochów, achów i wrzasków. Jej zadaniem było nakłonić Navidsona do szaleńczej ucieczki przez nocne ulice miasta. Nie musiał dokładnie wiedzieć, przed czym ani tym bardziej dokąd. Ważne, że nasza blond piękność miała w głowie dość obrazowo opisaną przez mnie historię o pewnym zazdrosnym facecie, który obiecał jej powolną śmierć, i mogła przekazać te emocje niewerbalnie, ale za to z przekonaniem.

Nie zawiodła. Czarny lexus pomknął przed siebie zygzakami, gubiąc nieistniejący trop i łamiąc wszystkie obowiązujące przepisy. Nadszedł czas na etap drugi, bo moja historia nie przewidywała happy endu przy świecach i w rozluźniającej także obyczaj

kąpieli z bąbelkami. Kończyła się raczej wrzaskiem i łzami, w akompaniamencie tłuczonych szyb i giętej blachy, gdy auto Marka Navidsona po efektownym poślizgu postanowiło zakończyć swój żywot, zawijając się wokół filara mostu. Oczywiście, tu nie mogliśmy ryzykować błędu, więc auto zostało zawirusowane, teren odpowiednio przygotowany, a prędkość, kąt natarcia i siła uderzenia dokładnie obliczone do piątego miejsca po przecinku. A później obliczone jeszcze raz dla pewności. Z naszej perspektywy wyglądało to jak kontrolowana stłuczka, ale Navidsonowi zapewne przypomniały się co lepsze momenty z dzieciństwa. Sytuacji nie poprawiał fakt, iż po odzyskaniu przytomności – a liczyliśmy na to, że choć na chwilę ją straci – jego dopiero co poznana pasażerka okazała się być najzupełniej w świecie martwa, auto zaczynały trawić kłęby toksycznego dymu wydobywającego się z rozbitych akumulatorów, a tuż obok wraku pojawiły się dwie zamaskowane osoby, które zdecydowanymi ruchami wrzuciły jego obolałe i zdezorientowane ciało do bagażnika limuzyny, po czym odcięły dopływ światła, tlenu i nadziei jednym, głośnym trzaśnięciem klapy.

Więc oto jesteśmy głęboko w ciemnym lesie, gdzie Mark Navidson, oślepiiony światłem przednich lamp limuzyny, błaga mnie o przebaczenie, tłumacząc, że to wszystko czysty przypadek, że nie ma z tym nic wspólnego, że nie chciał, że nie rozumie, że miał, kurwa, nie wychodzić dzisiaj z domu, i gdyby wiedział, nic takiego, ach... szkoda słów. Lufa gapi się prosto na niego swoim czarnym okiem, a na drugim końcu tego skomplikowanego, lecz zabójczo skutecznego mechanizmu, znajduję się ja i płynę na fali adrenaliny prosto ku finałowi tej opowieści.

– Dobra, pora do domu – mówię, próbując zdobyć się na jak najbardziej pozbawiony emocji ton głosu, by powiało codziennością, a zaraz później grozą.

Tak, zrobię to, zupełnie tak samo, jak wiele razy wcześniej.

Odciągam do tyłu zamek pokaznej giwery.

Navidson chowa twarz w dłonie.

A światło gaśnie...

To jest jego moment. Jeśli go nie wykorzysta, wszyscy przepadliśmy. Nie ma wyjścia awaryjnego. Plan zakłada, że dokładnie w tej chwili Mark Navidson w zupełnie naturalnym odruchu postanowi odzyskać swoje życie i zacznie uciekać, spierdalać, ile sił w nogach, na oślep, prosto w dziki, czarny las.

Ale nie dzieje się nic.

Krzyczę do Jahreda, by pospieszył się z włączaniem świateł. Udaję, że szukam czegoś w kieszeniach.

Robię krok do przodu. I nareszcie, po długich sekundach ciszy moje uszy rejestrują upragnione odgłosy ucieczki. Red zapala światło trochę za wcześnie. Jeszcze widzę

jego sylwetkę pomiędzy wysokimi drzewami. Dla wytrawnego strzelca cel w tym zasięgu to pewny trup, ale ja nie jestem wytrawnym strzelcem. Umieszczam celownik prosto na jego podskakującej głowie, bezmyślnie uciekającej od nas w prostej linii, po czym podnoszę rękę o czterdzieści pięć stopni do góry i tyle samo w lewo i opróżniam cały magazynek prosto w korony drzew. Z oddali dobiega nas głośnie echo wystrzałów i dziki krzyk przerażonego Navidsona, który brzmi, jakby właśnie uwolnił swojego ducha przez płuca i gardło. Próbuję powstrzymać się od śmiechu, ale nie mogę. Misja wykonana.

*

Wczesne godziny poranne zastają mnie z kubkiem kawy w dłoni i osładzającą jej smak, wypełniającą mnie satysfakcją z dobrze wykonanego zadania. Wyłączam fonię. Zawieszam się na widoku pograżonych w rozmowie, gestykulujących, uśmiechających się, zaciągających dymem i przewracających oczami istot z planety Ketra B. Być może jedyną rzeczą, która nas łączy, jest to dziwne uczucie spełnienia, ale to nieważne. Mniejsza o pobudki, niskie czy wysokie, kasę, sztukę, Leonarda. Zrobiliśmy to. Udało się.

Dopijam kawę. Klara wychodzi z Blu. Pakują się do limuzyny i ruszają przez puste ulice. Niebo napęła się ciężkim, granatowym kolorem. Już za kilka chwil słońce dotknie swoim spojrzeniem szczytów białych wież, na długo przed tym, zanim zaszczyli swoją obecnością całą resztę tego grajdołu. My też wychodzimy. Brodzimy przez mrok w milczeniu. Dopiero na kilka kroków przed wejściem do stacji metra, gdy już mamy pójść w różne strony – ja do wymiętalonego łóżka w moim małym pokoiku, Red cholera wie gdzie – zatrzymuje mnie, ot tak, na środku chodnika, spogląda mi prosto w oczy i mówi swoim głębokim głosem, od którego trzęsie się ziemia:

– Musisz wiedzieć, mzungu.

– Co takiego?

– Przyszłość jest napisana – mówi, prawdopodobnie po raz pierwszy, od kiedy go znam, używając tylu wyrazów naraz. – Jeśli umiesz patrzeć, zobaczysz ją. Ja. Widzę.

Mimo że jest późno, a ja już nie do końca ufam moim przytępienym zmysłom, nie wydaje mi się, żebym się przesłyszał. Mimo wszystko, tak dla pewności, postanawiam zapytać:

– Poczekaj... zaraz... co?

Nie odpowiada, tylko kieruje moje spojrzenie w dół ulicy. Dziewczyna. Dwadzieścia parę lat. Rozwiane, bordowe włosy. Późny powrót do domu z imprezy, wnioskując z ciężkiego, arytmicznego kroku, dość udanej.

– Umrze na tamtym skrzyżowaniu – mówi do mnie tymi swoimi spokojnymi, ciężkimi od akcentu słowami.

Nie mam pojęcia, czy to jakiś chory test, nadmiar kofeiny, czy audialny omam, ale nie mam zamiaru poddać się temu szaleństwu. Jeszcze mi nie odbiło.

– Do jutra, Jahred – mówię, oddalając się w stronę metra.

Robię kilka kroków.

Puszczam niezobowiązujące spojrzenie przez ramię.

Tylko jedno.

On dalej tam stoi. Co gorsza, ona też dalej tam jest i uparcie maszeruje tym swoim zawianym krokiem prosto w kierunku pustej ulicy.

– Nie rób nic. Dziewczyna zginie. Ty uwierzysz – mówi do mnie. – Powstrzymaj ją i już zawsze będziesz wątpił.

Tylko dziesięć metrów. Jak na złość, przez skrzyżowanie przejeżdża samochód. Kurwa, to nie jest zabawne. To chore. Jest zbyt późno. Za wcześnie. Co ona ci zrobiła? Co ja ci zrobiłem i dlaczego muszę brać w tym udział? Pięć metrów.

– Już prawie za późno – mówi, odwracając wzrok w jej stronę, wkładając ręce w kieszenie.

Bordowe włosy falują na wietrze. Torebka dynda w ręku, objając się o nagie uda. Tup, tup, tup po twardym chodniku, z małymi zachwianiami rytmu, ale prosto przed siebie. Trzy metry. Przygryzam wargę. Dziewczyna podnosi rękę, zatapia palce we włosach i odrzuca je z twarzy. Zimny wiatr rozsypuje je we wszystkie strony, wedle własnego uznania. Dwa metry. Chce mi się palić, chociaż nigdy tego nie robiłem. Mam ochotę wypełnić moje płuca żrącym, toksycznym dymem, zwinąć się z bólu i unicestwić, byleby nie musiał oglądać tego gówna. Byleby nie podejmować żadnej decyzji.

Jeden metr. Dokładnie jeden metr. Trzy kroki. Przymykam oczy, zaciskam pięści.

Pękam. Nie mogę tego udźwignąć. Zrobię, co mi każe, mimo że to niedorzeczne, bo gdyby w jego pieprzeniu był choćby ułamek prawdy, nie mogę zaryzykować jej życia.

– Heeeeeeej! – drę się przez całą ulicę.

Wystarczająco głośno, by zwrócić jej uwagę. Wytrącić ją z rytmu. Zatrzymać przewracające się klocki domina i przepuścić jeden, wlekący się flegmatycznie pojazd przez puste skrzyżowanie.

– Wal się, czubku! – odpowiada prawie natychmiast, pokazuje środkowy palec i przyspiesza kroku, przechodząc bezpiecznie na drugą stronę jezdni.

Dopiero po chwili przypominam sobie, że trzeba oddychać. Jahred podchodzi do mnie wolnym krokiem.

– Nie wiem, co to za chora gra, w którą chcesz ze mną zagrać, ale nie rób tego więcej – mówię mu, grożąc wciąż zaciśniętą pięścią, choć wiem, że jest w stanie rozszarpać mnie na strzępy jednym płynnym ruchem. Gniew sprawia, że robię rzeczy nie do pomyslenia.

– Chcę cię przygotować – mówi, kompletnie ignorując moje zaczepki.

– Niby na co?

Jahred nie odpowiada od razu. Najpierw uśmiecha się, ale w taki sposób, jakby przypomniał sobie rodzinne strony albo dobre chwile z kobietą. Nostalgia błyszczy w jego spojrzeniu, jego ogromne płuca biorą głęboki oddech. Nadaje spokojną melodię ciężkim jak ołów słowom:

– Zabijesz Leonarda Constantine'a.

Podczas każdego dnia istnienia Ketry na szczycie Zero Tower burmistrz Kanu Retter w obecności trzydziestu pięciu przedstawicieli pozostałych wież obraduje na temat zmian, które należy wprowadzić, aby jeszcze bardziej usprawnić funkcjonowanie społeczności, ludzi uczynić szczęśliwsiymi, a technologię bardziej użyteczną. Każdy aspekt życia w mieście Ketra jest drobiazgowo omawiany. Każdy pomysł poddany krytyce, a następnie przegłosowany, każdy problem rozwiązany. Ketra zmienia się i rozwija, osiągając wyśrubowane standardy i nieustannie wyznaczając sobie kolejne. To dlatego lista oczekujących z roku na rok staje się coraz dłuższa, natomiast wymagania, które nowy mieszkaniec musi spełniać – adekwatnie wyższe.

Pierwszym warunkiem dołączenia do społeczności Ketry jest powstanie wolnego miejsca. Miasto posiada ściśle określoną liczbę lokali, które z kolei determinują wielkość jej populacji. Wolne miejsca mogą zostać stworzone tylko na dwa sposoby. Poprzez naturalny zgon ostatniego z mieszkańców danego lokalu lub poprzez usunięcie tej osoby ze społeczności miasta Ketra. Jeśli powstało wolne miejsce, specjalna komisja przystępuje do losowania nazwiska kandydata, który zostanie poddany wstępnej weryfikacji. Komisja Imigracyjna przyzna kandydatowi dodatnie punkty za nieposzlakowaną opinię, wyuczone języki i profesje, wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki, polityki lub sztuki, doskonały stan zdrowia fizycznego i psychicznego oraz stan majątkowy, w tym posiadane dobra, których kandydat zrzeknie się w chwili przekroczenia bram miasta. Komisja przyzna także ujemne punkty za każdego członka najbliższej rodziny, którego kandydat pozostawi za murem w przypadku otrzymania pozwolenia na zasiedlenie. Jeśli suma tych punktów okaże się niewystarczająca, kandydata będzie obowiązywał dwudziestopięcioletni okres

karencji, podczas którego jego nazwisko nie będzie mogło powtórnie znaleźć się na liście oczekujących.

Jest 20:04. Stoję przed lustrem i wyglądam dziwnie. Dziewczyna w bordowych włosach żyje. Ja mam niecałą godzinę, żeby dotrzeć do Valhalla Vortex. Po raz kolejny łączę się z Blu, który zapewnia mnie od dwudziestu minut, że jeszcze tylko trzy minuty i będzie na miejscu. Staram się opanować emocje, zachowywać zwyczajnie, ale tak naprawdę to sam nie wiem po co. Niech ta chwila trwa. Po raz pierwszy zobaczę starego przyjaciela, który pomógł mi tu nie zginąć, któremu zawdzięczam tak wiele. Jej zawdzięczam. Te kilometry rozmów do białego świtu sprawiły, że uzależniłem się od jej głosu komentującego moje opowieści o życiu, o systemie i o mnie. Gdyby nie ona, pewnie forsowałbym teraz z szaleństwem w oczach i nogą od stołu w garści bramę Ketry i skończyłbym rozpruty kulą, sponiewierany, rozsmarowany wzdłuż chodnika. Moje kolejne mało reprezentacyjne pięć minut w mediach. Tylko jej udało się mnie przekonać, że dom jest tam, gdzie ja jestem. To kłamstwo, ale dzięki niej wciąż w nie mocno wierzę.

*

Klub tętni życiem. Jest zupełnie inny, niż go zapamiętałem z mojej poprzedniej wizyty. Przed drzwiami długa kolejka desperatów czeka cierpliwie na swoją szansę. Co kilka chwil szerokie łapy bramkarza wyrzucają na zbity pysk garściami kolejnych bywalców obniżających poziom, dzięki czemu najbliższej stojąca para może podejść do wstępnej weryfikacji. Niektórzy wchodzą do środka bez problemu, w większości przypadków tylko dziewczyna dostaje szansę. Krótka wymiana zdań, pełne zazdrości spojrzenie, pełna napięcia chwila, gdy ważą się losy wieczoru, wreszcie weryfikacja priorytetów na niekorzyść żywej osoby, zawsze na korzyść idei, obietnicy, marzenia. Obligatoryjne machnięcie ręką. Ona wchodzi, on wraca w kierunku domu z podkulonym ogonem, który być może wyprostuje w łóżku z kimś zupełnie innym. Tak na złość. Nikt nie powiedział, że musi być sprawiedliwie w tym dziwnym świecie. Ketra A, Ketra B. Valhalla Vortex kontra brudna ulica. Segregacja na każdym poziomie sprawia, że nigdy nie mamy wątpliwości, gdzie jest nasze miejsce.

Gdy tylko otwierają się drzwi limuzyny, bramkarze zrywają gruby bordowy sznur ze słupków przy wejściu, rozsuwają się na boki i niemal kłaniają w pas. Nie oglądam się, ale wiem, jak wiele nienawiści i zazdrości muszą przyjąć na siebie moje niezbyt szerokie plecy. Zostawiam to wszystko daleko w tyle i zatapiam się w pulsujące dźwiękiem duszne powietrze. Woń petów, ćpania, seksu i potu wypełnia to miejsce od podłogi,

umazanej wszystkimi możliwymi płynami, także ustrojowymi, po wysoki, obwieszony rzutnikami laserowymi dach.

– Panie Welkin, proszę za mną. – Kelnerka ubrana w fantazyjnie poplątany i niewiele zasłaniający zestaw sznurków prowadzi mnie za rękę po schodach do stolika w sekcji VIP.

Siadam wygodnie w skórzanym fotelu. Na moim stole ląduje butelka absurdalnie drogiego szampana i dwa kieliszki. Nim dziewczyna zdąży zabrać rękę, przesuвам swoim nadgarstkiem nad jej bransoletką, zrzucając jej z góry zaprogramowane trzy stowy napiwku.

– Mam na imię Weronika – mówi i uśmiecha się niedwuznacznie. – Jakbyś mnie potrzebował, wystarczy wybrać mnie z listy – mówi, wskazując wyświetlacz na blacie stołu, gdzie dzięki załączonym filmom wszystkie kelnerki można zobaczyć nie tylko w negliżu, ale także w akcji na murze.

– Dzięki, ale jestem z kimś umówiony! – krzyczę ponad hałasem.

Dziewczyna udaje smutną minę, rzuca „szkoda” albo „ciota” i przeciska się przez tłum w kierunku kolejnego stolika, przy którym grupa równie napakowanych, co nawalonych chłopaków z miasta nie zamierza pogardzić jej wdziękami.

Z mojego miejsca mam doskonały widok na parkiet w dole, na którym człowiek przy człowieku, wszyscy złączeni w jedną poruszającą się rytmicznie masę, falują w rytm ciężkiego beatu. Co jakiś czas jasna wiązka lasera zaznacza białe pole na tej ludzkiej szachownicy, wycina kadr z niekończącego się filmu i mogę na ułamek sekundy skierować tam swoje spojrzenie i przeczytać tę jednorazową historię. Pocałunek. Mach. Śmiech. Rozlany browar. Krzyk.

– Robert.

Zaskoczenie.

...

I jest dokładnie tak, jak sobie to napisałem. Jej ciepły głos paraliżuje mnie. Mimo że chcę, nie mogę się odwrócić. Na szczęście ona nie czeka, tylko pewnie wchodzi w kadr. Najpierw nogami, później całą resztą. Jeszcze przez chwilę wpatruję się bez zrozumienia w jej ciemne oczy, czerwone usta i fioletowe włosy opadające łagodnymi falami na odsłonięte ramiona. Punkty. Jak rozwalone po niebie planety, które dopiero głos składa w znajomą konstelację.

Muszę teraz wyglądać dziwnie, siedząc tak w ciszy, zajęty wymazywaniem moich wyobrażeń o niej, które muszą ustąpić rzeczywistości. Ale ona też nic nie mówi. Bo przecież rozmawialiśmy już o wszystkim. Jedyne, co pozostało, to przyzwyczajenie oczu. Oswojenie się z tym widokiem.

Jest ładna. W jej urodzie jest coś arystokratycznego, ale to zadziorne spojrzenie i wyraziste rysy twarzy opowiadają prawdziwą historię o jej rodowodzie. Ale to wszystko i tak nie ma znaczenia. To tylko powierzchownie, za którymi jesteśmy schowani, dopóki się nie odkryjemy. Słowo po słowie, myśl za myślą. A to akurat mamy już za sobą.

Almeida wybucha śmiechem.

– Co?

– Twoja mina.

Zauważam, że mam otwarte usta. Nie tracąc fasonu, wsuwam w nie krawędź kieliszka i przechylam całą jego zawartość prosto do gardła.

– Nie tego się spodziewałeś? – pyta.

– Tak. Nie. Nie wiem. A ty?

Almeida przekrzywia wesoło głowę, przyglądając mi się uważnie, po czym stwierdza rzeczowo:

– Przecież miałam film z rozprawy w dokumentacji. Myślisz, że jak cię teraz poznałam?

Szampańskie rozlewa się przyjemnym ciepłem po krwiobiegu.

– Znalazłem pracę, dalej mieszkam w norze, przyzwyczajam się do tego miejsca – opowiadam w mocnym skrócie wydarzenia ostatnich dni.

Przez chwilę widzę, jak na usta cisną jej się trudne słowa nawiązujące do naszej ostatniej rozmowy, ale w ostatniej chwili odpuszcza. Wrócimy do tego później. Albo nigdy.

– Jest coś dziwnego w twojej sprawie – mówi zamiast tego. – Przy standardowym procesie przejściowym powinnam dostać wszystkie akta, ale one zostały utajnione. Na dodatek twoje konto osobiste kompletnie zniknęło.

– Nie do końca. Jest odzyskiwane. Aktualnie zero procent. Konta są poza jurysdykcją Ketry. Własna przestrzeń w sieci to prawo każdego człowieka.

– Napisałam w tej sprawie do Instytutu Bezpieczeństwa i wtedy dostałam informację zwrotną, że sprawa nie będzie kontynuowana, bo nie żyjesz. Robert, obawiam się, że je skasowali.

– Więc teraz nie tylko jestem martwy? Okazuje się też, że nigdy nie istniałem. To konto zawierało wszystko, co posiadałem. Zdjęcia, zapiski, wspomnienia, logi rozmów z rodziną...

– Przykro mi.

– Mnie nie – odpowiadam, wychylając kolejny haust. – Doszedłem do wniosku, że muszę zerwać z przeszłością. Całą. Inaczej nigdy nie będę w stanie żyć tu normalnie.

Jest takie przysłowie: Tylko gdy stracisz wszystko, możesz stać się każdym. Ja właśnie próbuję wynaleźć siebie na nowo.

- Pewność siebie. To nowe. Podoba mi się.
- Więc chcesz usłyszeć ciekawą historię?
- Po to tu jestem.

Wołam gestem kelnerkę, która stawia na stole kolejną butelkę szampana i talerz przystawek o niedających się wymówić nazwach. Gdy już jestem pewien, że oddaliła się na bezpieczną odległość, a wszystkie osoby siedzące wkoło nas są wystarczająco pogrążone we własnych sprawach, opowiadam jej wszystko, czego się dowiedziałem o chipach. Almeida osuwa się na oparcie, przez chwilę wbija we mnie uważne spojrzenie, spokojnie trawiąc to, co właśnie powiedziałem, jej usta zaczynają drżeć, po czym po raz kolejny dzisiaj wybuchają szczerym, niepohamowanym śmiechem. Lubię jej śmiech, ale nie w tym rzecz. Chusteczką ociera łzy z kącików oczu.

- W głowie? – cedzi pomiędzy kolejnymi salwami.

Przeczekuję to, zastanawiając się, jak by zareagowała, gdybym powiedział jej, że oprócz tego mam kolegę, który twierdzi, że zna przyszłość i nie dalej jak wczoraj ocaliliśmy życie pewnej dziewczyny, zmieniając bieg wydarzeń. Almeida naprawdę wygląda uroczo, gdy się śmieje, więc nie mogę być na nią zły. Wpatruję się w jej ciemne, zmrużone oczy jak zahipnotyzowany. Dzięki temu mogę dokładnie dostrzec moment, w którym coś znajdującego się niedaleko za moimi plecami otwiera je szeroko, gasząc w jednym mgnieniu całą jej radość.

- Cholera. Nie odwracaj się – mówi, łapiąc mnie za rękę.

Jest głośno, ale ja i tak słyszę zbliżające się kroki, a gdy ustają, donośne i nieuchronne:

- Dobry wieczór państwu.

Leonard. Przedstawia się i kłania z najwyższą kurtuazją, po czym od razu przechodzi do bycia sobą.

- Te cycki są prawdziwe? Dziewczyno, zrobiłabyś u mnie karierę...

Patrzę na niego błagalnie, próbując wymóc, by już zostawił nas w spokoju i przeszedł dalej do sekcji Uber VIP, gdzie właśnie odbywa się casting na kolejną gwiazdę alt popu, którą będzie promować jego wytwórnia Demented Mer.

– Zamawiajcie, co chcecie, na koszt firmy. Niektórych rzeczy nie ma w menu, ale wystarczy zapytać – mówi, klepiąc mnie przyjacielsko po ramieniu, po czym woła gestem naszą kelnerkę.

– Gdyby Robert wracał dzisiaj do domu sam, spraw, żeby się nie nudził, gdy już tam dotrze – krzyczy jej do ucha, zupełnie jakby nas tu nie było, po czym oddala się w kierunku swojej łoży.

– Naprawdę, to nie będzie konieczne – mówię do dziewczyny, która tylko wzrusza ramionami.

Bo rozkaz to rozkaz. Almeida patrzy na mnie pytająco.

– Tak... się składa, że pracuję dla niego – wyjaśniam sytuację z Leonardem.

– To... to jest ta praca, którą znalazłeś? Niesamowite. Więc co dokładnie tam robisz? Zgarniasz haracze? Handlujesz prochami?

– Nic z tych rzeczy. Jestem na stażu. W wydawnictwie. Pierdoły robię. Tworzę koncepcje. Leonard zgarnął mnie, bo byłem w telewizji i dla osób z dołu mogę być atrakcją – mówię bez sensu, próbując wybrnąć z sytuacji.

– A poza tym...

– Co takiego?

– Skąd ta pewność, że nie wracasz dzisiaj do domu sam?

*

Ludzie podrywają się z krzesel, porzucają niedopite drinki, rozluźniają uściski w tańcu i pchają się ku wyjściu. Obraz jest już transmitowany na żywo przez wszystkie urządzenia przenośne, ale każdy chce to zobaczyć na własne oczy. Dajemy się złapać przez pijany emocjami tłum, którego gęsta, spiętrzona fala wypycha nas z impetem na zewnątrz.

Noc jest ciepła, bezchmurna. Przerazająco cicha. Podnoszę ciekawskie spojrzenie w górę, by też to ujrzeć. Świetlisty iks rozmazany na majestatycznej twarzy Ketry, przekreślający nocne niebo dwoma pociągnięciami cybernetycznego pędzla. Stworzony z milionów niewielkich świateł na elewacjach prawie wszystkich wież w zasięgu wzroku skutecznie anuluje jej wielkość. Ketra jak skreślone zdanie, które nie ma sensu. Jak zaznaczony punkt, w który ma uderzyć bomba. Zły omen.

– I co? Dalej chcesz tam mieszkać?

Almeida zwraca ku mnie swoje lekko zawiane spojrzenie.

– To nic. Pewnie jakaś awaria. Czysty przypadek – mówi.

Teorii w tłumie jest wiele. Ale ja nie mam złudzeń. Żadna linijka kodu, którą kiedykolwiek napisał Vincent Noir, nie była dziełem przypadku. Ten symbol też nim nie jest. Tylko jakie jest jego znaczenie?

Za plecami słyszę nerwowe wycie klaksonu. Blu niespiesznie, ale pewnie, przeciska się przez tłum rozlany po całej szerokości ulicy.

– To co, może podrzucę cię do domu?

– Zobaczymy – odpowiada.

Wchodząc do limuzyny, traci równowagę. Burza fioletowych włosów łąduje miękko na skórzanym obiciu kanapy. Nie tracąc fasonu, zarzuca nogę na nogę, zdmuchuje loki z twarzy.

– Ja to mam wejście – mówi, poganiając słowa głośnym śmiechem.

– Witamy na pokładzie – odpowiada jej nasz łysy kierowca.

Zaczynamy plądrować barek limuzyny, rozlewając po kolei wszystkie rzadkie trunki, które udaje nam się w nim znaleźć. Blu pędzi przez miasto, muzyka dudni z głośników, alkohol wylewa się na nas na każdym zakręcie. Ostatecznie dojeżdżamy pod mój hotel, ale jesteśmy zbyt szybko, więc proszę go o jeszcze jedną rundę po okolicznych ulicach. Jest coś mocno nakręcającego i hipnotycznego w tym jeżdżeniu bez celu. Na szczycie fazy Almeida nadaje temu zjawisku roboczą nazwę „perpetualnego oddalania się”, co akurat w tym momencie wydaje mi się bardzo trafnym określeniem. Godzinę później kompletnie pijani wypadamy z limuzyny wprost na chodnik. Nie wiem dlaczego, ale próbuję zapłacić za transport. Blu stanowczo odmawia wzięcia ode mnie pieniędzy. W objęciach przetaczamy się z Almeida przez główny hall wprost do windy. Jestem zapatrzony w jej zadziorne spojrzenie, więc w pierwszej chwili nie zauważam, że ktoś jeszcze wsiada z nami do środka. Dopiero gdy wyczuwam w powietrzu słodki, nikotynowy oddech, momentalnie trzeźwieję.

– Czynsz – mówi Wenecja.

– Jasne. – Przerzucam jej kasę szybkim, automatycznym gestem.

Czuję się w tym momencie jak dzieciak złapany na wagarach. Wenecja robi krok do tyłu, przyglądając się nam uważnie. Niezręczna chwila rozciągnięta w przestrzeni przez dwa piętra zdaje się trwać w nieskończoność.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki – mówi dokładnie w momencie, w którym odsuwają się za nią metalowe drzwi.

Puszcza do mnie oko, odwraca się i odchodzi w drugi plan ciemnego korytarza. Byle dalej. Almeida wzrusza ramionami. Kobiety instynktownie wiedzą, kogo pieprzyłeś, a te po psychologii dodatkowo są w stanie określić kiedy. Co do tego mamy absolutną jasność.

Wreszcie opuszczamy ciasną windę. Wiem, że dzisiaj już nic z tego nie będzie. Padniemy nieprzytomni, ona na łóżko, ja na fotel, a jutrzejszy dzień zastanie nas na olbrzymim kacu. W zbyt jasnym świetle poranka ochrypniętymi głosami zaczniemy składać strzępy urwanych filmów, kawałek po kawałku, w całość. I może wtedy uda mi się ujrzeć coś w jej uśmiechu, gdy postawię przed nią kubek z gorącą kawą, albo w jej

zmęczonym, ale pogodnym spojrzeniu schowanym za kłębami pary, coś, co da mi pewność, że nie tylko ja tu zwariowałem, myśląc, że wszystko jest dużo lepsze, gdy jesteśmy razem.

Otwieram drzwi mojej nory i przepuszczam Almeidę przodem. W samą porę, aby mogła zobaczyć, jak pięść Leonarda łąduje na twarzy przywiązanego do krzesła mężczyzny. Lepka struga śliny i posoki zaznacza na ścianie ślad po kolejnym uderzeniu. Głowa ofiary opada bezwładnie na piersi.

– Kurwa mać! – tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

– No, co tak długo? Musieliśmy zacząć bez was – mówi, przekazując na ręce Jahreda połyskujący, ociekający krwią kastet.

Almeida odwraca się i wychodzi.

– Nie, poczekaj... – wołam za nią.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego – rzuca przez ramię.

Ma dosyć. Żadne moje prośby nie są w stanie zatrzymać jej chwiejnego, lecz stanowczego marszu ku windom.

– Poświęciłam ci tyle swojego czasu, otworzyłam się przed tobą, zrobiłam wszystko, żebyś nauczył się funkcjonować w tym miejscu. I widzę, że udało ci się. Pasujesz tu idealnie! Gratulacje! To nie to, co mówisz, tylko to, co robisz, świadczy o tobie. Myślałam, że jesteś dobrym człowiekiem, ale ty po prostu jesteś doskonałym kłamcą! Punkt dla Ketry. Świetnie cię tam nauczyli opowiadać bzdury! Jesteś kreatywny, tego nie można ci odmówić. Pytanie, czy sam wierzysz w to, co mówisz?

Jej ciemne oczy są pełne gniewu. Wyrzuca mi to wszystko prosto w twarz, a później robi krok do tyłu.

– Uratowałaś mnie!

Desperacko wciskam te dwa słowa pomiędzy zatraskujące się drzwi windy, nie dając jej szansy na odpowiedź. Jeszcze przez chwilę wpatruję się w swoje odbicie w metalicznej powierzchni. Biorę oddech i nurkuję głęboko, coraz głębiej...

*

Leonard bez marynarki, w powyciąganej, przepoconej i zakrwawionej koszuli o zawiniętych rękawach. Dalej Jahred. Jego fluorescencyjne tatuaże pokrywające muskularne łapy i kark świecą w mrokach dusznego pokoju hotelowego. Po prawej ja – pijany, zmęczony, zrezygnowany. Kompletnie obojętnym wzrokiem błędzę po ścianach, popijam wodę, próbując zrzucić z powiek ciężką fazę.

Gdy ból budzi cię z chwilowej utraty przytomności, taki widok nie napawa optymizmem.

– Kobiet nie ruszam – uspokoił mnie Leo, aplikując agentce zastrzyk środka spowalniającego funkcje życiowe. – Jej oddech będzie tak wolny, że praktycznie nie da się go zauważyć. To wszystko po to, żeby złamać jej partnera. Będzie musiał uwierzyć, że ona nie żyje.

W środku martwa cisza. Za oknem pojedyncze odgłosy szumiących aut przypominają o nadchodzącym poranku.

Jego przekrwiony, zrezygnowany wzrok jest już jak najbardziej przytomny.

– Witamy z powrotem. – Leo energicznie podnosi się z krzesła. – Pozwól, że powtórzę moje pytanie. Czego agenci Ketry szukają w mieszkaniu mojego dobrego kolegi Roberta?

Nic.

Zero reakcji.

Wszystkie mięśnie spięte bólem, ale żaden z nich nie jest zaangażowany w udzielanie odpowiedzi.

Leonard zawiesza swoją twarz tuż naprzeciwko jego. Wypowiada to zdanie powoli. Sadystycznie bawiąc się każdym jego słowem.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale zostałeś tu sam, kolego.

Mężczyzna kieruje spojrzenie na puste krzesło obok siebie. Dopiero po chwili dostrzega jej ciało. Rozwiązane z taśmy, leżące w niedbałej pozycji tuż przy oknie. Kilkakrotnie zamyka i otwiera oczy, jakby chciał sprawdzić, czy to sen, czy może uda się obudzić.

– Nie ma ucieczki – mówi Leonard. – Więc zrobimy to szybko albo bardzo, bardzo wolno. Twój wybór.

Mężczyzna milczy.

– Dobra, to zaczyna się robić nudne. Ed, odstrzel mu głowę i spadamy. Jest już późno, a ja jutro idę do pracy na dziewiątą. – Leonard teatralnie traci cierpliwość.

Jahred przeładowuje broń, przystawia ją do głowy mężczyzny. Jego palec wskazujący zaciska się powoli i z wyczuciem na spuście. Podrywam się z krzesła obudzony z pijanego letargu nagłym dźwiękiem. Ale to nie wystrzał. To jego krzyk. Protest.

– Nie!

A zaraz później:

– Powiem wam wszystko, co wiem. Tylko... tylko nie róbcie tego... Chcę żyć.

– Chcę żyć – Leo przedrzeźnia go. – Gdy wszystkie inne hamulce puszcza, instynkt zawsze bierze górę. Gdyby nie on, nigdy nie byłibyśmy tu, gdzie teraz – mówi, wykonując gest w kierunku brudnych okien, za którymi w szarudze zimnego poranka górują przekreślone wieże Ketry.

– Słuchamy.

Mężczyzna rzuca jeszcze jedno spojrzenie w kierunku jej ciała. Wyobrażam sobie, jak okrutne myśli przewalają się w tym momencie przez jego głowę. Pełne wyrzutów sumienia. Gniewu. Beznadziei.

– Mogłem ją ocalić, prawda?

– W każdej chwili. Ale wolałeś być uparty. W imię czego? Kilku wysokich domków z piasku za dużym murem? Do rzeczy, stary!

– Nazywam się Otis Low, numer agenta 3749113, i pracuję w komórce inwigilacyjnej, której terenem operacji jest strefa B. Zadaniem moim i mojej partnerki było śledzenie oraz rejestrowanie działań obecnego tu Roberta Welkina w celu ustalenia miejsca pobytu Artura Welkina...

– Słucham? – Podrywam się z krzesła zaskoczony.

– Nazywam się Otis...

– On żyje? Mów, co wiesz o moim ojcu – rzucam.

– Nic więcej. Naszym zadaniem było ustalenie miejsca jego pobytu i przekazanie tej informacji do wyżej uprawnionych...

– Dlaczego go szukacie?

– Nie wiem.

Wierzę mu, bo nie ma już nic do stracenia. Ale gorsza część mnie chce przycisnąć go, złamać, aż zacznie zmyślać, by kupić swoje życie. Bo w tym momencie, gdy wszystko po raz kolejny się wali, bardzo potrzebuję punktu zaczepienia. Chcę w końcu czegoś się dowiedzieć o moim starym, nawet jeśli to brednie. Chcę szukać jego śladu, zaczynając choćby od ślepych uliczek. Jest prawdopodobnie jedyną osobą, która mogłaby wprowadzić trochę normalności w moje wypieprzone od tyłu życie. Mógłby odpowiedzieć, dlaczego pomógł budować to miasto, a później je zostawił? Dlaczego zostawił nas? Czy sfalszował dokumenty, by zapewnić nam miejsce w Ketrze, czy to wszystko jest pieprzonym spiskiem przeciwko mnie? Co mówił, gdy trzymał mnie na rękach, pokazując wzniesione do połowy szkielety białych wież?

Moje dłonie same zaciskają się w pięści.

Ale wbrew temu, co myśli o mnie Almeida, mam pełną świadomość, że to nie rozwiąże niczego. Tylko upuści gniew. Sprawí, że jutro będzie jeszcze mroczniejszym dniem.

Leonard widzi to we mnie: każdą emocję, jak rodzi się i umiera pod płaszczem pijanej obojętności. Jest dobrym obserwatorem, czyta ludzi jak książki. Nie mógłby być tym, kim jest, gdyby było inaczej. I gdy ja myślę, że wystarczy, on mówi:

– Wystarczy.

Po czym sadza zwłoki dziewczyny z powrotem na krzesło i magicznym uderzeniem otwartej dłoni prosto w policzek przywraca jej życie.

– Ty skurwysynu...

Agent wrywa się z więzów, daremnie próbując podrzeć na sobie nierozrywającą się taśmę z poliuretanu i tytanu.

– Nikt nie powiedział, że to czysta gra – Leo chłodno komentuje jego zmagania.

Dziewczyna daremnie próbuje zorientować się w sytuacji, ale to, co tu przed chwilą zaszło, wychodzi poza jej wciąż farmakologicznie przytłumione pojmowanie. Rzucam okiem na Jahreda, który z największym spokojem i miną wyrażającą obojętność obserwuje tę psychodramę rozpisaną na pięć osób. No i nie zapominajmy też o Almeidzie, która w tym momencie pewnie rzuca się w miękką pościel, szczerze mnie nienawidząc. Nie jestem natomiast w stanie stwierdzić, co siedzi w głowie szamana. Być może wyobraża sobie ten moment, w którym przekaże w moje spocone dłonie półtora kilograma ciężkiej, zimnej stali, wskaże palcem głowę Leonarda i powie: „No, już”. Nie mogę o tym myśleć. Nie dzisiaj. Nie teraz. Nigdy, bo, kurwa, wolna wola, i chuj ci do tego.

Umyka mojej uwadze moment, w którym Leonard wyciąga z czarnej torby podróźnej wielkie urządzenie przypominające skrzyżowanie przenośnego odświeżacza bielizny z odkurzaczem jonizującym, tyle że wyposażonym w spust.

– Przykro mi to stwierdzić, ale jesteś, Robercie, ostatnią osobą, którą musieliśmy wypatroszyć z chipa w starym stylu. Mój dział innowacji właśnie opatentował to urządzenie, które dezaktywuje pluskwy zupełnie bezinwazyjnie – mówi, machając mi przed głową lufą o średnicy arbuza – i do tego jest cholernie efektowne. Panie i panowie, oto pierwsze na świecie działą na plazmę pierwotną. Ręce do góry.

Agenci nie są do końca przekonani co do intencji Leonarda i nawet jego dość obrazowa opowieść na temat chipów lokacyjnych nie wywołuje oczekiwanej współpracy. Dopiero gdy Jahred interweniuje, a właściwie odlepia swoje ogromne cielsko od ściany, robiąc zaledwie pół kroku w ich kierunku, dłonie same próbują uwolnić się z więzów i wystrzelić w powietrze.

– Panie przodem – mówi Leo, przykładając lufę do nadgarstka agentki.

Naciska spust. Urządzenie wydaje z siebie świdrujący w uszach jęk o narastającym natężeniu, by ostatecznie eksplodować pióropuszem iskier, które zasypują gęstymi

falami całe pomieszczenie. Przez ułamek sekundy czuję się jak w galaktycznej pralce; gwiazdy skaczą mi do oczu, tracę orientację przestrzeni. Gdy do pomieszczenia wraca zasilanie, nie jestem wcale zdziwiony faktem, że moja dupa wylądowała na podłodze. Agentka jest w ciężkim szoku, przybita razem z krzesłem do ściany, ale żyje, jeszcze nie w pełni świadoma swojego odrodzenia jako nikt zupełnie szczególny w świecie poza strefą A.

– Dobra, teraz pan Low – mówi Leonard, zbliżając się do kolejnego pacjenta.

Ogromna lufa zawisa na wysokości jego czoła.

– Niestety, tu nie obędzie się bez neurochirurgii – rzuca z nieukrywanym entuzjazmem, odpalając całą drogę mleczną wprost pomiędzy jego wystraszone oczy.

Tym razem jestem przygotowany. Zapierając się o szafkę, przyjmuję na siebie falę uderzeniową. Pan Otis ma mniej szczęścia i odzyskuje przytomność dopiero po dłuższej chwili, odnajdując się sponiewierany i obleczony resztkami krzesła i taśmy w dalekim rogu pokoju. Leonard uwalnia kobietę z więzów, a ona natychmiast podbiega do swojego partnera i pomaga mu wstać. Harda, młoda babka o ostrych rysach twarzy i krótkich, prostych blond włosach dźwiga do pionu dwa razy większego od siebie mężczyznę z takim poświęceniem, że momentami mam wrażenie, że nawet jej wysportowana sylwetka może tego nie wytrzymać. Facet spogląda jej głęboko w oczy, a później na swój minitabiet. Kilkakrotnie dotyka czytnika linii papilarnych, ale za każdym razem jego urządzenie wygłasza kategoryczne: „Odmowa dostępu”.

– A więc to prawda... – mówi, wypuszczając urządzenie z ręki.

– Czy to oznacza, że my już nigdy... że nie możemy wrócić?

– Tak, Weroniko. Całe nasze życie. Ono bezpowrotnie zniknęło.

– Witajcie w moim świecie – dorzucam mimochodem, ale wystarczająco głośno, by usłyszeli.

– Mamy już tylko siebie.

Jego dłonie chwytają ją za ręce.

– Więc twoja żona...

– Już nigdy jej nie zobaczę...

Absolutna cisza. Powietrze jest tak naładowane emocjami, że prawie słychać, jak wydaje z siebie narastający pomruk. My nie istniejemy. Nas tam nie ma. Tylko oni, ich spojrzenia, oddechy. Magia.

Rzucają się sobie w objęcia, zaczynają całować. Agentka dotyka pokancerowanej twarzy pana Otisa, przeczesuje palcami jego zlepione od krwi włosy. Jego dłonie są już w okolicach jej pośladków. Są wolni, żywi. Doświadczający najszczęśliwszej chwili w

życiu, o której nawet bali się marzyć. Teraz nie mają nic do stracenia i zarazem mają wszystko, czego kiedykolwiek pragnęli.

– Kurwa, to fantastyczne... – Leonard też nie może wyjść z podziwu dla tej sceny godnej najlepszych reality shows. – Brakuje tylko jednego... – dodaje drżącym od symulowanego wzruszenia głosem, włączając na miotaczu sekwencję ładowania. – Fajerwerków.

– Nie! – protestujemy, osłaniając uszy i oczy na ułamek sekundy przed kolejną galaktyczną eksplozją.

– Wszystko? – pytam jeszcze raz, tak dla pewności.

– Wszystko – Leonard jest nieugięty. – Po nich przyjdą następni, a ja nie mogę ryzykować, że inwigilując ciebie, znajdą coś na mnie.

Więc kasuję moje konta w chmurach, playlisty ulubionych kawałków i filmów, logi naszych nocnych rozmów z Almeidą, które rejestrowałem bez jej wiedzy. Znikają też namiary na jej konto, co ostatecznie utwierdza mnie w przekonaniu, że już nigdy się nie spotkamy. Kasuję zdjęcie, które wykonałem przez przypadek kamerą wbudowaną w monitor, przedstawiające w kiepskiej rozdzielczości 128K 3D mnie siedzącego przy biurku ze szklanką whisky oraz w drugim planie kompletnie nagą Wenecję, przyglądającą się sobie w lustrze. W niebyt odchodzi książka Benedicta Waya, która pomogła mi przetrwać kilka pierwszych, zbyt cichych wieczorów, choć z drugiej strony prawie udało jej się zanudzić mnie na śmierć. Na samym końcu znikają moje zapiski, które prowadziłem w celach terapeutycznych, a które z czasem zaczęły przybierać formę opowiadania.

– Zrobione – oznajmiam wreszcie, wstając od biurka.

Chłopaki z „ekipy przeprowadzkowej” rzucają FOLED-owym monitorem o ziemię, a później ochoczo przekopują go przez całą długość pokoju. Elastyczna konstrukcja wygina się i faluje, lecz ostatecznie pęka pod naporem ciężkich buciorów. Spektakl bezsensownej agresji okraszony protojęzykiem. Smutna scena.

– To zwierzęta, ale przynajmniej wykonują proste polecenia – mówi Leo, kierując się do drzwi.

Wychodzę zaraz za nim, nie oglądając się za siebie. Poza krótkimi epizodami to miejsce nie kojarzyło mi się z niczym dobrym. Gdy jeszcze zachowywałem resztki nadziei na powrót do Ketry, było dla mnie poczekalnią, gdy ją straciłem – umieralnią, a

gdy dzięki Almeidzie z powrotem zacząłem stawać na nogi, po prostu brzydką, duszną norą, do której nigdy nie byłbym w stanie się przyzwyczać.

Gdy kilka chwil później przechodzę przez próg gabinetu Wenecji, nie umyka mojej uwadze fakt, że napis na drzwiach jest znów kompletny, a zaraz pod nim widnieje wykonany ładnym, zdobionym grawerem podpis właścicielki tego przybytku.

– Widzę zmiany – mówię, pokazując na drzwi, ale pani Milton nie ma prawa wiedzieć, o co może mi chodzić. Rozwalona wygodnie na kanapie w drugim końcu pokoju, z długimi nogami zarzuconymi na oparcie, oddaje się przyjemności palenia papierosa ze szklanej rurki w stylu retro. Ani przez chwilę nie zaszczyca mnie swoim spojrzeniem, mimo że wie, dlaczego tu jestem, mimo że jedynym rozciągającym się przed nią widokiem jest jednolicie bezosobowa połać ściany w kolorze bordowym.

– Jesteśmy rozliczeni – oznajmia powoli, wypuszczając dym z ust.

Jeszcze przez chwilę stoję tam w drzwiach, lekko zbity z tropu, trochę smutny, że w tak nijaki sposób ma zakończyć się ten nasz dziwny epizod, ale z drugiej strony, czego niby miałem się spodziewać? Buziaków i uścisków? Że po raz ostatni złapie mnie za kutasa, popchnie na ścianę i zażąda rżnięcia? Uśmiecham się do siebie smutno, bo powoli zaczynam rozumieć, że ta cisza może być jedyną słuszną konkluzją dla naszej historii.

– Na razie – mówię, wycofując się i miękko zamykając za sobą drzwi.

Jeśli chodzi o standard apartamentów w wieżach Ketry, panuje tam bardzo prosta zasada. Im wyżej, tym lepiej. Oczywiście każde lokum, nawet to znajdujące się zaledwie setkę metrów nad ziemią, na ciasno upakowanych piętrach przy podstawie, spełnia wiele wymogów, ma okno z dostępem do światła słonecznego przez co najmniej cztery godziny dziennie, w pełni wyposażoną kuchnię i łazienkę, posiada klimatyzację, aktualizowany co pół roku komputer z podłączeniem do Internetu oraz wewnętrznej, zamkniętej sieci Ketry, pełen zestaw mebli i minimalnie dziesięć metrów kwadratowych wolnej przestrzeni dla każdej z zamieszkujących osób. Jest to standardowe mieszkanie, w którym spędzają swój czas wolny osoby pokroju sprzątaczy, techników i ochroniarzy. Jeśli podniesiemy głowy nieco wyżej, zauważymy, że wraz ze zmniejszaniem się przekroju poprzecznego każdej z wież, zmniejsza się także liczba apartamentów na każdym z pięter. Powyżej poziomu 900 metrów, w strefach zajmowanych przez menedżerów wyższego stopnia, prezesów firm, gwiazdy Internetu i urzędników Ketry natkniemy się na mieszkania wyposażone w ogromne, przeszklone loggie, prywatne siłownie, baseny, a nawet ogrody botaniczne z roślinami z najodleglejszych zakątków Ziemi. Ostatnie piętra należą do tak zwanych

apartamentów 360 – najbardziej prestiżowych i najdroższych miejsc w Ketrze. Mówi się, że jeżeli nic nie zasłania widoku z twojego okna, znalazłeś się na szczycie współczesnego świata.

I jak tu nie słuchać starego, poczciwego Waya, który rozmarzonym, drżącym od emocji głosem opowiada te wszystkie niesamowite historie, jakby streszczał najpiękniejszy ze swoich snów? Pełen respektu dla geniuszu konstruktorów Ketry, nieudolnie stara się być obiektywny w swoich peanach na rzecz tego *szczytowego osiągnięcia rasy ludzkiej, które wystrzeliło dumnie ku niebu niczym spiczasta korona zasunięta na skronie Wieku Rozwoju*. Czy chce tego, czy nie, wszystkie jego suche fakty nasączone są patosem.

Ściągnięcie książki „Planeta Miasto” było pierwszym, co zrobiłem w moim nowym mieszkaniu. Miałem ochotę usłyszeć jakiś znajomy głos, ale trochę też chciałem przetestować fantazyjny ekran z zaawansowaną obsługą gestów z każdego miejsca w domu. Gdy Leo powiedział, że przeniesie mnie w nieco lepsze miejsce, nie wiem, dlaczego wyobraziłem sobie poddasze jednego z tych kilkudziesięcioletnich, niewysokich klocków z betonu. Ale nic nie mogło mnie przygotować na... powrót do normalności.

Bo właśnie stoję w salonie o powierzchni pięćdziesięciu metrów. Szklane blaty stołów i szyby okien wyświetlają dyskretną czcionką informacje o pogodzie (będzie padać, ale przejściowo), o giełdzie (hossa), o tym, co warto obejrzeć w necie (nowy odcinek Crime Factor). Centralny system już nauczył się moich gestów, zapytał o nastrój i zaproponował playlistę utworów, dzięki którym poczuję się jeszcze bardziej zrelaksowany („Karmakosmik”). Dywany pod moimi stopami są miękkie i same pozbywają się brudu i wilgoci, podobnie jak szafki, które odpychają kurz wprost w stronę filtrów absorpcyjnych. W łazience komora piorąco-susząco-prasująca zajmuje niecały metr kwadratowy. To dobrze, bo znalazło się miejsce dla ogromnego jacuzzi, które wypełnia się wodą o dowolnej temperaturze i nigdy nie stygnie. W mieszkaniu, oprócz sypialni z łóżkiem masująco-rehabilitacyjnym, są jeszcze dwa pokoje: siłownia wyposażona w najnowszy i najdroższy, jak mniemam, program planujący osobisty trening oraz salon gier, w którym nie mogło zabraknąć PlayBoxa Seven podpiętego do rzutnika hologramów. Wszystko to spowite delikatną wonią lasu po deszczu wydobywającą się z systemu klimatyzacji, wyposażonego w zajebistą funkcję generowania zapachów, i doprawione widokiem na błyszczące w słońcu wieże Ketry.

– Wow.

Ogromna twarz Leonarda przygląda mi się uważnie z powierzchni ekranu.

– Na lodówce zostawiłem ci namiary na Whorizon, najlepszy burdel w mieście, którego jestem właścicielem, więc jak będziesz się nudził, możesz tam wpaść i oddać mi

trochę z tej kasy, którą ci płacę absolutnie za nic. A teraz przepraszam, ale muszę dokończyć casting, jeśli wiesz, co mam na myśli. Została już tylko finałowa trójka – mówi, przesuwając kamerę w kierunku ogromnego łóżka w głębi pokoju, na którym trzy roznegliżowane panienki zabawiają się ze sobą. – *Adieu!* – dodaje, gasi ekran, po czym jeszcze raz wraca, wdając się w kolejną przydługą, pseudofilozoficzną tyradę na temat maniery rzucania dziwnych pożegnań.

Byłem zbyt mały, by pamiętać swój pierwszy sen w Ketrze, ale ten z dzisiejszej nocy pamiętam doskonale. Może dlatego, że obudziłem się z niego cały zlany potem o piątej nad ranem. Podobno to ma jakieś znaczenie – twój pierwszy sen w nowym miejscu. Moja matka zawsze była przesadną osobą starej daty, wychowaną w erze klawiatur i próchnicy, i zawsze przykładła zbyt dużą wagę do rzeczy, których normalny człowiek zdaje się nie zauważać. Na pewno znalazłaby też wiarygodną interpretację dla wizji, która, mimo gęstego strumienia gorącej wody wycelowanej prosto w czoło, wciąż nie chce opuścić mojej głowy. Przed oczami widok na Ketrę B, oddzieloną wysokim murem. Stoję na tarasie widokowym Zero Tower. Przepiękne popołudnie, akweny wody u stóp wież połyskują w słońcu. Ciepły wiatr na mojej twarzy i uczucie kompletności w sercu. To stan, w którym niczego mi nie brakuje, wszystko jest na swoim miejscu, a jutro nie kryje przede mną żadnych niespodzianek. Znam to uczucie zbyt dobrze. Teraz tylko ze wspomnień...

Stożę więc na tym balkonie, zastanawiając się, ile czasu zajęłoby mi swobodne spadanie, czy nie dostałbym zawału po drodze i co mogłoby zostać z mojego ciała po kilometrowym locie w kierunku twardego betonu – wiadomo, zwyczajne myśli człowieka, który obcuje z przestrzenią. Przemykam oczy, beztrąsko wystawiając twarz w kierunku słońca. A gdy je ponownie otwieram, zauważam, że niebo jest ciemniejsze niż przed chwilą. Tysiące małych, czarnych punktów, które początkowo biorę za ptaki, fruną melancholijnie ku górze, pokrywając Ketrę cieniem. Dopiero gdy zwracam swój wzrok ku dołowi, odkrywam prawdziwą przyczynę zaćmienia. To nie ptaki, to sama Ketrę odrywa się kawałek po kawałku i unosi w przestrzeni. Szczyty wież, chodniki i balkony odchodzą w niebyt, jakby płonęły bez ognia. Poskręcane czarne strzępki popiołu zasnuwają niebo. W dłoniach czuję dziwne ciepło. Koniuszki moich palców zaczynają marszczyć się i czernieć, aż w końcu one też uwalniają się od reszty mojego ciała. Nie krzyczę, nie panikuję. Wokół cisza. W sercu gra harmonia i rodzi się poczucie, że wszystko jest tak, jak powinno być. Z czasem moje dłonie znikają kompletnie, podobnie jak moje barki,

tułów i głowa. Rozsypuję się na wietrze i jeszcze przez chwilę widzę, jak na miejscu wielkiej Ketry zostaje jedynie czarne, dogasające palenisko.

Prysznic rekomenduje przełączenie się na tryb oszczędny, bo od kilku minut nie wyczuł żadnej aktywności z mojej strony. Porzucam więc myśli o nirwanie i samounicestwieniu na rzecz bardziej prozaicznego poszukiwania przycisku do osuszania. Za oknem wschodzi słońce. Zanim wpakuję się do łóżka, by dośnić epilog tej historii albo chociażby agonalnie poobracać się w pościeli, dopóki nie zadzwoni budzik, rzucam jeszcze jedno spojrzenie za okno, na wieże, których szczyty już lśnią na tle atramentowego nieba, przepowiadając nadejście kolejnego dnia. Są tam, w pełnym majestacie górują nad płaskim krajobrazem. Przekreślone, ale realne.

Jestem spokojny...

...dopóki nie zobaczę jasnej linii światła rozpalających się wzdłuż najwyższej wieży po lewej stronie horyzontu, linii tworzącej razem ze świetlistym iksem wyraźny i oczywisty symbol – „dziewięć”.

To odliczanie.

Ludzie dzielą się na tych, którzy mówią, i tych, którzy słuchają. Nigdy nie uważałem się za osobę mającą dużo do powiedzenia. Wyrażały mnie pomysły, które od małego nauczyłem się układać w słowa, które z kolei tworzyły zdania, a te obrazy. Dzięki tym obrazom konsumenci mogli poczuć pożądanie do nowego modelu okularów AR albo przestraszyć się o swoją prywatność na tyle, by zapłacić pieniądze za kawałek kodu, który wedle moich obietnic otoczy wysokim murem ich prywatne życie (dość popularna przenośnia w świecie za wysokim murem). Ja, ten prawdziwy ja, zawsze pozostawałem schowany za ścianą liter i wyobrażeń. Być może nikt nigdy nie pytał o „mnie”, dlatego nie miałem okazji się przedstawić. A może sam uważałem się za niezbyt ważną osobę i nie czułem potrzeby, by wychodzić z cienia. Ale w bezpośredniej konfrontacji z milczącym obliczem szamana, które od dobrych kilku minut znajduje się w centrum mojego pola widzenia, czuję, że to ja powinienem przejąć inicjatywę. Zwłaszcza że mamy sobie parę rzeczy do wyjaśnienia.

– Więc jak to będzie? – zaczynam. – Odstrzelę mu głowę? Popchnę w przepaść?

Na twarzy Jahreda pojawia się uśmiech. Jeden z tych uśmiechów, które mówią wprost, że to dobry moment, by zacząć ważyć słowa. Nieważne. Brnę dalej, bo nie lubię, jak ktoś decyduje o moim życiu, choć wiem, że to dla mnie naturalny stan. Dorosłem w kontrolowanym środowisku, ale zaczynam zdawać sobie sprawę, że wydalony przez

system Ketry, trafiłem prosto w ręce kolejnego systemu. I szukam wyjścia. Tak jak umiem najlepiej. Słowami.

– Dlaczego ja?

– Tak ma być.

– I nie mam nic do powiedzenia?

– Nie.

– Nie wierzę – mówię.

– Każdy ma przyszłość. To jest twoja – cedzi swoim basowym głosem.

Jego powieki nie mrugają.

– A jeśli nie chcę? Co, jeśli stąd wyjadę, ucieknę, powiem o wszystkim Leonardowi?

– Nie zrobisz tego – odpowiada z wyrachowaną pewnością w głosie, zupełnie jakby mówił mi, która jest godzina.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem.

– Skąd?

– Patrzę. I widzę.

– Gdzie? Mam to wypisane na czole? Morderca Leonarda Constantine'a?! Tak brzmi mój tytuł?

Ludzie w knajpie zaczynają oglądać się w naszym kierunku. Przesadzam. Ale chcę go zmusić do konfrontacji. Przebić się przez tę czarną maskę milczenia i pewności, która wkurwia mnie do granic.

– W oczach – odpowiada, prześwietlając mnie tym swoim chłodnym spojrzeniem.

– Nie widzę tego.

– Ty nie zobaczysz – oznajmia, biorąc łyk napoju przez słomkę.

Jestem bezsilny. Zmęczony. Późna pora nie pomaga mojej koncentracji i sile woli.

– Więc... Dlaczego temu nie zapobiegiesz? Nie powstrzymasz mnie? Dlaczego nie odstrzeliłeś mi głowy, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy?

Jahred milczy. Uśmiech znika z jego twarzy. Na kryształowej powierzchni obojętności i milczenia pojawia się pierwsze pęknięcie, a ja wyczuwam moją szansę i próbuję drapać tę ranę, póki nie dostanę się do środka.

– A może... ty chcesz, żeby tak się stało? – rzucam oskarżeniem.

Nie odpowiada. Jego myśli są już daleko poza naszym stolikiem. Obok nas przechodzi dziewczyna.

Ubrana w zwiewne ciuchy, młoda, pewna siebie. To ten typ, który nie przejmuje się jutrem, liczy tylko na dobrą zabawę dzisiaj. Nie trzeba być szamanem, by wiedzieć takie rzeczy. Zwłaszcza gdy opuszcza lokal z dwoma chłopakami u boku. Jahred wymienia z

nią krótkie spojrzenie. Przymyka oczy i konsumuje to, co zobaczył. Nie mam pojęcia, co dzieje się pod jego powiekami, mogę się tylko domyślać. Jego twarz wykrzywia się w bólu, po czym natychmiast powraca do swojego posągowego wyrazu.

– Chodź – mówi do mnie i rusza w kierunku wyjścia.

Mam kilka piw w krwiobiegu. Chłód na zewnątrz wcale nie sprawia, że staję się trzeźwiejszy. Właściwie czuję się coraz mniej realnie, jak we śnie z poprzedniej nocy. Wystarczy, że mrugnę, a przed moimi oczyma pojawia się nowy obraz, bardziej nierzeczywisty niż poprzedni. Jahred opowiada mi w oszczędnych słowach, że tej nocy ona umrze. Ale zanim to się stanie, dwóch nawalonych typów, którzy prowadzą ją teraz pod rękę po całej szerokości ulicy kilkakrotnie ją zgwałci, zada wiele bólu. Zniszczy coś pięknego. A to koniec, na który nikt nie zasługuje.

– A kto niby o tym decyduje? Ty? Ja? – pytam go szczerze, bo widzę, że balansujemy tu na granicy prawdziwego szaleństwa.

– Nie rozumiesz – odpowiada. – Niczego nie zmieniamy. To ma się nie stać. Dzięki nam.

– Pieprzyć to gówno, człowieku! Nawet jeśli to prawda, świat jest zły, nie uratujesz wszystkich – staję w miejscu i odmawiam zrobienia choćby jednego kroku.

– Nie rozumiesz. Nie mamy wyboru. I tak to zrobimy. Jedyna różnica w tym, że świadomie. Znając rezultat. Znając alternatywy. Te niemożliwe.

Gdzieś w oddali za Jahredem trójka podchmielonych ludzi zatrzymuje swój pijany slalom, by wezwać taksówkę.

– Chodź, mzungu – ponagla mnie. – Musisz być. Tam.

Nie.

Nie ma takiej opcji.

On jest chory, a ja nie dam się zarazić jego szaleństwem.

W żadnym wypadku mnie w to nie wciągnie.

Nigdy.

No!

Dobra... W najgorszym wypadku skończy się na kilku poobijanych mordach – myślę.

Doganiamy ich bez problemu.

Styl Jahreda jest brutalny. Brak w nim finezji. Jest nastawiony na wynik, nie spektakularność. Pewnym ruchem ogromnej łapy wysyła zaskoczoną twarz pierwszego z mężczyzn na spotkanie ze ścianą budynku, zupełnie jakby chciał go precyzyjnie do środka pomiędzy cegłami. W momencie konfrontacji z drugim niedoszłym gwałcicielem dziewczyna już drze się wniebogłosy, zwracając kilka spojrzeń w naszą stronę.

Niepewny swojej roli w tym przedstawieniu postanawiam zakneblować jej usta i pozwolić Jahredowi dokończyć dzieła zniszczenia. Kobieta gryzie mnie w dłoń do krwi. Tracę równowagę i upadamy na chodnik. Ja na plecy. Ona na mnie. Tuż obok, jak balon z wodą roztrzaskuje się twarz drugiego mężczyzny. Jego oczy drgają nerwowo patrząc w moją stronę, ale wiem, że już nic nie widzą.

– Wy psychole! Pomocy! – dziewczyna drze się, przegryzając sobie drogę na zewnątrz przez mój nadgarstek. Opuuszczam. Wstaję, pozwalając jej wyrzucić z siebie gniew. Ale ona tylko patrzy na mnie bez zrozumienia, bo widzi swoje zaskoczone i przestraszone odbicie w mojej twarzy. Jahred popycha mnie w kierunku bocznej uliczki, nadając tempo naszej ucieczce.

I już, tak nagle, tak prosto, jest po wszystkim.

Dwadzieścia minut później dyżurny lekarz nocnego posterunku pogotowia opatruje moją dłoń. W tym samym czasie w innej rzeczywistości alternatywny ja przewracam się na schodach, łamię kręgosłup, naga dziewczyna z zakrwawionymi nogami czołga się w kierunku szczelnie zamkniętych drzwi, a świat wywraca się na lewą stronę, rzyga lawą i umiera...

Albo nie.

Leonard Constantine rozpoczyna swój dzień od wystawnego śniadania. Codziennie o godzinie siódmej trzydzieści rano, z wyłączeniem dni wolnych, w których to kac decyduje o aktywności lub jej braku, skąpo ubrana pokojówka wnosi na srebrnej tacy posiłek do oranżerii Leonarda, rozkłada przed nim sztuce na stole, wysłuchuje cennego i zawsze odkrywczego komentarza na temat swojego wyglądu, po czym asystuje panu domu w rozłożeniu serwetki na kolanach i znika. Jest to jedyny moment w całym dniu, w którym Leonard nie utrzymuje żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, nie towarzyszy mu żaden dźwięk, jego uwagi nie rozprasza obecność innych osób. Głęboki oddech przed zanurzeniem się w rwący nurt wydarzeń dnia. Przez następne siedemnaście do dziewiętnastu godzin jego komunikator będzie praktycznie non stop włączony. Na ekranie przewiną się dziesiątki twarzy, także moja, polecenia zostaną wydane a transakcje sfinalizowane. Leonard będzie musiał podzielić swoją ceną uwagę pomiędzy wydawnictwo, wytwórnę muzyczną, sieć nocnych klubów, produkcję porno i kilka innych biznesów, w których ma mniejszy lub większy udział. Zaprosi do swojego gabinetu kilka osób, by porozmawiać z nimi twarzą w twarz, ruszy w miasto zjeść lunch z kimś bardzo ważnym lub bardzo atrakcyjnym i zakończy dzień

aktywnością medialną polegającą głównie na przebywaniu w miejscach uznawanych za modne. Leonard niechętnie zmienia swoje przyzwyczajenia, ale dziś akurat nie ma wyboru. Dokładnie o siódmej trzydzieści rano wchodzimy do Lilo, niewielkiej klubokawiarni urządzonej w kameralnym klimacie z początku wieku, gdzie nad drewnianymi stołami unoszą się leniwie smugi parującej kawy najlepszego gatunku, a płatności można dokonać jedynie przy użyciu gotówki. Prawdopodobnie jest to ostatnie miejsce na ziemi, w którym można fizycznie zobaczyć pieniądz w użyciu. Na zewnątrz orszak zaparkowanych nieprawidłowo czarnych limuzyn prestiżowych marek połyskuje w promieniach wschodzącego słońca, zaznaczając przejęty teren. W środku grupa dyskretnie uzbrojonych, lecz ostentacyjnie muskularnych, mężczyzn sączy herbatkę z malutkich filiżanek, wyglądając tak groteskowo, jak to tylko możliwe. Wnioskuje, że przyjeżdżanie tu jednym autem i w towarzystwie półtora ochroniarza musi uchodzić za niezłą awangardę, ale Leonard nie jest osobą, która przejmowałaby się konwenansami.

– Poczekajcie tu – mówi, wskazując nam pierwszy wolny od goryli stolik, a sam rusza w głąb pomieszczenia.

Kelner kłania się przed nim w pas, odsuwa krzesło, podaje menu, które natychmiast łąduje odrzucone niedbałym gestem pomiędzy filiżankami jego dwóch rozmówców. Mężczyzna po lewej to niejaki pan Molten. Wiek około czterdziestu lat, sądząc po jego okrągłej i niebudzącej sympatii twarzy. Ma operacyjnie usunięty zarost, nienaturalnie ciemne oczy i metodyczne spojrzenie pozbawionego moralności prawnika. Po prawej pan Masamune, którego miałem okazję poznać w sklepie z zabawkami. Jak zawsze spokojny, w nienagannym garniturze, z pełną kulturą w słowie i czynie, dopóki nie trzeba pozbawić kogoś głowy. Na pierwszy rzut oka Leonard wygląda przy nich jak nieprzygotowany uczeń występujący przed komisją egzaminacyjną, ale to tylko pozory, bo to oni są tu dla niego, a on zyskuje ich uwagę od pierwszej sekundy.

– Czas to pieniądz, więc potraktujmy to spotkanie jako inwestycję...

Ich głosy docierają do mnie we fragmentach pozbawionych kontekstu. Resztę mogę wywnioskować z mowy ciała, gestów i grymasów, których nie brakuje przy zażartej dyskusji trwającej przeszło godzinę. W przeciwieństwie do swoich rozmówców Leonard wygląda na wyluzowanego, wręcz znudzonego. Momentami mam wrażenie, że gdyby tylko chciał, zarzuciłby nogi na stół, roztrzaskując obcasami porcelanowe filiżanki swoich gości, odpalił peta i wdał się w monolog na temat swego ambiwalentnego podejścia do nikotyny, budząc przy tym jedynie niemy sprzeciw pozostałych stron. Ale nie robi tego. Mimo wszystko jest opanowany i chowa całe swoje szaleństwo głęboko w kieszenie, starając się nie urazić nikogo, a wiem, że godzi to w jego ekstrawertyczną naturę i przychodzi mu z największym trudem.

Kątem oka obserwuję też ochroniarza, który przez cały ten czas prowadzi nierówną walkę ze swoimi ołowianymi powiekami, bujając się na krześle w rytm napływających fal snu. Sytuacji nie poprawia klezmerskie pitolenie sączące się z głośników ani półmrok wnętrza. Ja też już zdążyłem policzyć wszystkie osoby w pokoju i przygotować plan awaryjny na wypadek, gdyby jednak doszło do strzelaniny (nur pod stół, później czołganie wzdłuż północnej ściany w kierunku wejścia na zaplecze). Dlatego też nie ukrywam entuzjazmu, gdy widzę jak pan Masamune wreszcie sięga po swój płaszcz.

– *Mata ne*, panowie – mówi, zarzucając na głowę czarny kapelusz.

Drzwi wejściowe uchylają się na chwilę, wpuszczając do środka nieco światła i chłodnego, porannego powietrza. Ich limuzyny odjeżdżają bez dźwięku.

– Lubię Kenzo. To porządny gość – pan Molten ogłasza wszem i wobec.

Jego głos przybiera na sile, a z postawy bije pewność siebie. Zupełnie jakby przed chwilą ktoś powiedział „cięcie” i można było wreszcie wyjść ze swojej roli.

– Zanim się rozejdziemy, chciałbym, drogi Leonardzie, żebyś zastanowił się raz jeszcze nad kwestią mojego hotelu. Wiesz, sytuacja jest dla mnie, jak by to ująć... niekomfortowa.

Leo milczy. Słucha. Przewraca pomiędzy palcami nieodpalonego papierosa, błędząc wzrokiem po ścianach i suficie.

– Rozumiem, że są zasady, na które się umówiliśmy, ale chciałbym mieć u ciebie wsparcie w tej jednej kwestii. To, że Masamune przejął coś, co należało do mojego brata, było niefortunnym zbiegiem okoliczności. Oczywiście wyciągnąłem już konsekwencje wobec tego idioty, który, o dziwo, jest ze mną spokrewniony, a teraz chciałbym naprawić resztę. Niestety, sam nie mam siły przebicia, ale myślę, że razem moglibyśmy przekonać Kenzo do zmiany zdania. Wiesz... to nie chodzi o zasady ani nawet o pieniądze. Mam pieniądze. To miejsce ma dla mnie wartość sentymentalną. Mój ojciec wybudował ten hotel.

– A twój brat przegrał go w zakładzie. Mógł się nie zakładać. To proste.

– Myślę, że istnieje ogromna dysproporcja pomiędzy słowną umową, dokonaną na dodatek pod wpływem środków odurzających, a wieloletnim wysiłkiem budowy i historią sięgającą początków Ketry. Coś, co zostało stworzone materialnie z niczego, nie może być tak łatwo przejęte przy pomocy kilku słów.

– Pokrętna logika, panie Molten. Nikt nie powiedział, że życie jest sprawiedliwe. Gdyby takie było, ani pan, ani ja nie moglibyśmy teraz tutaj siedzieć i robić tego, co robimy, prawda?

– Więc nie mogę liczyć na twoje poparcie?

Leonard odkłada papierosa na stół. Po raz pierwszy podnosi wzrok i wypluwa w kierunku Moltena krótkie, chropowate: „nie”.

W knajpie zaczyna się robić duszno.

– Pfhm... – Molten wydaje z siebie coś pomiędzy parsknięciem a westchnieniem. – Widzisz, Leonardzie, ja nie jestem osobą, która lubi, a przede wszystkim musi o cokolwiek prosić – kontynuuje wciąż spokojnym tonem. – Moja propozycja załatwienia tej sprawy polubownie nie wynika z niczego innego, jak z szacunku do twojej osoby i z faktu, iż jestem zwolennikiem prostych rozwiązań, które służą większości. Natomiast jeżeli zaistniała sytuacja sprawia, że aby dociec swoich racji, muszę użyć siły, niech tak będzie. Siła zostanie użyta. Wobec każdego, kto odmawia mi prawa do mojej własności. Bo, jak mówią, „kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam”.

Leonard Constantine lekko, prawie niezauważalnie odrywa plecy od oparcia swojego krzesła, przekrzywia głowę. Jego obojętne, senne spojrzenie nabiera ostrości i wyrazu.

– Czy to była groźba?

Nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy, ani tym bardziej skąd, w jego ręku pojawia się odbezpieczony desert eagle .50AE. Robi to tak szybko, tak płynnie, że nawet sam Molten nie nadąża z reakcją, gdy ciężka lufa pistoletu zatrzymuje się bezpośrednio przed jego czołem.

– Wszyscy ręce na stół! – krzyczy Leonard, uprzedzając zryw ochroniarzy.

Wszystko zamiera w bezruchu z ledwie odsuniętymi krzesłami, dłońmi sięgającymi za poły marynarek, filizankami lądującymi na spodkach, Jahredem siedzącym naprzeciw mnie, tyłem do całego zdarzenia, i mną, zastanawiającym się, czy spokój szamana wynika bardziej z jego usposobienia, czy z tego, że dokładnie wie, co się tu wydarzy. Nie żebym nagle zaczął wierzyć w jego nadnaturalne zdolności, ale w chwilach takich jak ta nawet najbardziej irracjonalna myśl dająca nadzieję jest warta rozważenia.

– Przepiękna broń, panie Constantine – Molten nie daje się zbić z tropu.

Wychyla się, by przeczytać grawer na zamku. Lufa podążyła za jego okrągłą głową, nie spuszczając jej z celu ani na sekundę.

– Dziękuję. Została wykonana na specjalne zamówienie. Sam dobieierałem kolory. Zawsze uważałem połączenie srebra i czerni za bardzo szlachetne, stonowane. W przeciwieństwie do ordynarnej ostentacyjności złota.

– To kaliber 50 milimetrów, prawda?

– Zgadza się.

– Potężna armata. Podejrzewam, że odrzut musi być ogromny?

– Niestety, trzeba mieć mocną łapę do tego sprzętu. Natomiast ma to swoje plusy. Nie trzeba dokładnie celować. Na przykład strzał z tej odległości w twarz uniemożliwia identyfikację zwłok. Obrazowo to ujmując, panie Molten, łeb eksploduje.

Nastaje chwila ciszy. Wystarczająco długa, bym zdążył sobie pomyśleć: „Znów to spieprzyłeś, Robert. Popatrz na siebie: gdzie cię wywiało? Gangsterzy? Broń? Każdy dzień mniej pewny od poprzedniego. Nawet jeśli powierzchownie wszystko jest w porządku, to i tak musisz czuć ten ciężar na plecach. Żadne pieniądze, dziwki ani apartamenty nie będą w stanie zrzucić go z ciebie. Uciekaj. Gdy tylko nadarzy się okazja, rzuć to w cholerę i uciekaj. Z powrotem do domu. Górą, ponad murem albo podkopem. Wciskaj chipa w rękę, proś o łaskę i odpuszczenie win, których nie popełniłeś, ale żyj. Nur pod stół i wzdłuż ściany, prosto do ocalenia...”

– Nie przemyślałeś tego ruchu, Leonardzie... – odzywa się w końcu. – Bo widzisz, nie jesteśmy tu sami. Tam siedzi piątka moich chłopców. To młodzi, lecz bardzo doświadczeni strzelcy, których specjalnie dobrałem i wytrenowałem, żeby pomagali mi w sytuacjach takich jak ta. Jeżeli coś ma się tu dziś wydarzyć, to jestem pewien, że zarówno ty, jak i twoi ludzie możecie być pewni, że nie uda wam się opuścić tego pomieszczenia o własnych siłach. A ja znam cię trochę, Leonardzie. Ty za bardzo lubisz to życie, za dobrze się bawisz, zbyt łatwo ci wszystko przychodzi, żebyś ot tak sobie z niego dziś zrezygnował. To wszystko każe mi sądzić, że ta broń, która właśnie znalazła się przed moją twarzą, to jeden wielki bluff. Taki pokaz mocy, który trochę ci nie wyszedł, a teraz będziesz musiał ponieść jego konsekwencje. Ale na razie, przynajmniej dzisiaj mogę przymknąć oko na twoje zachowanie. Więc odłóż tę imponującą pukawkę na stół, a ja dam ci parę dni na uporządkowanie spraw. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Ale dłoń Leonarda nie opada. Zdziwiająco długo wytrzymuje wysiłek utrzymania tego żelastwa w jednej pozycji. No cóż, jeśli w grę wchodzi życie, człowiek jest zdolny przekroczyć wiele ograniczeń. Adrenalina w tym pomaga. Z tym że Leo nawet nie wygląda na zestresowanego. Wolną ręką podnosi filiżankę i pociąga leniwie łyk już prawie zimnej kawy.

– Widzi pan, panie Molten – zaczyna – ja myślę, że jest zupełnie inaczej. I najlepszym dowodem na to jest fakt, że wciąż tu obaj siedzimy. Właśnie przed chwilą dałem pańskim doskonałym strzelcom około pięciu sekund na zneutralizowanie mnie. Szeroki skurwiol przy tym stoliku – pokazuje palcem, o kogo mu dokładnie chodzi – siedzi trzy i pół metra ode mnie. Nie żebym cię namawiał stary – zwraca się do ochroniarza – ale jeśli jesteś tak dobry, jak mówi twój szef, powinienem już dawno leżeć na ziemi z dwiema kulami w głowie. Z tej odległości każdy człowiek, a nawet niejedno zwierzę, jest w stanie we mnie trafić, co tylko potwierdza, że w zaistniałej sytuacji nie

możemy się opierać na czynnikach zewnętrznych, prawda? Myślę, że chłopaki dobrze wiedzą, że za trupa nie ma co umierać, a u mnie zawsze znajdzie się miejsce dla nowych pracowników. Panie Molten, powiem to najprościej, jak potrafię: jesteśmy tu ja, pan i jedna sztuka załadowanej i odbezpieczonej broni, którą, tak się składa, akurat ja trzymam w ręku. Więc pozwolę sobie powtórzyć moje pytanie i ostrzegam, że od pańskiej odpowiedzi bardzo wiele zależy. Czy to była groźba?

Praktycznie słyszę zgrzytanie jego zębów. Być może przez ułamek sekundy dopuszcza do siebie wątplą myśl, żeby nie puścić tego płazem, rzucić się do przodu na fali gniewu i zakończyć to raz na zawsze. Ale Molten jest na to za mądry. Jego instynkt samozachowawczy, mimo że przygłuszony emocjami, jest zbyt silny. Jeszcze przez chwilę czeka, daje sobie czas, by ochłonąć, by móc odpowiedzieć normalnym, nienoszącym śladu drżenia, głosem. Ale tego nie da się ukryć. Wszyscy widzą, że przegrał. Został złamany.

– Nie.

– Co nie? – Leo nie odpuszcza.

– Nie chciałem cię urazić ani tym bardziej ci grozić, Leonardzie, więc przepraszam, jeśli tak to odebrałeś – słowa z trudem przeciskają mu się przez gardło.

– Więc?

To wszystko zaczyna przypominać kopanie leżącego.

– Więc uszanuję twoje stanowisko w sprawie mojego sporu z Kenzo i nie będę próbował wpłynąć na twoją decyzję, bo wiem, że jest w pełni uzasadniona.

– Właśnie tak jest.

Broń z hukiem ląduje na stole. Pan Molten podnosi się z krzesła, wkłada płaszcz, wstają też jego ochroniarze. Ja zaczynam regularnie oddychać.

– Żegnaj, Leonardzie. Myślę, że więcej się nie zobaczymy.

– Oby – odpowiada mu, odprowadzając go wzrokiem w kierunku drzwi.

*

Limuzyna rusza. Powoli i bez dźwięku. Szyby są kuloodporne, ale ja i tak staram się trzymać głowę nisko.

– Trzeba było go zastrzelić, szefie.

Leonard, mimo że z pozoru spokojny, wciąż nie chowa broni pod marynarkę, tylko kładzie ją na kolanach, wodząc palcem wskazującym po spuście w tę i z powrotem. Przejeżdżamy kilka skrzyżowań.

– Miałeś kiedyś psa, Blu? – pyta go.

– Raz, szefie.

– I co robiłeś, jak ci się zeszczął na dywan?

– No, wsadzałem mu pysk w siki. Cholernie tego nie lubił.

– Co dowodzi, jak wielkim jesteś debilem... – mówi do siebie. – Ale widzisz, zasada jest podobna. Zastraszony Molten jest lepszy niż martwy Molten. Przynajmniej wie, gdzie kończy się jego smycz. Miasto nie znosi pustki. Na jego miejscu natychmiast pojawiłby się ktoś nowy, a ja nie mam czasu każdemu z osobna tłumaczyć, że na dywan się nie leje.

Za oknami piękny, bezwietrzny dzień. Ludzie bez pośpiechu drepczą na lunch nieświadomi, że gra trwa, a gracze wykonują kluczowe ruchy tuż pod ich nosem. Ruchy, które zadecydują o wielu z pozoru niezauważalnych rzeczach, z których składa się ich codzienność. Limuzyna przejeżdża przez skrzyżowanie na późnym pomarańczowym. W tle wysokie wieże mają nas i ten incydent w głębokim poważaniu.

– Ale to za długo nie potrwa... – ciągnie dalej swój wywód. – Ten układ jest tymczasowy. Prędzej czy później i tak trzeba będzie przejść do czynów. Wyrzucić na stół banknoty i pociski i zobaczyć, komu ich na dłużej wystarczy.

– Myślę, że przede wszystkim powinieneś zapewnić sobie psychologiczną przewagę – odzywam się nieproszony.

– To mówi! – Leonard jest wyraźnie rozbawiony moim wkładem w dyskusję.

– Czasami też myśli – rzucam.

– Więc co wymyśliłeś, mój specjalisto od PR? W jaki to sposób mogę zyskać przewagę psychiczną nad moimi adwersarzami, co to chcą mi dupę odstrzelić i przejąć moje dziwki oraz moje pieniądze? – pyta, coraz bardziej zbliżając ku mnie swoje oblicze.

– Zdobądź to, czego wszyscy teraz chcą, a nie mogą dostać...

– Mianowicie?

– Znajdź Vincenta Noira – mówię, wskazując rozświetlone IX górujące nad krajobrazem.

Leo wybucha śmiechem. Blu wybucha śmiechem. Nawet Jahred, na którego twarzy rzadko kiedy można zidentyfikować jakiegokolwiek ludzkie emocje, uśmiecha się. Limuzyna bierze ostry zakręt, cała dygocząc od rechotania, a ja, zabijając czas pozostały do końca tej mało komfortowej chwili, przypominam sobie, że dachowanie jest jednym z najbezpieczniejszych rodzajów wypadków.

– No dobra! – wykrzykuje nagle, ucinając salwy śmiechu. – A jak już go znajdę, to co wtedy?

– Wtedy się z nim dogadasz. Nie wydasz go, ale upublicznisz fakt, że nawiązałeś z nim kontakt. Podejrzewam, że jeszcze tego samego dnia całe Zero Tower przyjedzie tu

z wizytą, żeby negocjować z Vincentem za pośrednictwem twojej osoby. Jak to rozegrasz, zależy już od ciebie. Możesz nie zrobić nic, Vincent dokończy swoje odliczanie i cała Ketra pewnie wyleci w powietrze, możesz też odwieść go od tego pomysłu i zostać narodowym bohaterem. Możliwości jest wiele, ale wniosek jeden. Staniesz się kimś, od kogo bardzo wiele zależy. Gra zacznie się toczyć na poziomie, którego nawet pan Molten nie będzie w stanie osiągnąć.

Leonard przygląda mi się z uwagą, przekrzywiając głowę raz w lewo, raz w prawo. Ciężko analizuje mój pomysł, ilustrując procesy myślowe przesadną mimiką twarzy. Nagle chwyta za broń, a ja dostaję skurczu wszystkich mięśni.

– To jest zajebisty pomysł, człowieku! Możemy to zrobić! – krzyczy radośnie, machając giwerą.

– Naprawdę? – sam nie dowierzam jego słowom.

– Wyciągniemy od Ketry wszystkie pieniądze, a później otworzymy jej bramy i oddamy ją w ręce ludu. Zostanę zbawcą tego wysypiska. Tak! Blu, połącz mnie z działem innowacji.

Na przedniej szybie auta pojawia się ogromny ekran skutecznie zasłaniający trzy czwarte drogi, którą właśnie mkniemy.

– Tak, panie? – człowiek w białym kitlu pojawia się, znika i pojawia z powrotem na szybie, prawdopodobnie robiąc ukłon w stronę Leonarda.

– Przepalają mnóstwo kasy, więc kazałem im zwracać się do mnie „panie” albo „lordzie” – wyjaśnia.

– Nad czym obecnie pracujecie?

– Testujemy neurosymulator pod bezpieczeństwem użytkownika kątem. Wygląda to obiecująco bardzo, gdyż tylko procent niewielki... – mówi cały w przejęciu, bez sensu, mieszając słowa.

– Rzućcie wszystko w cholerę, mam dla was nowe zadanie. Macie namierzyć Vincenta Noira!

Człowiek w kitlu wyraźnie ma ochotę poprosić o powtórzenie, gdyż to, co usłyszał, wydaje mu się, delikatnie mówiąc, niedorzeczne.

– Lordzie, ale Vincent Noir nieuchwytny jest. Cała Ketra go szuka i naprawdę nie wierzę, żebyśmy w stanie byli...

– W takim razie zwalniam was.

– Ale, panie... Leonardzie...

– Wszystkich.

– Nie chciałem powiedzieć, że to niemożliwe. Tylko trudne bardzo. Ale faktycznie, jeśli udałoby nam się podłączyć do światłowodu głównego Ketry, pakiety wyłapać i

protokoły przeanalizować, z których korzysta obecny wirus powodujący anomalie oświetleniowe, być może na zasadzie inżynierii odwrotnej dotarlibyśmy do źródła...

- Czyli jednak się da? – przerywa mu po raz kolejny.
- Tak, lordzie Constantine, co w naszej mocy zrobimy.
- To chciałem usłyszeć. Bez odbioru.

Blu odzyskuje widoczność w samą porę, by uniknąć wjechania w rząd czekających na skrzyżowaniu pojazdów.

Przyglądając się liczbom dotyczącym topografii Ketry, łatwo można przeoczyć pewną niezbyt oczywistą, lecz dającą do myślenia zależność. Na równanie, o którym mowa, składa się z jednej strony wysokość wież Ketry. Najwyższa z nich – Zero Tower – wznosi się na niebotyczne 1299 metrów w górę od podstawy. Jeśli od tej wysokości odejmiemy 74 metry zarezerwowane dla iglicy budynku, z łatwością obliczymy, iż najwyższe okno w mieście, należące do nikogo innego, jak do samego burmistrza Kanu Rettera, znajduje się dokładnie 1225 metrów nad ziemią. W zasięgu wzroku lokatora tego luksusowego przybytku znajduje się widok tak rozległy, tak zapierający dech w piersiach, że nie da się go porównać z żadnym innym. Ten właśnie zasięg stanowi drugą część naszego równania. Jeśli uwzględnić zjawisko refrakcji atmosferycznej, linia horyzontu dostrzegalna z okna Kanu Rettera znajduje się w odległości 135 kilometrów od centralnej wieży Ketry. Również w tej samej odległości znajduje się najbliższy otwarty zbiornik wodny...

Fakt, iż wymazanie wszelkich śladów wody z krajobrazu było celowym działaniem konstruktorów Ketry, nie podlega dyskusji. To w końcu zamknięte miasto. W zamyśle jego twórców ma funkcjonować niczym osobna planeta, być kompletnie samowystarczalne, zaspokajając każdą możliwą potrzebę swoich mieszkańców.

Ale niestety, pomimo setek ogólnodostępnych basenów oraz znajdujących się u podnóża wież dwudziestu sztucznych jezior, na których można uprawiać wszelkie możliwe sporty wodne, mieszkańcy Ketry są pozbawieni tej niewątpliwiej przyjemności, jaką jest spacer po plaży. I mimo że z ich okien widać niczym niezamąconą przestrzeń, ich oczy nigdy nie dosięgną linii brzegowej, poza którą rozciąga się już tylko bezkres błękitnego oceanu. Pytanie: czy to wysoka cena za przywilej życia w świecie bez zmartwień?

Słuchanie Bena stało się dla mnie tak naturalne, jak słuchanie własnego oddechu. Przez większość czasu nawet nie wiem, że on tam jest i opowiada te wszystkie niesamowite historie, ale z drugiej strony funkcjonowanie w ciszy jest dla mnie czymś niemożliwym. Podobnie jak funkcjonowanie w samotności.

– Almeida, psycholog, Ketrze B, adres, szukaj – podaję parametry do wyszukiwarki.

Ćwierć sekundy później mój ekran zavalają tony reklam, pod którymi ukrywa się dokładnie półtora miliona odpowiedzi na moje zapytanie. Nie wiedziałem, że Almeida to tak popularne imię w tych czasach.

– Dodaj Robert Welkin – mówię.

Wyniki wyszukiwania zawężają się do okrągłego zera. Zły trop. Mimo że każdy żyje podwójnie – realnie i w sieci – psychologowie pewnie nie mają w zwyczaju udostępniać informacji o swoich klientach.

– Szukaj Robert Welkin – mówię z ciekawości.

Pierwsze kilkadziesiąt wyników nawet nie dotyczy mnie. Dopiero kilka ekranów niżej zaczynają się linki do artykułów sprzed kilku miesięcy, w których można obejrzeć odcinek Crime Factor ze mną w roli głównej oraz przejrzeć wnikliwe komentarze wideoblogerów:

„Chuj ci w dupę, kłamliwy skurwysynu! Żyłeś kosztem nas wszystkich, teraz jedziesz na dół, dziwko!” – zapikselowana twarz drze się do mnie z ekranu modulowanym głosem, pokazując wyprostowanym środkowym palcem, w którą stronę jest dół.

„Robercie, za murem czeka na ciebie prawdziwy świat. Obejmij go. Pogódź się z nim i poznaj jego piękno. Udało ci się wyjść z systemu, opuszczasz więzienie. Gratuluję. Niech siła i mądrość Matki Ziemi prowadzą cię ku szczęściu” – brzmi wiadomość od bliżej nieznanego mi sekty Świadców Końca Świata.

„Powiększ swój penis. Za jedyne 899 już teraz możesz zacząć zaspokajać najdziksze potrzeby najbardziej nienasyconych partnerek i partnerów. Odwiedź salon chirurgii plastycznej...”

No i spam. Słabo, bo niepersonalizowany. O 79% mniejsze szanse, że w ogóle doczekam do końca reklamy.

– Wyłącz – zarządzam, potwierdzając przewidywania analityków mediowych.

Ekran gaśnie. W tle głos Benedicta Waya rozwodzi się nad liczbą drzew w Ketrze, tym razem dochodząc do wniosku, że jest ich wystarczająco dużo, by stworzyć iluzję przebywania w lesie, zwłaszcza w połączeniu z filtrami wspomagającymi oczyszczanie powietrza z dwutlenku węgla i systemem niwelującym dochodzące z zewnątrz dźwięki. Podchodzę wolnym krokiem do okna, za którym słońce leniwego sobotniego popołudnia oświetla rzędy aut stojących w korku i tłumy na ulicach. Odbija się w tysiącach okien setek budynków. A to tylko jedna ulica.

– Znajdę cię. Jakoś – obiecuję sobie.

Z kompletnym spokojem przyjmuję fakt, że Ketra została przez Vincenta przyozdobiona nowym symbolem. Wymagającą aż czterech znaków, więc rozciągniętą na całą szerokość centralnych wież rzymską ósemką.

W głównym hallu wydawnictwa mijam się z Markiem Navidsonem. Maszeruje dziarskim, skocznym krokiem, cały przesadnie wyprostowany i z wysoko podniesioną głową. Miejsca jest pod dostatkiem, ale mimo to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że próbuje przejść obok mnie w taki sposób, by przywalić mi z bara. Wymieniamy krótkie spojrzenia. W jego oczach nie widzę już żadnego śladu tego dzikiego przerażenia, którym nakarmiliśmy go wiele nocy temu. Mam nadzieję, że został odmieniony także jako artysta, bo już za kilka chwil spotkam się z Leonardem, który w niewybrednych słowach da mi jasno do zrozumienia, czy nasz wspólny plan zadziałał. Jeśli nie, no cóż, to będzie tylko i wyłącznie moja wina, a zmiana pracy w każdym innym aspekcie niż finansowy wyjdzie mi na lepsze. Właśnie dlatego wciąż nie mogę zmobilizować się i zacząć szukać bezpieczniejszej posady.

– Dzień dobry, panie Welkin. – Nowa sekretarka uśmiecha się do mnie, wypinając do przodu parę imponujących silikonowych piersi. Leonard zmienia je co tydzień. Nazywa to „dawaniem każdemu szansy”.

Wewnątrz gabinetu panuje gęsta mgła, ale to tylko dlatego, że Leonard znowu palił. Papierosy, nie książki. Zajmuję miejsce w jedynym wolnym fotelu, tuż obok Jahreda. Pan Constantine czeka, aż rozsiądę się wygodnie, po czym bezceremonialnie topi peta w szklance wybornej whisky z 2014 roku (wiem, bo butelka stoi tuż obok), bierze do ręki stos kartek i bez wprowadzenia zaczyna swój odczyt:

Wiecie, dlaczego piszę? Powiem wam dlaczego. Żeby coś ze mnie tu pozostało, jak już sam zamienię się w kompost i wymieszam z pyłem tej ziemi. Oprócz słów nie jestem w stanie nikomu niczego innego zaoferować. Nie jestem typem człowieka, który kogokolwiek zainspiruje do działania, nie mam szans zostać nawet przyjemnym wspomnieniem w umysłach osób, z którymi dzieliłem fragment mojej drogi. Na pewno nie zostanę też odkrywcą, który pomoże rasie ludzkiej zrobić kolejny krok w kierunku absolutu, ani tym bardziej nie planuję zostawiać tu po sobie potomka. Ja tylko piję i jem, a później to wydalam. I jedyne, co odróżnia mnie od zwierzęcia, to te pieprzone słowa, które układam w zdania, myśli, obrazy. To silniejsze ode mnie. Robię to nieustannie.

Nawet teraz, gdy klęczę pośrodku lasu, cały ujebany w błocie i z bronią przystawioną do głowy. Świetny moment na dysekcję życia sobie wybrałem, ale cóż, innego mogę już nie doczekać. Mężczyźni, którzy mnie porwali, nawet nie raczyli wyjaśnić, dlaczego akurat mnie. Czym zasłużyłem? Być może w tym momencie występuję tu jako zbyt kreatywny księgowy mafii? A może jestem dziennikarzem, który za dużo wiedział? Mogę też być policjantem, co zapragnął wreszcie godnie żyć i zaczął szantażować nieodpowiednie osoby sekstaśmami, których wcale nie posiadał.

A może jestem zwykłym, przypadkowym mięsem armatnim dla chłopaków, którzy właśnie przechodzą ostatni etap rozmowy kwalifikacyjnej w jednej z wielu podziemnych organizacji. Możliwości jest wiele. Każda z nich warta opisania. Tylko czasu brak...

I właśnie wtedy dociera to do mnie... Gdzieś w głębi duszy, od małego, przygasającego płomienia, który nie ma szansy przetrwać chwili na tym wietrze, nieoczekiwanie całe moje zmurszałe zapasy gniewu stają w ogniu. Zaczyna mi się chcieć. Jak już mówiłem – idealny moment.

– Dobra, pora do domu – mówi mężczyzna po lewej, podnosząc broń.

Robi krok do przodu, mimo że z odległości, która nas dzieli, nie da się spudłować i... wpada prosto do dołu, w którym klęczę. Jest ciemno, więc w pierwszym momencie nie widzę przedmiotu, który uderza mnie w twarz. Ale jeśli choć raz trzymałeś broń w ręku, nie jesteś w stanie pomylić tego kształtu z niczym innym. Niewiele myśląc, wysyłam pocisk w kierunku uzbrojonego mężczyzny. Jego głowa eksploduje z dziwnym mlaśnięciem. Następnie wygrzebuje się z dołu, pozostawiając tam drugiego z porywaczy.

– Proszę... my chcieliśmy cię tylko nastraszyć... – próbuje się wytłumaczyć.

Uciszam go gestem. Powoli uspokajam. Biorę głęboki, świadomy oddech. Nocne powietrze wypełnia moje płuca, a ja czuję się, jakbym obudził się po czterdziestu dwóch latach letargu, po raz pierwszy wypłynął na powierzchnię rzeczywistości. Mam ochotę naćpać się do nieprzytomności tym hiperrealizmem. Egzekwować moją absolutną wolność i spróbować wszystkiego. Na szczęście noc jest długa. Mamy czas.

Mamy czas...

Leonard rzuca niedbałym gestem stertę papierów w naszą stronę, zadaje najtrudniejsze z pytań:

– I co?

Teraz ja biorę głęboki oddech, ale jeszcze zanim powietrze opuści moje płuca, po drodze zahaczając o struny głosowe, gdzie zawibruje według nut jakiejś kompletnie neutralnej melodii, Leonard zdąży mnie wyręczyć z obowiązku krytyka.

– Epickie gównno!

Dokładnie tak mówi.

– Epickie gównno! – powtarza, pokazując na stos gęsto zapisanych kartek z prawdziwego papieru. – Przeczytałem to jednym tchem. Później przeczytałem to jeszcze raz. A później kazałem recytować to na głos mojej sprzątacze, ale było już późno, więc nie dotrwałem do końca i poszedłem spać tuż po pierwszym rozdziale. Jak skończy, wydamy to na prawdziwym papierze. Takie to dobre.

– Bardzo się cieszę... – wtrącam.

– Ja też się tak bardzo, bardzo cieszę. – Leo zawiesza się na moim ramieniu i krzyczy mi prosto do ucha. – Wiedziałem, że na coś tu się przydasz! Nigdy nie mylimy się co do ludzi, prawda, Ed?

Spoglądam na Jahreda, który komentuje to we właściwy dla siebie sposób, czyli kompletną ciszą i praktycznie niezauważalnym skinieniem głowy. Tym razem prawie udaje mi się nie pomyśleć o zabijaniu Leonarda.

– Więc co chcesz? – pyta, stając przede mną ze skrzyżowanymi rękami.

– Nie bardzo rozumiem.

– Zarobiłeś właśnie dla mnie mnóstwo kasy. Wymyśl sobie, co chcesz dostać w nagrodę. Własną limuzynę? Większy apartament? Rolę w filmie porno?

Hm... Czego ja właściwie chcę? Dobre pytanie.

Przez myśli przebiega Almeida, trzepocząc burzą fioletowych włosów. W jej dłoni dwa wymięte bilety na ostatnie piętro Zero Tower. Być może, gdybyśmy razem stąd uciekli, coś między nami mogłoby się udać. A gdybym ja sam stąd uciekł gdzieś daleko, być może wreszcie przestałbym o niej myśleć. Świat nie kończy się na Ketrze. Na pewno gdzieś tam są piękniejsze miejsca od tej nory. Otwarte, dzikie przestrzenie, w których można spotkać żywe zwierzęta. Tropikalne wyspy, które jeszcze nie zdążyły przemienić się w jeden wielki hotel. Małe miasteczka z rynkiem i parterowymi domkami, wiecznie zasnuwane mgłą. W jednym z nich być może wciąż mieszka mój stary. Pije herbatę, czyta dobre książki i chadza na długie spacerunki nad...

– Morze... – mówię.

– Może co?

– Chciałbym pojechać nad morze. Pospacerować po plaży.

Leonard spogląda na mnie zde gustowany i trochę zawiedziony, ale jest dziś w zbyt dobrym nastroju, by rozwodzić się na temat zwyczajności mojego pomysłu.

– No, to jedziemy! – oznajmia, wzruszając ramionami i wychodzi z gabinetu.

*

Winda zabiera nas na dół. Oficjalny rozkład pięter przewiduje tylko trzy poziomy pod powierzchnią. Nam jakimś cudem udaje się zatrzymać na minus czwartym.

– Tego miejsca tu nie ma. Podobnie jak rzeczy, które się w nim znajdują – zastrzega Leo, ruszając w głąb długiego, ciemnego korytarza, na końcu którego widać ogromne metalowe wrota. Identyczne jak te, przez które dane mi było opuścić przytulne pielesze strefy A. Leonard przysuwa rękę do skanera DNA i wklepuje dodatkowe hasło. Ogromna śluza odjeżdża, wydając z siebie serię rozpaczliwych jęków i zgrzytów. Za nią,

w półmroku i chłodzie niewielkiej sali, czeka na nas... dziurawa od kul czarna limuzyna. Sztuk jeden. Nie znam się na autach, ale coś mi się wydaje, że nie może być więcej warta od garnituru, który Leonard ma dziś na sobie. Widocznie posiada wartość sentymentalną.

– Prawie umarłem w tym gównie – mówi, potwierdzając moją teorię. – Trzymam to jako pamiątkę z czasów, w których nie wszystko wyglądało tak słodko jak dziś. Tak na wszelki wypadek, żebym nie zaczął ich idealizować.

– Będziemy tym jechać? – pytam, przesuwając palcami po wgłębieniach w lakierze.

Rzędy dziur układają się w zaskakująco płynne linie świadczące o tym, że auto podczas obstrzału musiało być w ruchu. Przez chwilę zatrzymuję się na pozbawionej zderzaka i lamp masce i przechodzę na drugą, zdecydowanie mniej zmasakrowaną, stronę pojazdu, gdzie odkrywam, że przynajmniej połowa z wystrzelonych pocisków swobodnie przeszła auto na wylot.

– Nie – odpowiada Leonard, odciągając moją uwagę od limuzyny – weźmiemy coś stąd.

Tuż za nim zaczynają się pojawiać kolejne rzędy błyszczących, zjawiskowych maszyn. Wraz z każdym dodatkowym błyskiem sekwencyjnie zapalających się świateł ogromny podziemny hangar pogłębia się o kolejne rzędy samochodów. Są ich setki. Każdy bezpiecznie zakonserwowany pod swoim własnym próżniowym kloszem i opisany numerem porządkowym.

– Oooooooooooooooooo... – mówię.

Czy coś takiego. Trudno dobrać słowa.

Więc po prostu tam stoję i podziwiam kolekcję Leonarda. Nie jestem w stanie wytłumaczyć tego zjawiska, ale na pewno ma ono coś wspólnego z męskimi genami. Nasi ojcowie od pokoleń utrwalali w sobie uwielbienie dla tych mechanicznych przedmiotów i nawet ćwierć wieku spędzone w jałowej, niezmotoryzowanej przestrzeni nie było w stanie ze mnie tego wykorzenić. Jest coś hipnotycznego w tych kształtach, w sposobie, w jaki załamują światło, w liniach nadających lekkość, w obliczach, którym można przypisać charakter.

– Który by tu dzisiaj...

Leo przesuwa zdjęcia kolejnych aut na przezroczystym wyświetlaczu. Po chwili zatrzymuje się na śnieżnobiałym dwudrzwiowym samochodzie o muskularnej sylwetce i bardzo nieergonomicznym kształcie kabiny.

– Niech ci będzie – mówi do siebie, a może do mnie, i wciska potwierdzenie na ekranie.

Auto zapada się pod ziemię. Dłuższą chwilę później podłoga obok nas rozsuwa się, a biały pocisk zostaje wyniesiony z próżni i zapomnienia wprost w wolną od spalin atmosferę połowy XXI wieku.

– Be-em-wu-em-trzy – czytam nic mi niemówiące napisy na tylnej klapie, podziwiając smukłe, starodawne kształty i dość dziwaczne ówczesne rozwiązania. Porównując go z poszatowaną limuzyną stojącą tuż obok, nie sposób nie zauważyć postępu, jaki dokonał się w dziedzinie motoryzacji przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Nasz antyk posiada rzeczy tak nieprawdopodobne jak żarówki. Jego szyby wykonane są z tłukącego się szkła, a sam lakier, choć w doskonałym stanie i kolorze o pięknej głębi, jest w kilku miejscach wyraźnie porysowany, co jednoznacznie świadczy o tym, że nie ma właściwości samonaprawiających, o zmianie koloru nie wspominając. W mikroskopijnej kabinie o przesadnie grubych ścianach króluje skóra. Prawdopodobnie to ona odpowiada za specyficzny zapach, który uderza w moje nozdrza zaraz po otwarciu drzwi. Jeśli już o zapachach mowa, to całe to auto pachnie czymś jeszcze. Czymś, czego nie jestem w stanie w pierwszej chwili zidentyfikować. Ale jestem pewien, że znam ten zapach. Jest odległy, ale zbyt charakterystyczny, by go nie skojarzyć. Cała ziemia kiedyś tak pachniała.

– Benzyna!

– O, tak... nasz klasyk wie, co dobre – mówi Leo, zajmując miejsce kierowcy. – Równie dobrze mógłby być napędzany dom pérignon rocznik 1953. Nie, właściwie wtedy wyszłoby taniej. Ale pojedziemy nim, zrobimy to. Wiesz dlaczego, Rob? Bo jesteśmy pyłem. My. Nasze pieniądze. Nie znaczymy nic. Liczy się tylko...

Wrzask silnika przerywa filozoficzny wywód Leonarda. Muszę przytknąć uszy, tak niewiarygodnie głośno pracuje. Ściany i podłoga drżą od basowego pomruku wydobywającego się wraz z gęstym dymem z czterech ogromnych rur.

– Będziecie tak tam stali jak te pizdy, czy co? Wsiadać, nie wybuchnie. Chyba.

Mając na uwadze ogromną posturę Jahreda, poświęcam się i wskakuję na tylne siedzenia, które konstruktorzy tego nietuzinkowego auta przewidzieli jedynie dla osób pozbawionych nóg. Red po chwili, choć nie bez problemów, też wciska się do środka. Drzwi zamykają się i ruszamy. Ale nie żeby jakoś spokojnie, czy coś. Jak na prawdziwego gracza przystało, Leonard od razu korzysta z pełnego zapasu mocy, katapultując nas w głąb ledwie oświetlonego tunelu. Brutalne siły miotają mną po całej tylnej kanapie i mam wrażenie, że zaraz zaprezentuję wszystkim, co jadłem dziś na śniadanie. Gdy udaje mi się wreszcie wydostać głowę spod własnej dupy, dostrzegam, że już jesteśmy na zewnątrz. Leonard z pełnym impetem, całym tym rykiem, dymem i ogniem wpada na zatłoczone skrzyżowanie. Tylko dobrodziejstwa współczesnej techniki

w postaci aktywnych radarów będących obowiązkowym wyposażeniem każdego auta dopuszczonego do ruchu ratują nas przed miliardem śmiertelnych kolizji. Leo tnie idealnie środkiem drogi, a przed nim, niczym woda przed dziobem łodzi, kolejne samochody rozstępują się i uciekają na boki. Po niecałej minucie tej szaleńczej jazdy opuszczamy teren strefy B. Gdzieś w oddali daje się słyszeć wycie policyjnych syren.

– Spokojnie. Od 2041 roku każde auto dopuszczone do ruchu ma ograniczoną prędkość maksymalną do 160 kilometrów na godzinę – uspokaja nas.

– A jeśli będą chcieli nas dezaktywować zdalnie?

– Dezaktywować jak? Ta fura jest kompletnie analogowa. Paski, rolki, płyny, przekładnie. Stara szkoła, człowieku. Pewnie nawet nie wiesz, o czym do ciebie mówię?

– Kompletnie – potwierdzam.

– Więc po prostu ciesz się jazdą.

Leonard przesuwając jakąś dźwignię znajdującą się pomiędzy przednimi fotelami. Silnik wydaje z siebie okrzyk bojowy, a tylne koła stają w ogniu. Generalnie wszystko tu pali się, dymi, trzęsie i wyje. Moja dupa spoczywa kilka centymetrów nad zbiornikiem pełnym zabójczo łatwopalnej substancji, a krajobraz wokół zaczyna się rozmywać od prędkości. Jedziemy dokładnie trzysta kilometrów na godzinę. Nie wiem, czy, jak na dawne standardy motoryzacyjne, to tylko dość szybko, czy już pojebanie szybko, ale chyba raczej to drugie, skoro to przedostatnia wartość umieszczona na skali. Mimo wszystko jestem zachwycony. Jest coś pierwotnego, organicznego w tych wszystkich hałasach i zapachach. A sama prędkość jest toksyczna. Uzależniająca. Sprawia, że na moment opuszczasz gardę i pozwalasz życiu wdrzeć się wewnątrz ciebie wszystkimi receptorami naraz.

*

Leonard gasi silnik i wychodzimy popatrzeć z bliska na tę wielką, organiczną zupę, w której przyrządzone zostało wszelkie istnienie. To trochę jak powrót do domu po latach.

Cześć, mamó. Wróciliśmy. Trochę starsi, odmienieni przez czas i podróże, ubrani w nowe ciuchy, wyposażeni w zabawki, których nam nie kupiłaś, ale to dalej my. Wciąż jesteś częścią nas, tak jak my zawsze będziemy częścią ciebie.

Ruszamy wolnym krokiem wzdłuż wybrzeża. Mokry piasek skrzypi pod butami. Od czasu do czasu muszę uciekać przed większą falą, która beztrąsko wylewa się na brzeg. Morze jest dziś niespokojne. Szumi, warczy i pluje w naszą stronę, jakby miało nam za złe, że tak dawno go nie odwiedzaliśmy. Daję się powoli zahipnotyzować załamującym się falom. Są trochę jak to nasze dziwne, magiczne życie. Złożone z

samych przypliwów i odpływów. Wystarczy uważniej na nie popatrzeć, by nauczyć się przewidywać, co może się za chwilę stać. Czy odpływający prąd zrównoważy ten, który pędzi prosto na nas, i znikną razem w bezpiecznej odległości, wydając z siebie tylko słaby, ostrzegawczy szum, czy może po chwili wytchnienia nałożą się, by uderzyć ze zdwojoną siłą, wytrącając nas z równowagi i porwą ze sobą w odmęty?

Może też być tak, że pieprzę kompletnie od rzeczy. Ale czy nie o to chodzi w spacerach, żeby się na chwilę zatracić? Pomyśleć o sprawach, na które się nie ma czasu na co dzień? Pouklądać sobie w głowie rozgardiasz, który wrzuciły do środka wszystkie zmysły?

Leonard zatrzymuje się na chwilę, by odpalić papierosa.

– Kiedyś pieprzyłem się z dziewczyną na tej plaży – mówi. – Później zrobiliśmy ognisko.

Mam przez chwilę wrażenie, że pociągnie ten temat. Opowie o miłości ze szkolnych lat, wspomni, że żałuje, że nic z tego nie wyszło i że gdyby mógł, chętnie spotkałby się z nią na lunch i zapytał, co się zmieniło. Wtedy ja mógłbym posmęcić trochę o Almeidzie, bo, mówiąc serio, nie mam komu się wygadać, po czym wszystko zakończyłoby się rozluźniającą atmosferę kanonadą frazesów na temat bab. Ale, jak się okazuje, nie każda historia musi mieć swój morał. Niektóre rzeczy po prostu się dzieją. Są. A później stają się częścią przeszłości.

Gdy wracamy w kierunku samochodu, wiatr mrozi nasze twarze z drugiej strony. Moje buty są już kompletnie przemoczone, więc bez zbędnych uników przydeptuję uciekające fale. Zanurzam też ręce. Woda jest lodowata.

– Będzie burza – Red odzywa się po raz pierwszy, od sam nie wiem kiedy, by zwrócić naszą uwagę na kilka kłębow bardzo ciemnych chmur szybko wylaniających się zza równego jak stół horyzontu.

– Dzięki za tę wyprawę – mówię. – To był naprawdę fajny prezent.

Zanim wsiądę do samochodu, rzucam jeszcze spojrzenie w kierunku niespokojnego morza. Przesuwam wzrokiem wzdłuż linii brzegowej, a później po niskich wydmach w oddali. I dopiero wtedy to do mnie dociera.

Tu nie ma niczego.

Ani jednej wieży.

W którą stronę nie spojrzę, znajduję tam idealnie płaski horyzont łączący się z jednolicie pochmurnym niebem. Monotonny krajobraz pozbawiony jej wysokości Ketry, jej strzelistych białych słupów górujących nad każdą minutą każdego dnia, rzucających cień na wszystko, co robię. I czuję się, jakby latarnia na horyzoncie zgasła, a mój statek nagle zaczął dryfować po falach bez celu. To nie jest to, czego się spodziewałem.

I znów pochmurny dzień. Zbliża się jesień, więc teraz już tylko tak będzie. Jest godzina 9:22, a ja stoję na bulwarze Hawkinga z tłumem równie przemarzniętych i zaspanych osób. Nie żebyśmy się tu specjalnie umówili na jakieś poranne czuwanie. Najpierw zaskoczyły nas budziki trzęsące łózkami, a później wszyscy zostaliśmy zatrzymani przez wielką głowę, która znienacka przejęła ogromny, hologramowy billboard umieszczony w samym sercu placu. Znam tę głowę. Cholera, znam ją nawet bardziej niż twarz własnego ojca. Człowiek, do którego należy ta głowa, też jest w pewnym sensie ojcem, autorem dużej części mojego życia.

– Drodzy mieszkańcy Ketry – szorstki, głęboki głos samego Kanu Rettera wypływa na ulice miasta – zwracam się do was z pewną propozycją. Wiem, że bardzo wielu z was oczekuje na swoje miejsca w Strefie A. Każdy z was już dzisiaj może spełnić swoje marzenie o bezpiecznym, spokojnym życiu w dostatku. Jak to zrobić? Wystarczy, że wskażecie osobę odpowiedzialną za ataki przeprowadzone w ostatnich tygodniach na nasze miasto. Każda, powtarzam, każda osoba, która przyczyni się do ujęcia cyberterrorysty, znanego jako Vincent Noir, zostanie powitana w naszych progach z najwyższymi honorami. Wierzę w wasze powodzenie, bo mimo że dzieli nas mur, to łączą te same idee. Wszyscy pragniemy życia w spokojnym i dostatnim świecie. Pomóżcie sobie, pomagając Ketrze. Do zobaczenia na szczycie.

Billboard gaśnie, a po chwili powraca z reklamą ośrodka chirurgii plastycznej Anthrogenetix ogłaszającego poranną promocję na usuwanie pępków. Zapisy online tylko przez następne sześćdziesiąt sekund. Ludzie zaczynają się rozchodzić w kierunku swoich własnych spraw. Na ulicy znów słychać rozmowy. Gdzieś w oddali kilka osób skanduje głośniejsze „Vincent-Vincent”, ale nie udaje im się porwać tłumowi, więc sami milkną i też gdzieś znikają. Tylko jeden starszy jegomość wciąż patrzy z zaciekawieniem na billboard, a później, gdy zauważa, że mu się przyglądam, zwraca ku mnie swoje zmęczone spojrzenie.

– Pan się nie przejmuje – mówi do mnie. – Jak to upadnie, zbudują następne. Jeszcze większe. Zobaczy pan.

*

– No i co jest?

Leonard bez przywitania wkracza do działu innowacji. Ogromne laboratorium jest wypełnione dziesiątkami stanowisk, przy których mądre głowy starają się zrealizować każdy wizjonerski, tudzież postrzelony, pomysł swojego szefa. Za półprzezroczystą

szybą natychmiast dostrzegam białą salę z metalowym stołem operacyjnym. Jahred twierdząco kiwa głową w odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie zdążyłem zadać. W drugim końcu pomieszczenia zamieszanie. Mężczyzna w białym kitlu dostrzega Leonarda i zaczyna przedzierać się przez grupkę otaczających go asystentów. Podejmuje komiczną próbę biegu, teatralnie wymachując rękami i nogami we wszystkich kierunkach, po czym cały zdyszany tym dwusekundowym wysiłkiem fizycznym zatrzymuje się przed nami i kłania w pas.

– Panie, nie mam wieści dobrych – wyrzuca z siebie, próbując opanować oddech.

– Ty chyba nie lubisz swojej pracy, Roger?

– Nazywam się Xiansheng-gok-wang.

– Właśnie dlatego mówię do ciebie Roger.

– Przeprowadziliśmy wirusa testy, którego użyto do dezaktywowania systemu kontroli pogody. – Naukowiec prowadzi nas do ogromnego ekranu, na którym rzędy niezrozumiałych wykresów i kodów zrobią najlepsze tło dla jego wypowiedzi. – To bardzo zaawansowany i nowoczesny wirus hybrydowego typu, który potrafi przejąć dowolny system, nie zmieniając ani jednej jego funkcjonalności. Administratorzy Ketry nie mogli spodziewać się awarii, bo to, co uważali za kontroli pogody system było już od dawna złośliwym oprogramowaniem. Robota genialna, muszę przyznać.

– Czy ta historia ma *happy end*?

– Tak. Oprogramowanie Ketry to całkowicie obieg zamknięty, więc początkowo założyliśmy, że atak musiał być przeprowadzony od wewnątrz, przez kogoś z bezpośrednim dostępem do miasta systemów. Ale później zobaczyliśmy to...

Na ekranie pojawia się dziwaczna animacja przedstawiająca pulsującą czarną materię, która naprzemiennie imploduje i eksploduje, za każdym razem z coraz większym zasięgiem.

– Oto wirus nowy Vincenta Noira – oznajmia z dumą, a w jego oczach błyszczy szczerzy podziw.

– I jest to coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie widzieliśmy. Ten wirus jest jak symbiont, który potrafi uczyć swojego hosta rzeczy nowych. Ponadto nieustannie sam się modyfikuje. Wyprzedza to, co znamy co najmniej dziesięć lat do piętnastu lat.

– Mać kurwa, Roger, wnioski – Leonard wyraźnie nie podziela entuzjazmu naukowca.

– Panie, skoro technologia Vincenta Noira jest tak zaawansowana, to możliwe, że pierwotny wirus powstał dużo wcześniej, niż nam wydawało się. Nasze założenie jest takie, że został umieszczony w kodzie systemu pogody kontroli już podczas jego powstawania. Systemu wyłączenie było tylko zabiegiem odwracającym uwagę. Tak

naprawdę chodziło o to, by otworzyć furtkę, przez którą do środka mógł przeniknąć dużo groźniejszy symbiont. Idąc tym tokiem rozumowania, sporządziliśmy listę nazwisk osób, które udział brały w powstawaniu pogody systemu kontroli i mieć mogły umiejętności pozwalające na stworzenie pierwotnego programu.

– Fantastycznie. Daj chłopakom ich adresy. Sprowadzimy tutaj wszystkich.

– To czterysta cztery nazwiska rozsiane po krajach dwudziestu dwóch. Dwie z listy osoby obecnie przebywają w kosmosie.

Leonard marszczy brwi, wyjmując papierosa, którego przez dłuższą chwilę miętoli pomiędzy palcami, rozdrabniając ubity tytoń, tak żeby – jak to sam określa – „lepiej się ciągnął”.

– Trzeba było od razu powiedzieć, że nie macie dobrych wieści – mówi, odpalając peta, po czym wychodzi.

Ja przez chwilę zwlekam, udając, że zaciekały mnie te kolorowe gluty na wyświetlaczu, po czym ukradkiem wciskam stojącemu obok Rogerowi wymiętą kartkę z dwoma nazwiskami.

– Zobaczą, co zrobić da się – mówi, uśmiechając się od ucha do ucha, po czym asekuracyjnie dodaje: „paniczu”.

Czwarta nad ranem. Deszcz tłucze o szyby apartamentu. Zrzucam z siebie mokrą, podartą kurtkę i pochylam nad zlewem, żeby jak najmniej krwi zabrudziło podłogę. Bordowe krople miarowo spływają po marmurowych ściankach w czarną otchłań. W głowie zwarcie. Szok pourazowy. Nic nie słyszać, niewiele widać, kompletnie nic nie ma sensu.

Podręczny łazienkowy skaner medyczny robi szybką ewaluację mojego stanu i orzeka, że istnieje spore zagrożenie dla życia.

– Rekomendowana wizyta w najbliższym punkcie specjalistycznym. Czy chcesz uzyskać listę najbliższych punktów specjalistycznych? Czy chcesz zamówić pomoc doraźną? Brak reakcji w ciągu najbliższych dwudziestu sekund spowoduje automatyczne wezwanie...

– Anuluj – przerywam te brednie wypowiedane spokojnym, damskim głosem, nad barwą którego przez długie miesiące musiał debatować sztab interface designerów oraz psychologów, bo taki jest, kurwa, kojący.

– Przygotuj środki przeciwbólowe i klej do skóry – mówię, jakbym wiedział, co robię.

Nie wiem. Słyszałem kiedyś taką kwestię w filmie akcji. Z bohatera zrobili sito, ale sam się uratował, a później wrócił z wielką zemstą. Problem w tym, że ja nie jestem pierdolonym bohaterem. Ale jeszcze o tym nie wiem. Może dlatego się uratuję? Nie zaczniesz spadać, póki nie spojrzysz w dół. Jak w kreskówce.

– Czas oczekiwania: pięć minut pięćdziesiąt sekund. Szanse na przeżycie: sześćdziesiąt osiem procent.

Opadam dupą na podłogę, zostawiając na ścianie długą, czerwoną smugę. Powoli, bardzo delikatnie odrywam przyklejony do zmasakrowanego ramienia rękaw koszuli. Ból, który temu towarzyszy, jest praktycznie oślepiający.

A miało być tak spokojnie...

Leonard wezwał nas do siebie późnym wieczorem. Niektóre rzeczy są zbyt ważne, by ogłaszać je przez wideokonferencję – stwierdził, dając wszystkim dokładnie trzy kwadranse na dojazd do siedziby firmy. Miałem kilka pomysłów dotyczących tematu naszego spotkania. Większość dotyczyła tożsamości Vincenta Noira i brudnych sekretów Ketry, które udało się przypadkowo wyciągnąć z cyfrowej otchłani. Na miejscu okazało się, że sprawa jest nieco mniej przyjemna.

– Siedząc dziś na kiblu, doznałem objawienia.

Dokładnie tymi słowami Leonard otworzył swój długi wykład na temat kondycji współczesnej muzyki popularnej, której dźwięki porównał do odgłosów towarzyszących aktom defekacji. Analiza kilku ostatnich dziesięcioleci rozwoju rynku muzycznego obrazowała według niego niepokojące zachwianie proporcji pomiędzy osobą artysty a dziełem, które on tworzy. Dzieło zdawało się pełnić drugo-, a nawet trzeciorzędną rolę. Muzyka ustępowała miejsca osobie twórcy, którego osobowość, prezencja, a przede wszystkim skandale i plotki towarzyszące jego życiu prywatnemu interesowały opinię publiczną bardziej niż tworzona przez niego sztuka, która często okazywała się wtórna. Remedium na ten stan rzeczy miał stać się zespół stworzony ze specjalnie wybranych przez Leonarda osób.

– Poprzeczka została zawieszona tak nisko, że jest to idealny moment, żeby wejść na ten zblazowany rynek z czymś choćby minimalnie ambitnym. To będzie jak powiew świeżego powietrza. Jak kop w ryja. Ludzie potrzebują tego i kupią to tonami – mówił.

O ile znalezienie dobrych, kreatywnych instrumentalistów nie nastęrczyło zbyt wielu problemów, to wyszukanie charyzmatycznego wokalisty lub wokalistki z umiejętnością pisania dobrych tekstów okazało się zadaniem praktycznie niewykonalnym.

– Sam osobiście przesłuchałem sporo dziewczyn. Raczej odnajdą się w innej branży – podsumował, przechodząc powoli do meritum sprawy. – Więc zdecydowałem,

że pokieruję tym cyrkiem sam. Waszym zadaniem jest zorganizowanie koncertu, dzięki któremu ogłoszę światu, że muzyka jeszcze nie całkiem umarła.

Wreszcie praca w zawodzie – pomyślałem, wertując na szybkim podglądzie wysłaną do mnie listę. Działania PR, współpraca z blogerami, kilka artykułów sponsorowanych, newslettery i spoty. Leo, takie rzeczy to ja robiłem przed śniadaniem. Wychodząc z wydawnictwa, pomyślałem, że dobrze będzie wrócić choć na chwilę do tego świata, że właściwie to mogę zaczynać od zaraz. Wrócę do domu, wymyślę jakąś sprytną zajawkę – na przykład czarno-białe zdjęcie Leonarda Constantine’a trzymającego wyrwaną z gitary strunę niczym zabójca garotę – i wyślę ją do czołowych blogerów, a oni przez noc wykonają całą resztę roboty. Rano, gdy już wszyscy będą mocno nadziani na ten hak, a ja wyspany, pociągnę ich wszystkich do góry i wyłowię.

To jest... jeśli w ogóle doczekam rana...

Z nieba zaczyna padać deszcz. W drzwiach wydawnictwa pojawia się Jahred.

– Widziałem coś – mówi, upewniając się, że wokół nikogo nie ma.

Udaję, że go nie słyszę. Naciągam kaptur na głowę i ruszam w dół ulicy. Zupełnie nie w moim kierunku, ale nie szkodzi. Byle dalej od tego psychopaty i jego powalonych wizji. Nie mam zamiaru w tym uczestniczyć. Próbować naprawiać świat, a może próbować go zepsuć? Oprócz Reda nikt nie zna znaczenia tych czynów. Trudno. Jeśli ktoś ma dzisiaj umrzeć, umrze.

– Siedem – mówi, wlokąc się za mną niczym cień przez zlane deszczem ulice.

– Nie interesuje mnie to.

– Dzieci też.

Jest nieustępliwy. Będzie próbował mnie złamać, póki faktycznie nie pęknę. A najgorsze, że ja też wiem, jak to się kończy. Jest tylko jedno możliwe wyjście. Kupiłem i wstrzyknąłem sobie to jego szaleństwo już nie raz. Z każdym kolejnym przychodzi mi to coraz łatwiej.

– Wypadek.

– Dziś w nocy?

– Jutro rano. Zderzenie. Wszyscy zginą.

– No i co my możemy z tym zrobić? – pytam, kiwając głową.

– Rozbić go – odpowiada, wskazując auto zaparkowane przed domem po drugiej stronie ulicy.

Jakoś nie dziwi mnie, że sam tu trafiłem. Mój wybór, mój opór – to wszystko było tylko iluzją.

– Chodź – mówi, a moje nogi same zaczynają kroczyć po wilgotnym betonie.

Jahred schyla się pod auto i podpina do złącza diagnostycznego pluskwę z wirusem. Wielka, czarna limuzyna lśni w światłach nocnego miasta. Krople wody uciekają z powierzchni jej samonaprawiającego się lakieru, jakby osiągnął temperaturę wrzenia. Cud współczesnej techniki zamknięty w smukłej, organicznej bryle przypominającej pikującego sokoła. Nawet gdy stoi, wygląda, jakby pędził. Coś pięknego.

Drzwi odsuwają się, a elektryczny silnik wydaje z siebie metaliczne cyknięcie, potwierdzając gotowość do drogi. Żeby nim odjechać, Jahred kopiuje cały system, tak zwaną „duszę” auta, na urządzenie przenośne. W momencie gdy samochód ruszy, druga osoba włączy pluskwę, robiąc jego dokładną kopię. Centralny system monitoringu ruchu zarejestruje wtedy dość niecodzienną sytuację: to samo auto stoi i jednocześnie oddala się z miejsca. System oczywiście uzna to za własny błąd i, zamiast poinformować służby porządkowe o kradzieży, podejmie próbę komunikacji z kopiami pojazdu, następnie zarządzi rutynowe sprawdzenie systemów bezpieczeństwa, a gdy to także nie przyniesie rozwiązania, zdalnie dezaktywuje samochody oraz wyśle w oba miejsca patrolę policji.

Cała ta procedura daje nam dokładnie dziewięćdziesiąt sekund. To niewiele. Druga zła wiadomość jest taka, że żadne auto nie pozwoli się rozbić, póki nie zostanie przełączone w tryb manualny.

– Jedź! – mówi do mnie, pokazując uciekające sekundy na urządzeniu.

– No chyba żartujesz – odpowiadam, wiedząc, że Jahred wcale nie żartuje. – Sam prowadź, ja tu zostanę i popilnuję ci miejsca.

– To musisz być ty. Jedź!

Siedemdziesiąt cztery sekundy. Siedemdziesiąt trzy. Siedemdziesiąt dwie. Kurwa.

Ląduję na nieprzyzwoicie wygodnym, skórzanym fotelu. Drzwi zamykają się za mną z delikatnym kliknięciem. Dobra, dalej. Tak jak robiłem to w grze tysiące razy. Wybieram tryb manualny, przyciągam do siebie kierownicę i wciskam nogą gaz.

Chwilę później mknę przez miasto. Bez świateł, bez pasów, bez systemów wspomaganie jazdy i ratowania życia, bez ograniczenia prędkości. Tylko koła i kierownica – prowadzenie w czystej, surowej formie. Sto kilometrów na godzinę po zalanych deszczem zakrętach, gdzie każdy wyłaniający się z ciemności kształt może pozbawić mnie życia. Ilekroć widzę wart uwagi kawałek muru, adrenalina uderza we mnie brutalną falą, która rozlewa się po całym ciele. Może to już tu? No, dalej, zrób to. Nie ma czasu.

Dwieście metrów za skrzyżowaniem dostrzegam potężny filar mostu prowadzącego do zamkniętej i od dawna nieużywanej bramy Ketry. Dociskam gaz, wjeżdżam na

chodnik. Sto metrów, pięćdziesiąt, dwadzieścia... Zaczynam wrzeszczeć. Noga sama łąduje na hamulcu. Auto zatrzymuje się jak wbite w ziemię milimetry przed filarem. Nie mogę...

Nie zrobię tego. Nie mam w sobie tyle siły. Nie zaryzykuję swojego prawdziwego życia za siedmioro przypadkowych ludzi, którzy dla mnie mogliby równie dobrze nie istnieć. Niech zdychają! Pierdolę ich!

Dwadzieścia dwie sekundy.

Oglądam się za siebie. Pusta, ciemna ulica. Ani jednego świadka mojego dramatu. Deszcz wali miarowo w dach auta. Słyszę swój oddech i bicie serca. Wieże Ketry giną w kłębach ciężkich chmur. Wszystko wokół jest tak zadziwiająco spokojne, jakby nagle cały świat dogadał się ze sobą i zaczął żyć w absolutnej harmonii.

Wrzucam wsteczny i wyjeżdżam z powrotem na środek ulicy. Tyle powinno wystarczyć. Gaz w podłogę.

To jest wasze życie, skurwysyny.

Nie zmarnujcie go.

Ciemność eksploduje mi prosto w twarz. Ale po chwili znów jest jasno. Postać odsuwa ciężkie zasłony, wpuszczając do pomieszczenia poranne światło. Widzę tylko jego kontur na tle okien, ale nie mam wątpliwości, że to mój ojciec. Siada za biurkiem, bierze do ręki pióro i zaczyna pisać list. Do kogo? Tego nie wiem. Być może do mnie. Być może zacznie go słowami: „Drogi synu, mam nadzieję, że nie całkiem zniknąłem z twojej pamięci...”, a później wyjaśni mi, dlaczego tak długo się nie odzywał. Napisze trochę o swoim życiu, o pieczeniu z kaczki, którą dzisiaj sobie przyrządził według nowego przepisu. Musiała być pyszna. Podana na takiej wielkiej srebrnej tacy z przykrywką, w której można zobaczyć swoje zniekształcone odbicie. Jak w bombce na choince. Gdy byłem mały, w ten szczególny dzień mama zawsze budziła mnie wcześniej rano, wołała na dół, gdzie czekały już stosy pudełek i świeżo ścięte, jeszcze pachnące mrozem drzewko, które tata przynosił z lasu na długo przed tym, zanim wprowadzono przepis zabraniający wycinania choinek. Ile radości było w tym ubieraniu, zawieszaniu bombek, lampek i innych łańcuchów. Miałem później całe pokłute od igieł ręce, ale widok uginającej się pod ciężarem ozdób choinki był wart każdego poświęcenia. Następnie siadaliśmy do śniadania. Długi drewniany stół z białym obrusem. Cztery miejsca, bo dziś przyprowadziłem gościa. Mamo, tato, to jest Almeida. Poznałem ją w szkole. Gdy mówię, że ją lubię, Almeida uśmiecha się i czerwieni. Tata włącza świąteczną piosenkę, a ja nalewam wszystkim gorącej herbaty z dzbanka. Trzeba się rozgrzać, bo za chwilę pójdziemy na spacer do lasu. W nocy spadł śnieg, więc może trafimy na ślady dzikich zwierząt. Jestem dobry w rozpoznawaniu śladów. Tata nauczył mnie odróżniać tropy

psa i wilka. Wilki chodzą zawsze równo, elegancko. Ślady psów są bardziej chaotyczne i rozbiegane. W lesie jest cicho. Nie ma nawet najmniejszego podmuchu wiatru. Słysząc tylko skrzypienie śniegu pod naszymi butami. Coraz ciszej i ciszej. Kroki zwalniają aż do kompletnego zatrzymania. Gdy się obracam, wokół nie ma już nikogo. Stoję sam na skrzyżowaniu dwóch duktów. Każda z dróg ciągnie się w nieskończoność. Każda wygląda identycznie. Moje ślady zniknęły, więc nie wiem, z której strony przyszedłem. No cóż. Poczekać tu. Prędzej czy później ktoś na pewno mnie znajdzie. Usłyszę, jak echo ich głosów odbije się pomiędzy drzewami, i odpowiem na nie. Do tego czasu usiądę sobie tu pod drzewem. Ulepię kulkę ze śniegu i zbiję ją tak mocno, że będzie twarda jak kamień. A później przymknę oczy. Może się zdrzemnę. Tak, żeby czas szybciej zleciał. Tylko na chwilę...

Wycie alarmu... Kobięcy głos jest już mniej uspokajający. Teraz brzmi jak komentarz do spieprzonego życia, jak ostatni dzień razem. Odrywam plecy przymarznięte do mokrej kory drzewa, która okazuje się być umazaną we krwi ścianą w mojej łazience. Przez chwilę walczę o utrzymanie pionu, zrzucając wszystko z półek, póki moje ręce nie trafią na szufladę skanera. Dalej już jest z górki. Fiolka ze specjalnie przygotowanym miksem analeptyków i środków przeciwbólowych ląduje w pistolecie. Strzelam sobie prosto w nadgarstek, a chwilę później czuję się, jakbym nagle znalazł się w pierwszym rzędzie pędzącego po pętli rollercoastera. Nawet wydaję z siebie jakiś bojowy okrzyk: niecenzuralną wiąchę skierowaną zupełnie do nikogo. Po chwili wszystko wraca do względnej normy.

Zalewam klejem podartą rękę. Mieszkanie wygląda jak rzeźnia. Krwawe maziaje zaczynają się u frontowych drzwi i prowadzą zygzakiem po podłodze i meblach aż do punktu kulminacyjnego w zdewastowanej łazience. Postanawiam nie przejmować się tym burdelem. Opadam miękko na kanapę, skąd roztacza się przepiękny widok na Ketrę naznaczoną nowym numerem siedem. W głowie farmakologiczna dyskoteka. Nalewam sobie pełną szklankę whisky i przechylam za zdrowie spanikowanych ludzi za wysokim murem.

Rano budzi mnie kac. Na ogromnym ekranie równie wielka twarz Leonarda przygląda mi się z zaciekawieniem i politowaniem. Jeszcze przez chwilę leżę tam w bezruchu, w podartych i brudnych ubraniach, w butach, za stołem zawalonym tabletkami

rozsypanymi wokół pustej butelki whisky i na tle fantazyjnych zacieków, które przybrały kolor gówna. Liczę na to, że on zlituje się nad moim umęczonym ciałem i po prostu się rozłączy. Obaj dobrze wiemy, że nic takiego nie nastąpi.

– Przypomnij mi, za co ci płacę – mówi szorstkim, ochrypniętym głosem, w którym również słychać noc pełną wrażeń.

Szukam w głowie czegoś, co wymyśliłem, mogłem wymyślić lub zaraz wymyślę w temacie nadchodzącego koncertu. Wreszcie, po dłuższej chwili, spomiędzy wspomnień wraków aut i snów pełnych wybuchającej Ketry wyciągam pomysł na teaser ze struną i opowiadam mu o nim. Leonard kontempluje przez chwilę moją wizję, zapewne próbując dobrać adekwatnie mocne słowa, by wyrazić swoją krytykę, po czym strzela:

– Dobrze w chuj. Zrób to. *Adios*.

I ku mej nieopisanej uldze kończy transmisję.

Resztę dnia spędzam, kursując pomiędzy kuchnią, kibelem i kanapą. Na portalu z wiadomościami eksperci wypowiadają się na temat odliczania. Łysy mężczyzna z tatuażem na czaszce mówi o końcu świata, próbując udowodnić, że Vincent Noir jest Internetem, który uzyskał świadomość, pierwszą sztuczną inteligencją, która definitywnie planuje zakończyć pobyt ludzi na planecie Ziemia. Ktoś inny wysuwa propozycję podczas otwartej dyskusji, że to polityczna prowokacja. Pojawia się też gościnnie główny technik Ketry, który uspokaja, że system jest stabilny, niemożliwy do uszkodzenia i że to tylko kwestia dni, a wyłączą te „lampki choinkowe”. Inny informatyk zarzuca mu, że pierdoli jak potłuczony, próbując uspokoić i tak napiętą już sytuację. Wszystko kończy się wielką pyskową. W sąsiednim oknie głównym bohaterem Crime Factor zostaje mężczyzna, który jako pierwszy zwątpił w wielkość Ketry i obwieszony hologramami z napisem „Wszyscy zginiecie” próbował podpalić się w jednej z restauracji. Jutro rozpocznie zwiedzanie Ketry B od spotkania z Leonardem Constantinem i Jahredem, którzy wyjaśnią mu nowe reguły gry i sprawdzą, czy stanowi zagrożenie, czy ma potencjał zostać wartościowym pracownikiem, czy też może jest kompletnie bezużyteczny. W zależności od decyzji podjętej przez szamana broń Leonarda wypali lub nie. W głębi duszy wierzę, że mimo całego swojego szaleństwa Red nie pozwoli skrzywdzić niewinnej osoby. Jeśli ma – a na pewno ma – jakiś ukryty plan, prywatny powód podejmowania się wszystkich tych działań, tak zwanego zmieniania przyszłości, to robi to w słusznej wierze. Jego szaleństwo nie szkodzi nikomu. A fakt, że powiedział mi o tym, że zabiję Leonarda, jest częścią jakiegoś większego planu, który w istocie pozwoli mi mnie przed tym powstrzymać i go ocalić. Gdybym w to nie wierzył, nie zrobiłbym tego, co zrobiłem poprzedniej nocy. Bo jeśli w jego wizjach jest choćby pół procenta prawdy, dziś przez moją bierność mógłbym mieć

kwadrat na rękach. Pieprzony manipulator, trafił na podatny grunt. Ulica nie nauczyła mnie, jak być nieufnym. W moim świecie wszystko zawsze było czarne albo białe. Słuszne albo błędne. Z góry wybrane. A teraz...

Nie wiem. Dziś nie myślę sensownie. Idę zalać czwarty kubek z kawą i zaraz wracam na kanapę. Ten dzień jest bezużyteczny. Właściwie mogłoby go nie być.

Ketra, która gwarantuje mieszkańcom nieodpłatny oraz dożywotni dostęp do wiedzy, słynie z ponadprzeciętnego systemu edukacji. Nauka w Ketrze rozpoczyna się już w wieku dwóch lat. Dzieci spędzają czas z instruktorami, którzy pomagają im rozwijać zdolności ruchowe oraz asystują w poznawaniu świata i sposobów komunikacji. Do siódmego roku życia blisko 75% mieszkańców Ketry jest w stanie porozumiewać się w dwóch językach, uniwersalnym oraz tradycyjnym – wybieranym dowolnie, w zależności od pochodzenia – doskonale zna topografię miasta, geografię globu oraz budowę układu słonecznego, posiada elementarną wiedzę z zakresu biologii, fizyki oraz matematyki, jest w stanie samodzielnie przeprowadzić podstawowe czynności ratunkowe na ofiarach wypadków i doskonale radzi sobie z pracą zespołową. Następne siedem lat to okres dalszego zdobywania wiedzy ogólnej oraz pierwsze próby określenia na razie, dość szerokiego kręgu zainteresowań danej osoby. W wieku czternastu lat każdy mieszkaniec Ketry przechodzi skrupulatny proces ewaluacyjny. Pod lupę brane są jego dotychczasowe osiągnięcia naukowe, artystyczne i społeczne, a seria egzaminów pozwala określić jego mocne oraz słabe strony w konkretnych dziedzinach nauki. Od czternastego do dwudziestego drugiego roku życia mieszkańcy Ketry kontynuują obowiązkowe nauczanie, którego główny nacisk zostaje położony na pogłębianie obszarów wiedzy leżących w kręgu zainteresowań danej osoby, przy jednoczesnym poszerzaniu wiedzy ogólnej. Dwudziestodwulatkiem przechodzą kolejny, najważniejszy proces ewaluacji, na podstawie którego zostaną im przydzielone odpowiednie stanowiska w strukturach i firmach Ketry. To właśnie w tym momencie młodzi mieszkańcy też dowiadują się, że w ciągu następnych trzech lat, po ukończeniu ostatniego etapu szkoleń i praktyk, rozpoczną pracę jako naukowcy, biznesmeni, lekarze, pracownicy służb porządkowych. Wszystko zależy od ich wyników, indywidualnych predyspozycji oraz warunków fizycznych. Decyzja nie jest ostateczna i nieodwracalna, ale jak pokazują dotychczasowe badania, jedynie 19% osób decyduje się w późniejszym życiu na próbę zmiany przydzielonej profesji. Oczywiście każda taka decyzja musi być poprzedzona odpowiednim okresem przygotowawczym i kolejnymi testami. Dla wielu pewne ścieżki kariery pozostają na zawsze zablokowane, dla innych możliwości awansu są praktycznie nieskończone.

Doskonale wykształcona kadra, świetnie prosperujące firmy i znani na całym świecie naukowcy – to właśnie stanowi o sile i dobytku podniebnego miasta. Z Ketry pochodzą najbardziej cenione firmy prawnicze, instytuty naukowe oraz agencje reklamowe, które świadczą swoje usługi klientom na całym świecie, generując ogromne zyski. Skrócony model systemu edukacji Ketry, potocznie zwany „7-8-3”, jest obecnie wykorzystywany przez większość korporacji na Ziemi, które decydują się inwestować w obiecujące jednostki, gdy te ukończą siódmy rok życia, jednocześnie wychowując sobie rzetelnego i doskonale przygotowanego pracownika...

Praca, praca, praca... Towar deficytowy zasapanego świata na dorobku. Kto ma pracę, ten ma wszystko. Ja w takim razie muszę mieć aż za dużo. Chętnie podzielę się moim bogactwem. Rozdam goniące deadline’y, zubożę o kilka wciąż nierozpoczętych projektów.

W tle doktor Way przechodzi płynnie do tematu zarobków, opisując szczegóły inteligentnie skonstruowanego systemu obiegu pieniądza minimalizującego ryzyko wyprowadzania środków na zewnątrz Ketry. Ja po raz kolejny pochylam się nad scenariuszem imprezy Leonarda, wprowadzając ostateczne poprawki, szukając literówek w tytułach utworów, które zostaną wyświetlone z rzutników na płaszczy wodzie umieszczonym tuż za sceną. Dynamicznie zmieniająca się powierzchnia nada wizualizacjom organiczną fakturę i żywy charakter. Leo chciał zorganizować imprezę z wykopem, więc postaram się spełnić jego marzenie.

Na stole wyświetla się informacja, że limuzyna Blu jest już w zasięgu kilometra.

Biorę kolejny łyk czarnej jak noc kawy i rozkazuję systemowi skopiować całość przygotowanej przeze mnie prezentacji do mojego konta w chmurze. Pierwszy etap zakończony – myślę i wypełnia mnie dziwnie znajome uczucie dobrze wykonanej roboty. Nie ma się co oszukiwać, lubię to. Z przyjemnością biorę na siebie cały ten pośpiech i zarwane noce. Im większe wyzwanie, tym więcej emocji. Do takiego życia zostałem przygotowany. Innego nie znam.

Zamykam drzwi i żwawym krokiem ruszam przez długi hall w kierunku wind, wyobrażając sobie siebie na scenie przed dziesięcioletnim tłumem. Mikrofon wyłapuje mój przyspieszony oddech, obracam pomiędzy palcami kostkę od gitary, opieram drugą dłoń na gryfie i pochylając się lekko do przodu, mówię:

– Następnym utwór nazywa się „Almeida”.

Wrzawa. Oklaski.

*

Limuzyna mknie przez zakorkowane porannymi dojazdami miasto. Jesteśmy spóźnieni ze dwadzieścia minut na spotkanie z Leonardem. To niedobrze, bo to bardzo ważne spotkanie, na którym mamy zaklepać ostateczny scenariusz i kosztorys koncertu. Trudno będzie zrobić to beze mnie.

– Gdybyś miał wybór, to jaki byłby twój ostatni posiłek? – pyta Blu, zapewne w kontekście naszej niepunktualności.

– Ostatni? Nie wiem. Pewnie coś wykwintnego.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby poczuć smak... Wiesz co? To pytanie jest bez sensu. Skoro to mój ostatni posiłek, to znaczy, że za chwilę zmienię się w kompost. Wtedy to już nie ma znaczenia.

– Całe życie nie ma znaczenia w takim układzie. W każdej chwili możesz zamienić się w kompost.

– Blu, od kiedy ty właściwie zacząłeś interesować się filozofią?

– Nie filozofią, tylko kuchnią. A interesuję się, od kiedy poszedłem na studia. Myślisz, że będę do końca życia zapierdalał za kółkiem? Mam większe plany niż to – mówi, wskazując wewnątrz limuzyny.

– Leonard mówił, że kiedyś miałeś własną firmę...

– O, nie. Nie wracam do tego bagna – głośno protestuje.

Postanawiam nie pytać o szczegóły.

– Zupa z ptasich gniazd – mówię.

– Co?

– Odpowiadam na twoje pytanie. Zjadłbym zupę z ptasich gniazd, bo to najdroższe żarcie świata i pewnie nie miałbym innej okazji, żeby go spróbować. Poprawiłbym to tą rybą, co zabija, fugu, a na koniec strzeliłbym kawkę zrobioną z gówna norki, bo w sumie nie spróbowałbym jej w innych okolicznościach.

– Fatalny gust, panie Robercie, fatalny...

– A ty, co byś zjadł?

– Coś, co lubię. Nie rozumiem, czemu ludzie zawsze wymyślają te głupoty. Skąd wiesz, czy ta kawa z gówna jest w ogóle dobra? Może jest ohydna. Nie chciałbym odchodzić z tego świata, mając posmak gówna w ustach. To złe wspomnienie.

– Więc co byś zjadł?

– Pizzę z szynką parmeńską i rukolą. Do tego zimny browar.

– I... tyle?

– Więcej nie trzeba – odpowiada.

W lusterku dostrzegam, jak uśmiech rozlewa się po jego okrągłej twarzy na samo wspomnienie o tym niezbyt wykwintnym zestawie. Trochę niżej, tuż za przednią szybą moje spojrzenie przykuwa para nastolatków spacerująca powolnym krokiem przez środek skrzyżowania. Blu też ich widzi. Ale nie hamuje. Wręcz przeciwnie. On przyspiesza. Półtonowa limuzyna pędzi wprost na niczego nieświadomą parę dzieciaków. Próbuję coś powiedzieć, ale słowa grzęzną mi w gardle, bo nie chcę wyprowadzić go z równowagi. On ma plan. On na pewno ma jakiś pomysł, jak to rozwiązać bez ofiar.

– Blu! – wrzeszczę wreszcie.

W tym samym momencie rozlega się klakson i pisk opon. Limuzyna pikuje nosem w kierunku asfaltu. Wrzask, dym i jeszcze więcej hałasu. Para nastolatków obejmuje się kurczowo i sparaliżowana zamiera w bezruchu. Nie zmieniają pozycji nawet wtedy, gdy już jest bezpiecznie. Blu spokojnie opuszcza opancerzoną, przyciemnianą szybę i wystawia przez nią swoją potężną rękę z wyciągniętym palcem wskazującym na chodnik.

– Tam jest, kurwa, przejście – mówi niezwykle opanowanym tonem, którego zwykle używają recepcjoniści w bardzo drogich restauracjach, aby oznajmić, że „niestety, mamy już komplet, sir”.

Dzieciaki uciekają pokornie z ulicy. Auto rusza dalej w swoją stronę.

– Zrobiłem to dla ich dobra – wyjaśnia, uprzedzając moje pytanie. – Dzisiaj ludzie za bardzo ufają pieprzonej elektronice. Radary, skanery, hologramy, pierdoły. Żaden z tych systemów nie jest nieomylny, a przez nie wszyscy ludzie tracą instynkt samozachowawczy i oddają swoje życie w ręce kawałka kodu. Te gnojki jeszcze długo będą mieli stracha, przekraczając jezdnię. I dzięki temu będą żyć długo i szczęśliwie.

– Cholera, Blu, może jednak pomyślałbyś o psychologii tłumów. Bardzo modny kierunek, mnóstwo możliwości rozwoju. Potrzebują takich wszędzie. W reklamie. W rządzie.

– Zostanę przy doprawianiu risotta – odpowiada. – A skoro o psychologii mowa, tu gdzieś mieszka ta twoja dupeczka, nie? – mówi, wskazując budynki po drugiej stronie ulicy.

– Jaka dupeczka?

– No, ta laska z klubu. Wiesz, fioletowe włosy, duże cycki. Coś wam nie wyszło? Nie widziałem, żebyście utrzymywali kontakt od poprzedniej imprezy. Szkoda. Jak ją odwoziłem, to pogadaliśmy sobie trochę. Była na ciebie nieźle wkurwiona, ale rozmawiało się nam całkiem...

– Zatrzymaj samochód! – krzyczę.

Gdyby nie blokowane automatycznie drzwi, już dawno biegłbym ulicą pełną aut. Pod prąd.

- Rob, jesteśmy spóźnieni dobre...
- Zatrzymaj ten samochód! – rozkazuję, pociągając raz po raz za klamkę.
- Leonard nie będzie zadowolony – mówi, parkując w najbliższej zatoce.
- To jest ważniejsze – odpowiadam, wyskakując przez ledwie uchylone drzwi. –

Który?

- Ten z trzema billboardami na dachu.

Przepycham się przez organiczną masę na chodniku, torując sobie drogę łokciami. Chwilę szaleńczego biegu później wpadam do hallu wskazanego budynku. Trzysta sześćdziesiąt siedem mieszkań. Jeśli będzie trzeba, sprawdzę je wszystkie po kolei. Będę walił od drzwi do drzwi. Albo cierpliwie poczekam, aż pojawi się w głównym wejściu, wracając z zakupów. Ze spaceru. Skądkolwiek. Zadzwońię do działu innowacji, żeby przejęli cały ten jebany system i zarządzili ewakuację budynku i w ten sposób ją spotkam.

Kobieta przygląda mi się z zaciekawieniem, kiedy tak stoję pośrodku hallu w pozycji półzgiętej, trzymam spocone dłonie na kolanach i próbuję złapać oddech. Mój obłąkany wzrok nie może znaleźć punktu zaczepienia. Może po prostu zapytam tę miłą panią z recepcji o drogę?

- Dzień dobry. Pani Almeida? Psychoterapeuta?
- Numer trzysta pięć, drugie piętro, windy po lewej lub schody po prawej.
- Dziękuję.
- Miłego dnia.

Ciężkim przypadkiem się nie odmawia. Poza tym psychopata zawsze wie, kiedy kłamiesz.

Wbiegam po schodach, przeskakując po trzy stopnie, przemierzam długi hall i wreszcie docieram pod jej drzwi. Moja pięść zawisa w powietrzu, gotowa, by uderzyć. Rozbić tę dwumiesięczną ciszę. Tylko najpierw pozbieram słowa w głowie. Nadam im kolejność. Dawaj, Robert. Przecież potrafisz.

- Robert Welkin? To ty?

Nie zdążam. Kamera z funkcją rozpoznawania twarzy potrzebuje przeciętnie tylko pięć setnych sekundy, żeby zidentyfikować podejrzanego typu dyszącego za twoimi drzwiami i wysłać powiadomienie na wszystkie urządzenia domowe.

- Co ty tu, do cholery, robisz? Jak mnie znalazłeś?

Jej głos. Brzmi jak powrót do domu. Jej głos o barwie słońca w sierpniowe popołudnie przeciska się przez szparę pod drzwiami. Słodki, nawet jeśli wybrzmiewa w nim gniew.

– Cześć – mówię, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Chciałabym, żebyś odpowiedział na moje pytanie.

– Blu mi powiedział, gdzie mieszkasz.

– Kto?

– Kierowca. Chciałem się z tobą skontaktować. Chciałem wszystko wyjaśnić, bo...

– Naprawdę nie mamy o czym rozmawiać.

– Daj mi chwilę...

– Robert...

– Jedną chwilę. Nie odejdę stąd, dopóki mnie nie wysłuchasz.

– Mów. A jak skończysz, możesz wracać, skąd przyszedłeś, dalej bawić się w gangstera, torturować ludzi i biegać z bronią w ręku po mieście.

Przechodząca tuż za moimi plecami para nagle przyspiesza kroku.

– Trochę wyolbrzymiasz – mówię tak, żeby tamci też mnie usłyszeli. Jakby mi zależało na ich opinii.

– Na pewno. Leonard Constantine to przecież prywatnie bardzo miły człowiek, wzięty biznesmen i koneser sztuki.

– Właściwie, to... wiele się nie pomyliłaś. Ale to nie o nim miała być ta rozmowa.

– Monolog. Zapomniałaś, że to ty miałaś mówić.

– Więc mi się nie wcinaj!

– *Sorry*, nie strzelaj do mnie, mam marzenia i plany, całe życie przede mną – mówi kpiącym głosem.

– Proszę cię...

Biorę głęboki oddech. Bo to nie będzie łatwe.

– Zapowietrzyłeś się? – pyta, przerywając ciszę już w drugiej sekundzie. Puszczam to mimo uszu.

– Jestem tu, bo brakowało mi ciebie – mówię prosto do zamkniętych drzwi. – Na początku myślałem, że dam sobie z tym radę, że to po prostu sobie odejdzie. Wystarczy, że przestanę myśleć, bardziej poświęcę się pracy, pozwolę miesiącom upływać i nowe wspomnienia same przykryją stare, aż do momentu, gdy całkowicie znikniesz. Przeważnie właśnie tak radziłem sobie z trudnościami w życiu. Przeczekiwałem je. Praca. Poniedziałek. Piątek. Weekend. Stały, z góry ustalony rytm. Pewny jak to, że jutro też będzie dzień. Ale później zdałem sobie sprawę, że ten świat wcale nie działa w ten sposób. Tutaj... tutaj niczego nie mogę być pewnym. Ani pracy,

ani tym bardziej tego, że doczekam do następnego poniedziałku. Tutaj łapie się chwilę, żyje tym, co jest w danym momencie, i w żadnym przypadku nie odkłada na później. I ja przez moment złapałem tę chwilę. A zaraz później wypuściłem ją z rąk. Brakowało mi naszych rozmów. Tych, w których uczyłaś mnie, jak się ogarnąć w absurdalnym świecie, gdzie samemu trzeba o siebie zadbać, i tych, w których ja opowiadałem ci o dotychczasowym życiu. To dla ciebie musiało brzmieć jak totalna fikcja, ale przyrzekam, że to wszystko prawda. I powiem ci jeszcze jedno, Almeida. Być może nie ma dla mnie ratunku. Być może ten pieprzony system uszkodził mnie do tego stopnia, że już nie da się mnie naprawić i zawsze będę robił wszystko źle. Ale gdy jesteś obok, rozmawiasz ze mną, czuję, że nawet jeśli nie mam szans, to i tak nie mogę odpuszczać, bo jest ktoś, dla kogo warto próbować. Jestem ci winien przeprosiny, więc oto one. Wybełkotane bez ładu i składu, ale szczerze. Nie chcę, żeby to się tak skończyło...

Zapada cisza. Za drzwiami i wzdłuż korytarza.

Sekundy mijają. W moich uszach pisk. Równie dobrze mogłem mówić do siebie, bo pewnie dawno temu już poszła pod prysznic albo spać. Mimo wszystko rzucam na odchodne:

– Zostawiam ci mój adres. Fizyczny i online. Jeśli kiedykolwiek będziesz miała ochotę, skontaktuj się ze mną. Obiecuję, że już nie będę cię nachodził. Trzymaj się. Cześć.

A później zbieram się, kawałek po kawałku, i ruszam ołowianym, pijanym od emocji krokiem przez pusty korytarz. Zwlekam w dół po schodach. Wreszcie wychodzę prosto w objęcia chaosu na zewnątrz.

– Leonard dzwonił. Dwa razy!

Blu wrzuca mnie jak przedmiot na tylne siedzenie limuzyny i rusza z piskiem opon dalej, byle dalej stąd.

*

Sala wita mnie milczeniem. Ze dwadzieścia pięć osób przypartych do skórzanych foteli. Niektórzy już bez marynarek. Po lewej stronie dział realizacji eventów oraz księgowi Everybody Schadenfreude, którzy zebrali się tu, by wyliczyć koszty zaplanowanego przeze mnie przedsięwzięcia. Po prawej sponsorzy, którzy pokryją te koszty w zamian za przywilej umieszczenia swojego logo na materiałach promocyjnych.

W dalekim końcu stołu Leonard. Rozwalony, rozkraczony, ręce za głową, rękawy koszuli zawinięte za łokcie, w ustach nieodpalony papieros. Czeka. Spokojnie trwa przez

wszystkie te sekundy, bo jemu się nigdy nigdzie nie spieszy. Czas także pracuje dla niego.

Przy stole nie ma ani jednego wolnego miejsca. Zamieram obok drzwi jak nieprzygotowany uczeń przy ekranie, na którym nie ma co zaprezentować. Wszystkie spojrzenia skierowane na mnie. Także wzrok Leonarda, który z ciekawością próbuje wyczytać z mojej twarzy, co mogło stać się ważniejszego niż on, to spotkanie i cały ten koncert. Ostatecznie postanawia nie zgadywać i pyta:

– Stało się coś?

– Nie – odpowiadam.

– W porządku. W takim razie zaczynaj, kiedy tylko chcesz, Robercie – mówi uprzejmym tonem.

Jestem mu wdzięczny za to, że jakimś cudem powstrzymuje się przed publicznym linczem, który mógłby mi tu bez problemu zafundować. W innych okolicznościach moja twarz już dawno nurkowałaby w błocie wciskana tam jednym z jego eleganckich białych butów, po dwadzieścia tysięcy sztuka. Ale dziś jest inaczej.

Spokojniej. Taki dzień. Wypełniony ciszą i zamkniętymi drzwiami.

– Nie mam nic – mówię.

Leonard wkłada papierosa do ust, obmacuje swój garnitur w poszukiwaniu zapalniczki. Powietrze w sali zamiera.

– Nic, powiadasz?

– Nic, oprócz drewnianej sceny, twojego zespołu, kilku świateł i tego, co jest tam najważniejsze. Muzyki – precyzuję po chwili. – Jak chcesz, możemy odpalić moją prezentację z chmury. Znajdziesz w niej kolorowe wizualizacje, układy taneczne, dyskretnie przemyconą symbolikę, którą można godzinami interpretować. Całe mnóstwo elementów rozpraszających uwagę. Ale to nie dlatego grasz ten koncert, prawda? – jadę dalej bez respektu. – Widzisz, dzisiejszy dzień nauczył mnie, żeby poświęcać więcej energii temu, co ważne. Dlatego, jeśli chcesz mojej rekomendacji, oto ona. Scena. Zespół. Muza. Koniec.

Leonard opada miękko na fotel. Bierze pierwszego macha, na chwilę odpływa, praktycznie rozlewając się po oparciu, po czym zrywa się energicznie do przodu, napędzany nikotynowym kopem, w samą porę, by uciszyć malkontenckie marudzenie sponsorów, którym ewidentnie nie udało się dostrzec w mojej minimalistycznej idei realnych pieniędzy. Spogląda ostrym, wnikliwym spojrzeniem w ich twarze, badając reakcje, czytając ich opinie, a później zwraca się ku mnie – swojemu zbyt dobrze zarabiającemu specjalście od mediów, który przyszedł tu spóźniony godzinę i przyniósł ze sobą jakiś kompletnie niemedialny, mdły i staroświecki pomysł. Bierze macha i nie

wypuszczając go z siebie, wciąga kolejnego, aż zaczynam się zastanawiać, czy on przypadkiem nie połyka dymu zamiast się nim zaciągać. Dopalony do połowy pet ląduje w popielniczce. Wzrok Leonarda jeszcze przez krótką chwilę błądzi po suficie, w kierunku którego leniwie wysyła kłębiaste wspomnienie po papierosie.

– No, w końcu ktoś to zrozumiał! – oznajmia.

Jego otwarta dłoń uderza z impetem w szklany stół, finalizując transakcję. Menedżerowie, sponsorzy i cała reszta tych śmiesznych ludzików w garniturach, których stanowiska przeważnie są zapisywane na wizytówkach jako trzyliterowe skróty, jeszcze przez niedługą chwilę przerzucają się zaskoczonymi spojrzeniami, po czym, czując tę samą ostateczność, niechętnie podnoszą się do pionu, zarzucają na siebie marynarki i w milczeniu opuszczają salę. Wychodząc, każdy z nich spogląda mi głęboko w oczy, zapewne próbując uśmiercić mnie siłą woli. Niektórzy szepczą coś pod nosem w językach, których nie mam prawa zrozumieć. Wiele osób straciło dzisiaj mnóstwo czasu i jeszcze więcej kasy przeze mnie. Będą to przeżywać w drodze do domu, klnąc głośno w kierunku swoich przepisowo jadących kierowców, wyżalą się swoim partnerkom i partnerom przy kolacji, a później wypocą swój gniew na siłowni, zarzucając wyższy poziom na bieżni czy ładując pięć kilo więcej na gryf i wykonując wszystkie powtórzenia szybciej niż zwykle, łatwiej niż zwykle, bo moc jest z nimi, racja jest po ich stronie, ja jestem przypadkowym kolesiem znikąd i miałem szczęście, a Leonard sam często nie wie, co mówi, cały ten projekt był od początku z dupy, poza tym jutro też jest dzień.

Poranek nastaje ciepły i bezchmurny. Jest jak echo minionego lata, które przywołuje zamazane wspomnienia długich, wolnych dni. Na ulicy pojawia się więcej osób. W kieszeniach mniej rąk. Mniej postawionych kołnierzy. Życie zmienia tempo. Spacer chodnikiem przestaje być smutną koniecznością i staje się tym, czym jest, po prostu spacerem po chodniku. Ludzie tracą czas na przypadkowe rozmowy. Przepuszczają się w drzwiach. Czasem pozwalają, by ktoś inny złapał taksówkę, którą wypatrzyli na horyzoncie. Wszystko jest jakieś takie bardziej uczciwe i lepsze. Do tej pory uważałem, że system kontroli pogody Ketry to absurd. Pokaz mocy, którego zadaniem jest jeszcze dobitniej uświadomić światu za murem, jak ogromna przepaść dzieli go od miasta, które ujarzmiło siły natury. Ale teraz już wiem, że czasem te kilka stopni jest w stanie zmienić wredny poranek w początek dobrego dnia.

A ten dzień zaczyna się niezwykle.

Specjalne wydanie wiadomości zastaje mnie głęboko pod ziemią, gdzieś pomiędzy parkiem Jobsa a Lotniskiem Gagi. Szyby w metrze, zamiast standardowego zestawu reklam, nadają zbliżenia na jednolicie białe wieże rozciągnięte na tle błękitnego nieba. Jeszcze do wczoraj były naznaczone symbolem rzymskiej siódemki, dziś wyglądają jak dawniej. Pozbawione swojego stygmatu lśnią w promieniach wschodzącego słońca. Kobieta obok wydaje z siebie okrzyk radości. Być może już została wylosowana, być może ktoś z jej rodziny mieszka na górze albo założyła się z kimś o duże pieniądze, że Ketra nie zakończy swojego bytu efektowną eksplozją?

Mimo wszystko i tak daje się wyczuć spokój rozrzedzający powietrze w ciasnym wagoniku metra. Wysoki mur pomiędzy miastami został zacementowany z jednej strony poczuciem wyższości, a z drugiej zazdrością, ale zagłada Ketry nie przysłużyłaby się nikomu. Ta dychotomia jest tu częścią życia do tego stopnia, że strefa B zapłakałaby się, gdyby wieże nagle przestały zasłaniać jej słońce. Taką przynajmniej mam teorię i obserwując twarze w tłumie, coraz bardziej się do niej przekonuję.

Trzy stacje później rozpoczyna się transmisja na żywo z wystąpienia rzecznika prasowego Ketry, który ogłasza, że wciąż jest zbyt wcześnie, aby podawać jakiegokolwiek szczegóły, ale jedno jest pewne. Ten dzień na zawsze zostanie zapamiętany jako punkt zwrotny w walce z cyberterroryzmem. Nie pada ani jedno słowo o tym, czy Vincent Noir został ujęty, w jaki sposób zlikwidowano wirusa i dlaczego tak długo to trwało.

Kątem oka dostrzegam mężczyznę, który przeciska się przez napakowany po brzegi wagon, ewidentnie wymachując dłońmi w moim kierunku.

– Pan Roger Wielkin? Proszę poczekać! – krzyczy.

To bloger. Chce, żebym skomentował dla niego tę sytuację, wypowiedział się jako były mieszkaniec Ketry, co właściwie ludzie powinni o tym sądzić. Mówię mu, że mam ich w dupie, a całe to przeklęte miasto może spłonąć.

Oczywiście, że tego nie mówię. Przyznaję, że teraz powinno być spokojniej, a media być może znajdą sobie inny temat do wałkowania. Metro zatrzymuje się na mojej stacji. Niesiony przez gęstą, organiczną masę wypływam ku górze, by spojrzeć jeszcze wyżej i przekonać się, czy to wszystko nie jest jakąś mistyfikacją. Czy Vincent po raz kolejny nie zmanipulował nas wszystkich.

Na wieżach świeci nowy symbol.

Z głosów w tłumie łatwo jest wywnioskować, że pojawił się tu dosłownie przed chwilą. Ogromne VI niczym dwa przeciwstawne symbole pokoju i pieprzenia nas wszystkich pokazują, co monsieur Noir sądzi o zawieszeniu broni.

Biedna Ketra myślała, że udało się opanować sytuację. Przypisali sobie ten sukces i wyszli na jeszcze większych idiotów, bardziej bezbronych i zagubionych niż

dotychczas. Nie potrafię sobie wyobrazić, co może się dziać teraz w gabinetach na górze, ale na pewno jest tam głośno od dźwięku spadających głów.

Ale i tak, mimo dystansu, jaki dzieli mnie od wysokich wież, mimo błękitnego nieba nad głową i ciepłego wiatru niosącego ze sobą wspomnienia lepszych dni, mnie też zaczyna udzielać się niepokój tłumy, gdy uświadamiam sobie, z kim tak naprawdę mamy do czynienia. W jego działaniach nie ma przypadku. Nigdy nie traci kontroli. Jest cierpliwą i potężną siłą, która drąży największą na świecie skałę kropla po kropli. Cyfra po cyfrze. A gdy uznaje, że ból jest niewystarczający, przyprawia go nadzieją. Tak na krótką chwilę, na jeden słoneczny poniedziałkowy poranek częstuje miasto iluzją powrotu do normalności, tylko po to, by mogło opuścić swoją gardę i przyjąć jeszcze mocniejsze uderzenie.

Ketra jest pierwszym miastem-planetą. To jedyne miejsce na Ziemi, które może poszczycić się mianem bycia samowystarczalnym. Jeżeli pewnego dnia pozostała część globu przestałaby istnieć na skutek dowolnego kataklizmu, mieszkańcy Ketry nie poczuliby większej różnicy, a ich dzień przebiegłby zupełnie bez zakłóceń. Pomimo powiązań biznesowych ze światem zewnętrznym ekonomia Ketry jest skonstruowana w ten sposób, żeby w sytuacji awaryjnej doskonale sobie poradzić, wykorzystując wyłącznie własne środki. Począwszy od podstawowych kwestii, takich jak produkcja żywności, a kończąc na dobrach luksusowych, wszystko może zostać stworzone przy wykorzystaniu materiałów zgromadzonych w przepastnych magazynach Ketry, które znajdują się bezpośrednio pod miastem. Majątek Ketry to nie tylko pieniądze, ale także surowce, nasiona, minerały, związki chemiczne, gatunki roślin i zwierząt, których zakonserwowany materiał genetyczny może zostać w razie potrzeby użyty do odtworzenia gatunku.

Ale tak jak w przypadku każdej planety, przestrzeń wokół podniebnego miasta nieustannie istnieje w jego świadomości, tworzy dla niego kontekst i jest nierozdzielną częścią rzeczywistości, której nie sposób zignorować. Nasze naturalne pragnienie eksplorowania i poznawania przestrzeni pozwoliło nam zasiedlić już wszystkie kontynenty, odwiedzić Księżyc, a następnie Marsa, przemierzyć wzdłuż i wszerz Układ Słoneczny i skolonizować pierwszą zewnętrzną planetę. Bez oficjalnych danych trudno stwierdzić, czy przeciętny mieszkaniec Ketry odczuwa dyskomfort ze względu na brak możliwości eksplorowania przestrzeni znajdującej się poza granicami miasta. Te nieoficjalne mówią jasno, że 78% mieszkańców jest szczęśliwa dokładnie tam, gdzie jest. Co ciekawe, taki sam procent osób, które posiadają wystarczające środki, aby odbyć komercyjny lot w kosmos, nie decyduje się na niego, podając jako argumentację swojego wyboru „ryzyko przedsięwzięcia”. Każdy mieszkaniec Ketry musiał

dokonać trudnego wyboru, przedkładając spokój ducha nad złociste piaski Południa, majestatyczne skały Północy i całą resztę cudów, które oferuje Ziemia. Oczywiście, żyjemy w czasach, w których technologia ułatwia dokonanie takiego wyboru i pozwala skutecznie zagłuszyć pragnienia fizycznego pojawiania się w miejscach, które przecież możemy z bliską ideału dokładnością obejrzeć, a nawet poczuć.

Pomimo tego zamknięta formuła Ketry od samego początku budziła ogromne kontrowersje. Przypomnijmy, jej mieszkańcy są uprawnieni do opuszczenia miasta tylko w dwóch ściśle określonych okolicznościach: gdy istnieje bezpośrednie zagrożenie życia, a stosowna pomoc nie może zostać udzielona w granicach miasta Ketra; oraz gdy fizyczna obecność danej osoby poza murami Ketry jest wymagana do ocalenia innego życia. We wszystkich innych przypadkach opuszczenie Ketry jest równoznaczne ze zrzeczeniem się obywatelstwa i rezygnacją ze wszystkich przywilejów przysługujących mieszkańcowi. Na wieść o ustanowieniu tego prawa przez Kanu Rettera krytycznie nastawieni do przedsięwzięcia naukowcy prześcigali się w podawaniu negatywnych przykładów eksperymentalnych społeczeństw, które w najlepszym wypadku kończyły się absolutną porażką, w najgorszym – tragedią pociągającą za sobą setki ofiar. Sam Retter zaadresował te obawy w swoim wystąpieniu z 9 września 2024 roku, twierdząc, że „(...) to wszystko jest prawdą. Nigdy wcześniej nic podobnego nie miało prawa się udać. Dopiero człowiek XXI wieku jest gotowy mentalnie, posiada odpowiednią wiedzę i technologię, aby wybiec naprzód z szeregu tradycyjnych modeli społecznych i zacząć budować przyszłość. Drodzy państwo, to nie mieszkańcy Ketry występują tu w roli »tych innych«, »tych odizolowanych od świata«. To właśnie państwo i cały wasz świat, który odgradzamy od siebie wysokim murem, będzie musiał niebawem nadrobić braki i dogonić postęp, którego już w tym momencie jesteśmy wyznacznikiem. Zamknięte bramy Ketry są symbolem zniewolenia tylko dla osób żyjących staroświeckimi wartościami. Prawda jest taka, że symbolizują one jedność i poświęcenie. Jeżeli Ketra ma być wielka – a wiem, że tak będzie – o jej sile będą stanowić oddani mieszkańcy, zjednoczeni wizją stworzenia – i nie boję się użyć tu tego słowa – doskonałego społeczeństwa przyszłości. Dlatego tu nie może być mowy o pólśrodkach i ustępstwach. Albo jesteś z nami, podejmujesz to wyzwanie, albo nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ketra zawsze daje ci ten wybór. Więc myśl i wybieraj”.

Pionowa linia gaśnie, pozostawiając ogromny symbol „V” miękko rozmyty w mgłach wieczornego nieba. V jak Vincent. Dwie grube szramy wryte na doskonałej fasadzie ukrywającej bezradność. Ale to nie o tym jest dzisiejszy wieczór.

Dziś gra muzyka.

Zaciemniam szyby limuzyny, poprawiam mankiety bardzo drogiej koszuli pokrytej wzorami w dowolnie modyfikowanym kolorze, którą kupiłem sobie specjalnie na tę okazję.

– Zobaczmy, co z tego wyjdzie – mówię do siebie.

Kierowca limuzyny pruje środkiem ulicy, zjeżdżając na pas dla aut jadących z naprzeciwka tylko wtedy, gdy na drodze wyrasta wysepka lub sygnalizator.

Oczywiście, że jesteśmy spóźnieni. Pierwotny plan zakładał rozpoczęcie koncertu wraz z pojawieniem się nowego symbolu na wieżach Ketry. Na szczęście rock'n'rollowy kodeks nie przewiduje, że ktokolwiek jest gdziekolwiek na czas ani, tym bardziej, że dociera tam trzeźwy. Tego się trzymamy.

Piętnaście czerwonych świateł później parkujemy wreszcie pod klubem Jazzgod słynącym z wpuszczania na swoją scenę tylko artystów grających na żywo. Nie zobaczymy tam hologramów wirtualnych piosenek, nie usłyszymy wygładzonych i wypolerowanych dźwięków przepuszczonych przez tysiąc filtrów albo odtworzonych z playbacku. Zamiast tego każdy, kto zdecyduje się zapłacić dość nierozsądne pieniądze za bilet, może mieć pewność, że muzyka, której tu doświadczy, będzie pełna niedoskonałości, potknięć, okazjonalnych fałszów. Pełna życia. Dokładnie taka, jaką była dziesiątki lat temu. Słyszałem legendy o tym miejscu, jeszcze mieszkając w strefie A. Gdy tylko Leonard zgodził się na zmianę koncepcji występu, klub Jazzgod stał się naturalnym wyborem.

Wysiadam na mokry od deszczu chodnik. Kolejka przed wejściem musi mieć dobre sto metrów. W środku już dawno brakuje miejsca, a ludzie wciąż tłoczą się, licząc na... sam nie wiem na co. Mijam ich wszystkich. Pewnym krokiem podchodzę do obrotowych drzwi, które jak na rozkaz zaczynają kręcić się wokół własnej osi.

– Zapraszamy do VIP roomu, panie Welkin. – Ogromny ochroniarz spowalnia drzwi swoją przypakowaną grabą, tak żeby mnie tam przypadkiem nie przytrzasnęły.

Nie odwracam się, ale doskonale wiem, jaką minę muszą mieć wszyscy ci przemoknięci, zmarznięci ludzie na chodniku, gdy tak sobie tam wążę powoli w mojej koszuli w czerwono-czarne wzory.

W środku jest dokładnie tak, jak sobie to wyobrażałem. Surowo, prosto, ale też elegancko. Jedynym dotykem nowoczesności są duże ekrany zamontowane po bokach sceny, dzięki którym osoby z końca widowni mogą dokładniej zobaczyć grymas wysiłku na twarzy fałszującego wokalisty. Są one potrzebne także dlatego, że wszelkie urządzenia rejestrujące i wyostrzające obraz i dźwięk nie będą tu działać. Dbają o to specjalne procesory, które zagłuszają sygnały emitowane przez przenośne urządzenia

elektroniczne. Lepiej nie przychodzić tu w soczewkach albo ze sztucznymi kończynami. W obu przypadkach może być trudno trafić z powrotem do wyjścia.

Kontynuuję moją podróż przez tłum w kierunku VIP roomu. Na scenie mrok i nieme instrumenty. Rozpoznaję gitarę, dwugryfowy bazantar, jest jeden fortepian, skrzypce, perkusja, gravikord i coś, co wygląda jak diesel harp, ale nie jestem pewien. Na honorowym miejscu, na samym szczycie zajebistego statywu w kształcie splecionych gałęzi spoczywa wyłączony mikrofon.

– Jesteś.

Jahred otwiera przede mną drzwi. Wyjątkowo nie unikam wymiany spojrzeń. Chcę sprawdzić, czy wywołam jakąkolwiek reakcję. Może on zrobi wreszcie cokolwiek i pokaże mi, że coś się zmieniło.

Nie tym razem. Ed jest jak posąg. Wielki, czarny posąg, z którego wydobywa się jedynie głęboki, wibrujący pomruk – odgłos nieustającej medytacji. Jego oczy nie patrzą na mnie, ale przeze mnie, na wylot. Jego uszy słyszą inną melodię.

Wewnątrz pomieszczenia dla VIP-ów jest tak najarane, że ledwo widać jego drugi koniec. Po kilku sekundach błędzenia w oparach gęstego dymu udaje mi się odnaleźć Leonarda, który oparty o wielką szklaną ścianę wysysa z papierosa ostatnie toksyczne chmury. Jego nieobecny wzrok przesuwają się po tłumie ludzi tłoczących się pod sceną.

Podchodzę. Bez słowa, bo nie chcę zburzyć jego skupienia.

– Kurwa mać – zwraca się do mnie.

– Cześć, Leo. Coś się stało?

– Prawdopodobnie zapomniałem powiedzieć służącej, żeby dała psu tabletki na odrobaczenie.

Nie próbuję nawet zgadywać, w jaki sposób moja obecność mogła przywołać tę myśl w jego głowie.

– A już się bałem, że przejmujesz się koncertem – mówię.

– Koncertem? Pieprzyć koncert. Odwołuję to gównu.

– Fantastycznie. Szkoda tylko, że wszyscy ci ludzie już tu przyszli. – Pokazuję tłum za szybą.

– Wiesz, kim oni są?

– Nie miałem przyjemności poznać.

– To pieprzeni blogerzy. Zjechali tu z całej Ketry, bo to podobno najważniejsze wydarzenie kulturalne ostatnich miesięcy i nie ma możliwości, żeby go doświadczyć inaczej niż tu, teraz, w tym spoconym tłumie. Zamiast słuchać muzyki, będą robić notatki.

– To chyba dobrze, co? Zależy nam na rozgłosie?

– Też... – ucina, odwracając się tyłem do widowni.

– Też? A na czym zależy nam najbardziej?

– Hm... – Leonard zamyśla się, rozcierając resztki popiołu pomiędzy palcami – na stówę zapomniałem o tych tabletkach – mówi i odchodzi w głąb pomieszczenia.

Uśmiecham się do siebie. Wszystkie te słowa, których nie mogę powiedzieć głośno, by nie obalić mitu twardego, przeliczającego wszystko na kasę skurwiela, utknęły w podrażnionym od dymu gardle. Ale wprawne oko dostrzeże to, co ja. W gestach, którymi zbiera swoją ekipę z VIP roomu, w słowach, którymi zagrzewa zespół do zostawienia „flaków i spermy” na deskach tej sceny. W spojrzeniu, którym ogarnia publiczność na sekundę przed tym, zanim pierwsze dźwięki zabiorą ich wszystkich w podróż.

Zależy mu.

Łoża pustoszeje. Ja też postanawiam zmienić otoczenie i poszukać miejsca, w którym atrakcyjne panie podają drinki, a powietrze występuje w swoim regularnym stanie skupienia.

Minutę później loguję się przy barze, tuż obok wielkiego, łysego jegomościa, któremu rozpoznanie mnie zajmuje więcej czasu niż zwykle.

– Robert? Mam dzisiaj wolne – mówi, zamawiając następną kolejkę dla siebie i towarzyszących mu dwóch równie mocno zrobionych niewiast.

Nie wiem, czy to usprawiedliwienie, czy tylko stwierdzenie faktu.

– I jeszcze jeden dla mojego człowieka, Roberta – drze się w kierunku barmanki.

– Dzięki, Blu – odmawiam. – Zacznę od czegoś lżejszego.

– Jak tam chcesz – rzuca przez ramię i odwraca się do swoich uwalonych adoratorek.

– A co dla ciebie, przystojniaku? – Dziewczyna za barem wbija we mnie zachęcające, perfekcyjnie wyćwiczone spojrzenie, którym poruszyła wyobraźnię niejednego pijanego naiwniaka przede mną. Ja, niestety, z racji mojej poprzedniej profesji, mam tę przypadłość, że jestem odporny na reklamę. Bez emocji przesuwam listę napojów po ekranie.

– Poproszę...

Mój głos ginie przykryty spiętrzoną falą dźwięku generowanego przez przesterowane gitary. Właśnie tak. Bez intra, bez przywitania, bez pierdół Leonard rozpoczyna ten wieczór. Po wiosłach wchodzą bębny, których rytm pulsuje z częstotliwością karabinu maszynowego, na to wszystko narzucone są kolejne warstwy ambientu, doskonale zagęszczające i tak już trudną do spenetrowania powierzchnię. Powyżej tej ważącej miliard ton, technicznie doskonałej, bezlitosnej maszynerii, niczym kurz nad polem bitwy, unosi się jego głos. Ochrypnięty, podawany z mocarną pewnością

siebie i zaskakująco melodyjny. Ubrany jedynie w naturalne echo tworzone przez akustykę pomieszczenia.

Niebieski.

Nie jestem w stanie logicznie wytłumaczyć, dlaczego akurat kolor i dlaczego akurat ten, ale to jedyne, o czym mogę myśleć, słuchając Leonarda. Wrażenie jest tym silniejsze, bo słyszę go po raz pierwszy.

Nie pofatygowałem się na ani jedną próbę. Podszedłem do tematu zgodnie z zasadami starej szkoły reklamy – trzymaj się z dala od produktu, bo im mniej o nim wiesz, tym większe bajki jesteś w stanie o nim napisać, bo to nie produkt masz sprzedać, ale wyobrażenie o nim. Nie płacisz za auto, ale za prestiż, który ono reprezentuje, nie ściągasz oprogramowania, tylko spokój umysłu, nie słuchasz muzyki, lecz oddajesz się nastrojowi chwili, która stanie się dla ciebie kiedyś wspaniałym wspomnieniem. Tak. Dokładnie tak miało to zostać zrobione, krok po kroku, według podręcznika. A później stało się coś niewyobrażalnego i muzyka przestała być produktem. Stała się aktem samym w sobie, stworzonym z potrzeby tworzenia, zaadresowanym do nikogo.

– Wezmę jednak whisky – mówię w przerwie pomiędzy kawałkami.

Rozglądam się po twarzach w tłumie. Sądząc po ich zmieszanych i zaskoczonych minach, raczej nikt nie spodziewał się tak brutalnego spektaklu. Odartego z otoczek, rozbitego do cząstek elementarnych. Prymitywnego w założeniach i bezlitosnego w egzekucji. Biorę pierwszy łyk, obserwując Leonarda, który podchodzi do krawędzi sceny i napawa się widokiem.

– Dobry wieczór państwu – mówi, robiąc głęboki, lecz wciąż nonszalancki ukłon.

Sporo osób zaczyna klaskać. Więcej interakcji z publicznością nie ma.

Leonard opiera się na statywie, zamyka oczy, a może raczej otwiera je do wewnątrz, żeby lepiej odbierać wizje, którymi napędza swój performance, rytmicznym bujaniem nadaje tempo utworowi i ponownie zalewa publiczność ochryplą, niebieską falą.

– No i so? – Utwór jest spokojniejszy, więc Blu udaje się przekrzyczeć dźwięki.

Rozglądam się po publiczności, która wbrew oczekiwaniom Leo zwraca uwagę na to, co dzieje się na scenie. Jest sporo skaczących osób, dostrzegam też kilka par, które się obejmują, człowiek przede mną trzyma ręce wyciągnięte ku górze, jakby chciał powiedzieć: „Tu jestem, daj mi więcej”. Każdy interpretuje to po swojemu. Chwile pomiędzy utworami wypełnia ożywiona wymiana opinii.

– Myślę, że ludzie to kupują – mówię.

– Nie o to pytam, szłowieku. Co z tą twoją, jak jej tam...

Gorzki łyk. Pusta szklanka ląduje na blacie przed barmanką, która natychmiast wypełnia ją kolejną porcją absurdalnie drogiego łyskacza, za którego nie muszę płacić.

– To skomplikowane – mówię.

– Bedzie tu zisiaj?

– Myślę, że już się więcej nie spotkamy – odpowiadam.

Hukiem kolejnej pustej szklanki stawiam kropkę w tym zdaniu. Barmanka spogląda na mnie nieco zaskoczona, ale robi swoje. Blu zsuwa jedną z dziewczyn ze stołka, szykując mi miejsce tuż obok siebie.

– Widzę, że muzimy pogadać...

Pierwsze, tępe uderzenie alkoholu rozlewa się znieczulającym ciepłem po głowie i plecach, więc po prostu siadam tam i opowiadam mu o naszych nocnych rozmowach, o spotkaniu i zamkniętych drzwiach. O niej. O mnie. O nas, których nie było i nie będzie. Wyrzucam przed niego ciężkie, szare słowa w akompaniamencie apokaliptycznego hałasu sączącego się ze sceny. Blu przyjmuje to wszystko ze spokojem, bierze głęboki oddech, przepija wodą, potem sokiem, jeszcze przez chwilę analizuje w nawalonej głowie wszystkie niuanse naszej dziwnej znajomości, po czym całkowicie stanowczym tonem oznajmia:

– To suka.

Nalewamy sobie po kolejce – każdy swojej własnej trucizny – wznosimy toast za zdrowie wszystkich suk, po czym subtelnie zmieniam temat, kierując uwagę Blu ku jego partnerkom.

– Superdziewczyny. Poznałem je wczoraj i zaprosiłem na koncert. Przyjechały tu z południa robić karierę.

– Fajnie – odpowiadam w ich kierunku, ale one nie śledzą naszej rozmowy, więc nie mogą wiedzieć, o co mi chodzi.

Zamiast tego rzucają po jednym słodkim uśmiechu. Dobre i to. Blu powolnym ruchem zwleka się z miejsca.

– Popilnuj mi ich, muszę iśssie odlać – mówi i znika w roztańczonym tłumie.

– No i jak tam na południu? – zagaduję do siedzącej bliżej mnie zgrabnej blondyneczki.

– Ciepłej i nudniej – mówi, po czym odwraca się do mnie plecami i kontynuuje rozmowę ze swoją koleżanką.

Ja opróżniam kolejną szklankę.

Rytm. Jak bicie serca, tłucze parami uderzeń coraz głośniejsze, rozpędza się.

Na tym tle Leonard maluje swoim głosem najdziwniejsze krajobrazy. Szalone słowa opowiadające historie podróży przez „niedalekie pustkowia”, na których „płonęły drzewa

i topniało niebo”. Jego oczy są przymknięte, on cały zatracony w dźwiękach i słowach. „A gdybym dziś w nocy umarł” – krzyczy swoim niebieskim głosem nad ścianą hałasu – „pochowajcie mnie w pudełku po butach i z moim zmumifikowanym kotem. Po trzech dniach się odrodzę. Wykopany z ziemi i z pornograficzną koroną na głowie”.

Czy coś takiego.

W tłumie przemyka mi masywna sylwetka czarnoskórego olbrzyma. Poznaję go po świecących bladym światłem fluorescencyjnych tatuażach. Widzę go tylko przez ułamek sekundy, po czym, jak zawsze, rozplywa się w mroku. Szaman, którego kroków nie słyszę, którego motywy wciąż pozostają dla mnie zagadką. Ale nie o tym jest dzisiejszy wieczór.

Dziś gra muzyka.

Głośno. Surowo. Nie zdziwiłbym się, gdybym wyszedł teraz na zewnątrz i zastał tam 2015 rok. Gorącą noc wypełnioną spalinami benzynowych samochodów. Płaski krajobraz. Jest coś dziwnego w tym miejscu, w tej muzyce, w sposobie, w jaki zostaje podana. Doprawdy, nie mam, kurwa, pojęcia, jak wyglądał 2015 rok, ale jeżeli miałbym go sobie wyobrazić, to właśnie tak jak to.

– Gdzie laski?

Blu opada ciężko na stół przy barze. Odrywam wzrok od sceny, na której Leonard wyśpiewuje w kierunku publiczności kolejną ze swych szalonych opowieści, wskazując dłonią tworzącą gest pistoletu prosto na mnie. Po dziewczynach ani śladu.

– Może zrobiło im się zimno? Może za dużo wrażeń? – mówię.

Blu wzrusza ramionami i proponuje kolejkę. Barmanka przestaje się uśmiechać. Po prostu otwiera kolejną butelkę pięćdziesięcioletniego Glenfiddicha i bezceremonialnie wypełnia moją szklankę.

– Za Ketkę – wznoszę toast – miejsce, w którym zdechnę.

– Śmietnik tego świata.

Blu oblewa się kolejno wódką i sokiem.

– Jak go nie kochać? – krzyczy, pokazując na scenę. Ma na myśli Leonarda, Ketkę albo jedno i drugie.

Bo on jest nią. I na odwrót.

To miasto.

Szalone, brudne i niedoskonałe pędzi 299 796 kilometrów na sekundę we wszystkich kierunkach jednocześnie, tworząc przy tym niesamowity spektakl. W tym mieście możesz zostać każdym. Mordercą, artystą, dziwką, świętym i szalonym. Im dłużej tu tkwię, tym bardziej sam nasiąkam tą toksyczną wolnością, która pozwala mi zrobić z sobą cokolwiek. Codziennie rano wstaję, spoglądam w lustro i odkrywam nowy

fragment siebie. Niektóre z tych fragmentów mi się podobają, innych wolałbym nigdy nie poznać.

Blu przybija gwoźdźnia na barze. Udaje mi się przekonać zmęczoną nami barmankę, żeby nie wzywała ochrony, i zostawiam go tam razem z niedopitym drinkiem. Tłum natychmiast wchłania mnie i przesuwają coraz głębiej w kierunku sceny. Jeszcze przez chwilę przeszkadza mi brak tlenu i fruwające wszędzie mokre od potu włosy, jeszcze trochę martwię się o plamy na mojej designerskiej koszuli i obsesyjnie sprawdzam, czy nikt nie zagląda do moich kieszeni, ale ostatecznie nie mam wyjścia. Ja też – wzorem większości tu zgromadzonych – muszę odpuścić i dać się porwać muzyce. Docieram pod scenę akurat na ostatni utwór.

– Napisałem ten kawałek dzisiaj rano – mówi Leonard.

Wszystko zaczyna się wrzaskiem. Kolejne instrumenty ubierają prostą melodię w warstwy. Fala dźwięku błyskawicznie narasta, piętrzy się, by po chwili zważyć się z całym impetem na nasze zaskoczone głowy. Toniemy w kakofonii. Jedynie rytm perkusji, prosty i monotony, zdaje się trzymać cały utwór w kupie. Reszta to opowieść składająca się z niepowtarzających się dźwięków, dzikich improwizacji i odważnych wybiegów w kierunku praktycznie każdego zapomnianego gatunku muzycznego, jaki mógłby być na topie dobre trzydzieści lat temu.

I nagle wszystko cichnie.

Tylko gitara akustyczna i ledwie słyszalne muśnięcia skrzypiec kontynuują swój wątek. Delikatne plamy dźwięku dryfują w gorącym powietrzu. Leonard bierze głęboki, słyszalny wdech i rozpoczyna swoją opowieść słowami: „Miałem rację, miałem rację”. W jego wierszu słońce wschodzi nad płaskim horyzontem, a on sam ma przecucie, którego nie może się pozbyć, żeby dalej przedzierać się przez dzień. Niezależnie od tego, co myślą inni, niezależnie od tego, czy wszystko ci się uda, musisz brnąć dalej i nigdy się nie zatrzymać. To tylko słowa, to tylko dźwięki, a my jesteśmy tylko ludźmi.

I gdy kończy, powtarzając ochrypniętym, ściszącym się do szeptu głosem, jak mantrę, w kółko te same słowa – „w sumie to wszystko, czym wszyscy jesteśmy” – dopiero wtedy dociera do mnie, jakie przesłanie wcisnął pomiędzy wiersze. Przesłanie, które słyszałem już tak wiele razy z tak wielu ust, myśl, która sięga do początków rozumu, przerobiona na milion sposobów przez miliard artystów, odarta ze znaczenia, jak zbyt często powtarzany slogan.

Ale czasem człowiek jest głuchy i potrzebuje usłyszeć to samo po raz milion pierwszy, żeby wreszcie dotarło, żeby wreszcie zrozumiał, że to nie początek ani koniec podróży są najważniejsze, ale droga, którą pokonujemy. Jesteśmy tu i teraz. Nie ma nic poza tym. W sumie to wszystko, czym wszyscy jesteśmy.

Koniec. Dobranoc.

Owacje na stojąco.

Ja też wyrzucam ręce w górę. Drę mordę – „jeszcze jeden, jeszcze siedem” – razem ze wszystkimi. W odpowiedzi Leonard wbija cały statyw mikrofonu w perkusję, definitywnie anulując wszelką możliwość dalszego grania. Jeden ukłon. Jedno pełne dumy spojrzenie przed siebie na rozgrzany, najebany, oszalały tłum. I już jest po wszystkim.

*

Czterech ochroniarzy próbuje podnieść Blu z podłogi i przetransportować jego upitą, bełkoczącą nonsens dupę w kierunku wyjścia. Jego ciało, niczym ogromny balon napompowany wodą, przelewa się przez ich ręce, odmawiając przyjęcia jednolitej formy.

– Pański kolega zwymiotował na bar, a później spadł z krzesła – wyjaśnia barmanka, próbując wytłumaczyć się, dlaczego jednak musiała wezwać roślących chłopców z ochrony.

Czuję się w obowiązku zostawić jej solidny napiwek, więc zamawiam wodę i zrzucam cztery stowy na jej konto.

– Proszę mu wybaczyć, zwykle nie spada z krzesel – mówię.

Ona uśmiecha się, po raz pierwszy szczerze, po czym wraca do swoich zajęć.

Tymczasem ochroniarze w przyływie kreatywności wymontowują drzwi od kibla, a następnie z nadludzkim wysiłkiem pozycjonują na nich ogromne, pochrapujące cielsko mojego kolegi. Ku zaskoczeniu wszystkich metal wytrzymuje obciążenie. I właśnie w ten sposób Blu, niczym upadły król melanżu, niesiony na kloacznej tarczy, opuszcza podwoje klubu Jazzgod.

Ja też mam ochotę zwinąć się do domu. Wejść pod prysznic. Zmyć z siebie ten dzień. Ale w momencie gdy rozlega się za mną głos Leonarda, wszystkie plany biorą w łeb.

– Mój człowiek, Rob! Chodź do nas, chcę ci kogoś przedstawić.

Dwa drinki. Krótka rozmowa o niczym. Kolejne trzy. Później zgadzam się już na wszystko.

Limuzyny pędzą w poprzek miasta, czasem pod prąd. W przyciemnianych szybach przeglądają się smugi czerwonych świateł. Z imprezy na imprezę. Coraz dalej od domu, coraz głębiej w tę zimną, deszczową noc.

– Dokąd my właściwie jedziemy? – ośmielam się zapytać.

Leonard nie odpowiada. Wyjmuje z lodówki limuzyny kolejną butelkę szampana, otwiera ją i wychyla kilkoma haustami z gwinta połowę jej zawartości.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, co sądzisz o koncercie – mówi, puszcżając szampana w obieg.

Oprócz nas w limuzynie znajdują się jeszcze trzy dziewczyny. Nie znam ich imion i wszystko wskazuje na to, że gdybym o nie zapytał, one odpowiedziałyby mi, że tak, jak ja chcę.

– Było dobrze.

– Dobrze? Co to w ogóle znaczy? – pyta urażony.

– Dobrze to dobrze. Nie źle.

– Powoli spływają pierwsze recenzje – mówi, przerzucając kilka transkrypcji na szyby auta.

Doskonale widzę, co jest tam napisane, ale Leonard nie odpuszcza sobie przyjemności cytowania wybranych fragmentów na głos.

– „Eklektyzm to jedno, a chaos drugie. W dzisiejszym występie mojego ulubionego gangstera *celebryty* biznesmena było więcej zamieszania niż podczas ewakuacji płonącego szpitala dla umysłowo chorych. Jeżeli pan Constantine chciał przekazać mi jakiegokolwiek przesłanie, to utonęło ono w morzu przypadkowo polepionych dźwięków”.

– Hm...

– „Brawo dla pana Constantine’a, bo to wymaga jaj, żeby w dzisiejszych czasach ot tak wyjść w miasto z własnym materiałem. Ale samo posiadanie jaj nie gwarantuje dostarczenia masom rozrywki na najwyższym poziomie. Leonard zdecydowanie jest osobowością, jego muzyka – bohaterem trzecioplanowym”.

– Ja bym się nie...

– Poczekaj, ten podoba mi się szczególnie: „Gdzieś pomiędzy utworem o cierpieniach młodego gangstera a tym drugim, o cipkach i bluesie, zaczęłam się mocno zastanawiać, czy ruszać do kasy po zwrot pieniędzy, czy po prostu zacząć zwracać”.

– Nieźle. To muszę zapamiętać.

– Dalej uważasz, że było „dobrze”?

Przeplukuję gardło szampanem.

– Wiesz, jak było? Brudno. Głośno. Twoje teksty to liryczne szambo, do którego wrzuciłeś najbardziej niecenzuralne i absurdalne historie, jakie w życiu słyszałem. Utworom brakowało struktury, a gitarom stroju. Cała kapela wyglądała jak stado przypadkowych koleśków, którzy przyszli tu zagrać parę kawałków, ale właściwie to bardziej woleliby ponapieprzać się z widownią... Gdyby dwudziestowieczni punkowcy mogli cię dzisiaj usłyszeć i zobaczyć, zapłakaliby ze wzruszenia. To nie była muzyka dla

każdego, właściwie nie wiem, czy to w ogóle była muzyka, ale, do cholery, emocji nie zabrakło.

Jeszcze przez chwilę muszę wytrzymać pod naporem jego przenikliwego i lekko pijanego spojrzenia, zastanawiając się, czy przybijemy piątkę, czy da mi w mordę za ten komentarz. Leonard wkłada do ust papierosa i wyciąga w moją stronę swoją dłoń.

– Dziękuję ci, Rob – mówi, dmuchając mi w twarz dymem. – Bez ciebie by się nie udało.

Po kolei wyłącza wszystkie recenzje z szyb, w których znów pojawia się pędząca sto dwadzieścia kilometrów na godzinę panorama miasta.

– To dokąd jedziemy? – pytam ponownie.

– Zobaczysz – odpowiada i uśmiecha się w złowieszczy sposób.

*

Dwadzieścia minut później opadam miękko na czerwoną skórzaną kanapę, pomiędzy dwie nieznajome niewiasty, które z polecenia Leonarda mają się mną dobrze opiekować. Kostki lodu brzęczą w drinku, z głośników dudni muzyka, za plecami wybucha gromki śmiech. „Lost Angels”. Serce nocy pompujące mrok tego miasta. Idealne miejsce, by stracić resztki rozumu i dać się pochłonać zapomnieniu. A zapomnienie jest tym, czego dzisiaj potrzebuję. Z każdym kolejnym drinkiem zbliżam się do momentu, w którym będzie mi wszystko jedno. Chcę się zresetować, zacząć od czystej białej karty. Obudzić się rano w innej rzeczywistości, z dala od pierdolonej Ketry. Mieć znów dziesięć lat, własny pokój wytapetowany plakatami muzyków, za ścianą rodziców wołających mnie na śniadanie, za oknem błękitne niebo niezastłonięte wieżami. Zostać Robertem, którego nigdy nie było. Tym, który idzie przez życie spokojnym krokiem, unikając włożenia w gówno. Ale nieważne, jak mocno napierdolę się dzisiejszej nocy, alkohol nie przeniesie mnie do innego wymiaru. Rano obudzę się w tej samej skórze, może nieco bardziej podartej. Świadomość tego ciąży mi jak kamień przywiązany do szyi. Świadomość tego, że nie ma ucieczki przed samym sobą.

– No i jak? Zrobisz to?

Dopiero teraz zauważam, że Leonard od dłuższej chwili coś do mnie mówi.

– Ja nie zrobię? – pytam retorycznie, nie wiedząc, o czym właściwie jest ta rozmowa.

Dziewczyny podskakują z radości, wydając z siebie przeciągły, wysoki pisk. Leo zrywa się z miejsca, pokazuje gestem: „za mną” i ciągnie nas wszystkich na zaplecze. Chwila – na co ja się właściwie zgodziłem?

– Urządzenie nie jest jeszcze doskonałe, podobno niektórzy wracają permanentnie odmienieni – wyjaśnia, prowadząc nas wąskim, ciemnym korytarzem – co nie zmienia faktu, że udało mi się je opchnąć już kilku osobom za grubą kasę.

– Co takiego? – pytam.

Leonard spogląda na mnie zdziwiony, po czym kontynuuje:

– Nie jesteśmy do końca pewni, jak to działa. Pomyśl o tym jak o śnie, tylko takim superwyraźnym. Wszystko, co śniesz, powstaje na bazie tego, co wiesz. Tu jest tak samo. Wspomnienia, marzenia, pragnienia zostają wyeksportowane, zmielone i wpompowane z powrotem prosto do rdzenia. Nie mam pojęcia, co zobaczysz po drugiej stronie – sceny z filmu, który widziałeś przedwczoraj, czy najgorsze koszmary z dzieciństwa. W każdym razie będziesz tam, będziesz czuł zapach tej starej rudery, w której wyjaraleś pierwszego skręta. Ech, to były czasy – mówi coraz bardziej rozmarzonym głosem.

Jest już zbyt późno, by zrezygnować. Siadam w fotelu, biorę do ręki szklanekę czarnego płynu. Aparatura podaje, że mam lekko podniesioną temperaturę ciała, a zawartość alkoholu w moim krwiobiegu wynosi powyżej dwóch promili. Neurosymulacja nie jest rekomendowana. Leonard wprowadza jakieś zmienne. Mechaniczne ramię umieszcza nade mną półprzezroczystą kopułę pokrytą od wewnątrz jakimś dziwnym żelem.

– *Bon voyage*, Rob! – krzyczy Leo i uderza dłonią w monitor.

Kopuła opada na moją głowę.

Spadam.

Przez ciemność.

Moja czerwono-czarna koszula łopocze na wietrze. Próbuję odwrócić się, by spojrzeć w dół. Sprawdzić, w kierunku czego zmierza moje rozpędzone ciało. Tylko gdzie jest dół? Brak punktów odniesienia sprawia, że nie jestem w stanie stwierdzić nic poza tym, że się przemieszczam. Spadanie trwa już jakiś czas. Minutę, może godzinę? A może zawsze tu byłem? Może nie ma nic poza spadaniem? Tylko grawitacja jest prawdziwa. Grawitacja, ja, moja koszula łopocząca na wietrze.

I nagle wyczuwam TO. Delikatną woń, niczym ulotne wspomnienie, która wpełza przez nos prosto do mózgu i otwiera odpowiednie zapadki. To sól. Morska sól. Skąd?

Uderzenie wygina moje ciało niczym bezwładną kukłę. Ból przyćmiewa zmysły. Zatrzymuję się w miejscu. Nie mogę oddychać, najmniejsze ruchy przychodzą z największą trudnością, jakbym ważył tysiąc ton. Z całych sił próbuję otworzyć oczy, dostrzec cokolwiek w mokrej, ciężkiej ciemności, która napiera na mnie ze wszystkich stron. Ale ciemność jest niema. Pozbawiona cech. Bezkształtna. Wiem tylko tyle, że

jestem tu sam. I jeśli nic nie zrobię, nie znajdę wyjścia, zostanę tu na zawsze. Więc przedzieram się w przypadkowym kierunku. Macham rękoma, nogami, bez ładu i składu, szukając kontaktu z czymkolwiek. Ale cały czas pozostaję wewnątrz. Oblepiony mokrą ciemnością. Powietrze w płucach powoli zamienia się w dwutlenek węgla, serce goni szalonym rytmem.

Umrę tu.

Nie mogę już nic zrobić.

Moje płuca płoną. Chcę krzyknąć, ale ciemność wciska mi głos z powrotem do gardła. Udaje mi się wydusić z siebie jedynie kilka bąbelków powietrza, które przesuwiają się po mojej przerażonej twarzy i ulatują do góry.

Do góry...

Ostatkiem sił rozgarniam mrok, goniąc ku powierzchni. Wiem, że mogę nie mieć dość sił, że mogę być zbyt głęboko, ale skoro znam kierunek, co innego pozostaje? Tylko walczyć. Zamykam oczy i usta. Jeszcze jeden ruch, jeszcze dwa, zanim powiem sobie, że już wystarczy. I nagle, gdy moja wola słabnie pod naporem zmęczenia, mózg wyłącza się z braku tlenu, a serce zatrzymuje, nagle noc wypełnia się światłem, a dłonie przelatują przez nicłość.

Wyływam na powierzchnię.

Niebo jest równie błękitne jak ocean. Podnoszę się z kolan, kaszląc i rzygając morską wodą. Z najwyższym trudem wychodzę na brzeg i padam twarzą w rozgrzany piasek. Słyszczyć szum fal i drące się mewy. Nie mam siły się obrócić. Nie jestem w stanie już nic więcej zrobić. Wiem tylko tyle, że ocalałem. Moje myśli dryfują, czuję, że zabiera mnie sen, ale zanim to się stanie, słyszę jeszcze wyraźnie głos mojej mamy, która mówi:

– Robert, zdejmij koszulkę, opal sobie plecy.

Leonard przygląda mi się z największą uwagą. Próbuję wstać i ruszyć w jego kierunku, ale moje ręce nie są w stanie utrzymać się ramion fotela. Jestem pijany. Nawalony w trzy dupy. Dopiero teraz to czuję.

Jeszcze chwilę zajmuje mi poukładanie sobie w głowie faktów. I choć przychodzi mi to z najwyższą trudnością, ostatecznie daję sobie wmówić, że to jest rzeczywistość. Jedyna i ostateczna. Moje życie toczy się dalej gdzieś na tyłach knajpy, w dusznym pokoju bez okien, o czwartej nad ranem.

– No i jak było? – pytają zaciekawieni. Nie jestem w stanie tego skomentować, używając znanych człowiekowi słów. Wracamy na salę. W spoconej dłoni łąduje kolejny drink. Kostki lodu brzęczą w naczyniu. Trzęsę się, jakbym miał hipotermię. Jakbym faktycznie spędził ostatnie dwadzieścia minut w lodowatym oceanie.

– To cię powinno rozgrzać – dziewczyna szepcze mi do ucha i jak gdyby nigdy nic siada na mnie, zrzucając z siebie bluzkę. Jej koleżanka z kolei próbuje ściągnąć ze mnie części garderoby. Spoglądam w kierunku Leonarda, szukając ocalenia, komentarza do sytuacji, czegokolwiek. Ale on sam jest już zajęty trzecią z dziewczyn. Ochroniarze wstają i wychodzą, zasuwając za sobą kotary, izolując nasz przytulny zakątek od reszty klubu. Nie mija pięć sekund, a wszystkie biustonosze lądują na ziemi. Te dziewczyny to profesjonalistki. Nie da się ukryć.

– Chcesz nas naraz czy po kolei? – pyta wijąca się na moich udach blondynka.

– Zastanów się dobrze, czy wytrzymasz. Szkoda by było, gdyby jedna z nas nie dostała tego samego, co druga – szepcze do mnie inny głos.

Ale ja nie mam ochoty angażować się w żadną grę. Rozwalam się wygodnie na kanapie. Biorę łyk whisky i pozwalam im robić swoje. Moje powieki opadają. W ciemności rysuje się niewyraźny kontur kobiety. Jest zbyt daleko, bym mógł stwierdzić, czy idzie do mnie, czy w przeciwnym kierunku. Samotna postać oświetlona snopem światła ulicznej lampy tupie rytmicznie obcasami w chodnik. Przyspieszam kroku, próbuję ją dogonić. Nie wiem dlaczego, ale uznaję, że to ważne, by się z nią spotkać. Im jestem bliżej, tym więcej szczegółów dostrzegam. Jej fioletowe włosy falują na wietrze. Porusza się płynnie i z gracją, w sposób, który znam. Więc gonię dalej. Dziewczyna zbliża się do ulicy. Wchodzi na pasy, zatrzymuje się i obraca w moim kierunku. To Almeida. Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy, zanim pędzące auto zamienia jej ciało w krwawą miazgę.

– Nie!

To nie tak było. Nie tak miało być.

Otwieram oczy. Powoli. Z bólem. Ale to nie światło razi mnie najbardziej.

W tym magicznym momencie jasności umysłu mogę zobaczyć siebie takim, jakim naprawdę jestem. Poznać prawdziwego Roberta Welkina – najebanego, przysypanego stosem prostytutek, z kieszeniami wypełnionymi łatwą kasą i brzuchem pękającym od drogiego żarcia i alkoholu. Roberta, który, obciążony tym balastem, swobodnie i bez walki opada na dno. Almeida miała rację. To ja jestem brudem tego miasta.

Powoli wysuwam się spomiędzy splątanych ciał. Chowam kutasa w spodnie, zapinam koszulę. Dziewczyny wydają z siebie jęk zawodu.

– Nie przejmuj się, zdarza się najlepszym – rzuca Leonard.

– Wyjeżdżam z miasta – mówię.

I, tak jak stoję, obracam się i po prostu wychodzę, zostawiając za sobą dziwki, Leonarda i całe to pomyłone miejsce.

Ulice są puste. Nie pada. Tylko wieje. Wiatr przegania ciężkie granatowe chmury z jednego końca świata na drugi. Mam osiem kilometrów do domu, ale czuję, że jestem sobie winien ten długi, niewdzięczny spacer pod górę. Zbyt długo płynąłem z prądem, przechodziłem życie na łatwym poziomie. Teraz trzeba będzie się wykazać.

I gdy zziębnięty, zmordowany i kompletnie skacowany, docieram dwie godziny później na swoją ulicę, w głowie mam już ułożony cały plan ucieczki. Siadam na krawężniku pustej jezdni, uspokajam oddech, jakbym chciał doprowadzić się do porządku, zanim wejdem do domu, chociaż wiem, że nikt tam na mnie nie czeka. Jeszcze chwilę gapię się bez zrozumienia w mokry beton, dopóki nie pojawi się na nim para eleganckich butów.

Podnoszę wzrok.

Czarna twarz na tle pochmurnego nieba. Jahred wyciąga ku mnie swoją ogromną dłoń i pomaga mi wstać.

– Kto, jak nie ty? – mówię mu. – Przyszedłeś się pożegnać?

– Pożegnać – powtarza tonem, w którym nie słyhać pytania.

– Jeszcze dzisiaj wyjeżdżam z tego pieprzonego miasta. Musisz znaleźć sobie kogoś innego do odwalania brudnej roboty – mówię mu.

– Dziewięć osób żyje.

– Powinieneś zbadać swoją głowę, Ed. Ja swoją zresztą też, bo przez chwilę nawet uwierzyłem w to, co mówisz. Ale nic z tego nie było prawdą.

– Sam wybierasz, w co wierzysz.

– Wiesz, w co wierzę? W to, że zdechnę, jak zostanę z wami. Któregoś dnia obudzę się pusty w środku i już będzie mi wszystko jedno. Ty, Leonard, Ketra – wskazuję na błyszczące w pierwszych promieniach słońca szczyty białych wież – jesteście kolejnymi metodami kontroli. Już czas najwyższy spróbować żyć samemu.

Na twarzy Jahreda pojawia się coś minimalnie przypominającego uśmiech. Jeszcze przez chwilę przygląda mi się z uwagą, jakby chciał sprawdzić, czy nie pęknę, nie odszczekam wszystkiego, co powiedziałem.

Ale ostatecznie to on ustępuje.

W geście niemej akceptacji rusza powolnym, ciężkim krokiem w dół ulicy. Zawiodłem go? Zrobiłem dokładnie to, co kazał? Nigdy się nie dowiem.

– *Kwaheri* – mówi do mnie, nie odwracając się ani razu.

– Dawno nie miałem takiego kaca – stwierdza Leonard, przykładając sobie do czoła worek z lodem.

Zajmuję miejsce po drugiej stronie stołu zawałonego żarciem i płynami. Nalewam sobie wody do szklanki.

– Więc co ja tu właściwie robię? – pytam.

– Chcesz odejść z roboty, to poważna sprawa, personalna. Takich rzeczy nie załatwia się przez komunikator.

– Ale żebym musiał się fatygować do ciebie do domu?

– Dzisiaj nie planuję pojawić się w biurze. Troszeczkę za dużo się wczoraj działo. Poza tym chciałem, żebyś zobaczył z bliska wypasy, których się dorobiłem.

Za oknami szklanej oranżerii rozciąga się ogromna, murowana willa wyposażona w cztery baseny i pięćdziesiąt dwie sypialnie (po jednej na każdy tydzień roku). Przed budynkiem zaparkowany jest rząd czarnych limuzyn (po jednej na każdy dzień tygodnia), a w garażach na tyłach spoczywa zakonserwowana część ogromnej kolekcji sportowych aut. Po idealnie ściętej trawie przechadzają się powoli uzbrojeni ochroniarze. Cały teren jest monitorowany przy pomocy skanerów termicznych i posiada tyle tajnych wyjść ewakuacyjnych, że nawet sam Leonard nie zna wszystkich – musiałby potwierdzić z projektantami.

– Bardzo tu ładnie – oznajmiam, nalewając sobie herbaty do malutkiej, fikuśnej filiżaneczki.

– Ładnie to się wczoraj najebaliśmy. Tutaj jest wypas. Wypas!

– Wypas – powtarzam.

– Moja głowa. – Leo zarzuca na siebie kaptur i ściąga sznurki, chowając się w środku.

– To może przejdziemy do rzeczy? – proponuję nieśmiało.

– Tak. Przygotowałem tu sobie raport z naszej dotychczasowej współpracy – mówi, powolnym ruchem odpalając wykresy na jednej z szyb. – Według tego, co tu jest napisane, zarobiłeś dla mnie dwa miliony. Całkiem nieźle. Pięćset pięćdziesiąt tysięcy z koncertu i około półtorej bańki za książkę Navidsona, która zgodnie z moimi przewidywaniami okazała się hitem i niebawem powstanie jej ekranizacja, serial, a także musical. Po odjęciu od tego twojej pensji, mieszkania i innych wydatków zostajemy z kwotą miliona sześciuset tysięcy na czysto. Oczywiście wpakowałeś mnie też w bezsensowne przedsięwzięcie, jakim jest poszukiwanie Vincenta Noira. Do tej pory dział

innowacji przepalił około szesnastu milionów na... właściwie sam nie wiem na co. Zatem w ostatecznym rozrachunku wiesz mi czternaście baniek.

– Co?

– Przyjmuję tylko przelewy.

– Leo, no chyba...

– Jeśli nie dysponujesz taką kwotą, będziesz musiał to odpracować. Takie są me twarde zasady, biały bracie.

– Aaaaaale... – przerażenie i wizja pracy u Leonarda do końca moich dni chwilowo upośledzają moją zdolność mówienia.

– Jaja sobie z siebie robię – mówi, wybuchając śmiechem, po czym natychmiast łapie się za głowę w bólu.

– Uff... To dobrze.

– Ale mam do ciebie jedną prośbę. Co ty na to, żebym cię zwolnił?

– Dlaczego?

– Będzie lepiej wyglądało w papierach.

– Czyich papierach? – pytam.

– Moich. Jeszcze nikt nie odszedł ode mnie dobrowolnie, wszystkich sam zwalniałem. Po co psuć sobie statystyki? Co ty na to, Rob?

– Bez różnicy.

– Fantastycznie. Musimy jeszcze wymyślić powód zwolnienia... hm...

– Może „niepunktualność”? – proponuję.

– „Próba sabotażu reaktora plazmowego” brzmi dużo lepiej.

– Jak tam sobie chcesz.

Leonard wypełnia formularz zwolnienia, dyktuje jeszcze kilka wymaganych danych, po czym przesyła plik do systemu centralnego wydawnictwa.

– To już oficjalne. Jesteś zwolniony. Możesz wypierdalać z mojego domu.

Biorę łyk herbaty i powoli podnoszę się z krzesła.

– No co ty, Rob, przecież żartuję.

– Ciężki masz dowcip na kacu, Leo – mówię mu, ruszając powoli w kierunku wyjścia.

– Dla ciebie: Panie Constantine – poprawia mnie, zmuszając się przez chwilę do zachowania powagi. – Poczekaj, ja też muszę gdzieś być.

Leonard zarzuca na siebie biały płaszcz. Wychodzimy przed dom.

– A tak na serio. Jaki jest plan? – pyta mnie.

– Wieczorem jadę na lotnisko. Wsiadam w pierwszy samolot. Później się pomyśli, co dalej.

- Ominą cię fajerwerki – mówi, wskazując świetliste V na wieżach Ketry.
- Zobaczą w Internecie.
- Ech, ta dzisiejsza młodzież. Tylko Internet i Internet. Nic na żywo nie chcą robić – mówi. – Na którą idziesz stację? – pyta, otwierając bramę.
- Dillingera. A ty? Znow chcesz poprzebywać z plebsem?
- Od czasu do czasu czuję się w obowiązku zaszczyścić go swoją obecnością.
- Podziwiam twój masochizm – mówię mu. – Nie dość, że tam śmierdzi, to jeszcze jest tyle ludzi, że nie da się wejść do wagonu. Jakby mnie było stać na własnego kierowcę, woziłby moją dupę wszędzie.
- Może masz rację... Poza tym Blu wytrzeźwieje dopiero za kilka dni, więc nie mam z kim się ścigać. W takim razie... na razie.

Leonard Constantine podaje mi swoją dłoń. Respekt. Mocny uścisk. Powoli rozchodzimy się w przeciwnych kierunkach. On z powrotem, w stronę swojego bajkowego pałacu, ja wzdłuż wietrznej alei, przed siebie, w nieznane. Przemierzam kilka kroków i spoglądam ostatni raz do tyłu, ale jego już dawno tam nie ma. Otwiera drzwi limuzyny. Rozsiada się wygodnie na czarnej, skórzanej kanapie. Wkłada do ust papierosa i zapala go. Każe kierowcy wyjechać przez główną bramę i skręcić w prawo, dogonić mnie, bo jeszcze chce zamienić ze mną parę słów. Krzyknąć przez okno: „Powodzenia, Rob” albo „Tylko plebs podróżuje z buta”.

Może się mylę. Może on wcale nie chce mnie gonić. Może jest zajęty myśleniem o swoim kacu, o pogodzie, o tym, co dzisiaj zje na obiad. Ale to bez znaczenia, bo w momencie, gdy kierowca wciska zapłon, czarna limuzyna zamienia się w kulę ognia.

Leonard Constantine ginie. Umiera. Jego popioły zabiera wiatr.

Gdy teraz myślę o tym, co się wydarzyło, wszystkie szczegóły powoli zaczynają układać się w całość. Za oknami piękny, słoneczny dzień. Dziwnie ciepły, jak na tak późną jesień. Nawet rozświetlone słońcem i oznakowane nowym symbolem wieże wyglądają mniej przytłaczająco niż zwykle. A może po prostu przyzwyczaiłem się do patrzenia na ich ogrom z perspektywy podłogi?

W mojej szklance woda w dwóch stanach skupienia. Muszę zachować trzeźwy umysł, żeby niczego nie pominąć. Bo chcę pamiętać. Nie tylko to, co wydarzyło się po, ale przede wszystkim to, co miało miejsce przed. Już nigdy się nie spotkamy. Jakie były ostatnie słowa, które do mnie powiedział? Nikt nie zapisuje tych rzeczy. To proza. Codziennosc. Wszystko tak nieznośnie ulotne.

Pamiętam tylko czyjeś ręce podnoszące mnie z chodnika. „Mamy żywego” – mężczyzna pachnący chemikaliami krzyczy nad moją głową, wołając swoich kolegów. Skaner wykrywa, że mam złamane dwa żebra, lekko uszkodzone bębunki uszu i jestem w szoku pourazowym. Lekarz mówi, że to lekkie obrażenia, że jeszcze wieczorem będę w domu, a ja mam to szczerze w dupie. Jedyne, czego chcę, to podnieść się z zasypanego gruzem chodnika i zobaczyć, co się właściwie stało. Ale nie pozwalają mi się ruszyć. Cztery osoby wrzucają mnie na nosze i pakują do karetki, która odjeżdża w kierunku najbliższego szpitala.

Lekarz nie ma racji. Wieczorem opuszczam oddział nanochirurgii, ale wcale nie trafiam do domu, tylko prosto do komisariatu. Gruby policjant z zarośniętą twarzą informuje mnie, że to tylko formalność. Muszę złożyć swoje zeznanie do raportu, nawet jeśli miałyby brzmieć: „Nic nie pamiętam”. Siadam na chybotzącym się krześle w sali przesłuchań, uderzam dłonią w skaner identyfikacyjny i nagle okazuje się, że ktoś taki jak Robert Welkin powinien być martwy. A nie jest.

Sprawy zaczynają się komplikować.

Dwie godziny zajmuje policjantom ściągnięcie z miasta ekipy do spraw danych personalnych. Chłopaki przyjeżdżają do komisariatu tylko po to, by poinformować wszystkich obecnych, że nic nie są w stanie wskórać i najlepiej kontaktować się z działem IT, który może jakimś cudem wyjaśni błąd systemu. Jeśli to się nie uda, będą musieli dostosować rzeczywistość do danych i po prostu strzelą mi w głowę – żartują.

Jakoś mnie to nie bawi.

Dział IT odpowiada na zapytanie po kolejnej godzinie. Według nich logi są prawidłowe. Jestem trupem. W systemie wszystko się zgadza. Siedzący naprzeciw mnie mężczyzna o zarośniętej twarzy podnosi się z krzesła i wychodzi do pokoju za ścianą. Po chwili wraca razem z komendantem, który nie ma problemu ze zidentyfikowaniem mnie.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś tym kolesiem, którego wywalili ze strefy A?

– Tak, to ja – odpowiadam.

– Widziałem ten odcinek. Przegrana sprawa, stary, z tymi lewymi papierami.

Jeszcze przez chwilę muszę wysłuchiwać tyrady o braku moralności w tym przeklętym mieście i o tym, że góra wcale nie różni się od dołu, tylko metody mają bardziej eleganckie. Z tym akurat mogę się zgodzić. Ostatecznie komendant zarządza, że to musi być „coś od nich” i pozwala mi iść do domu, pod warunkiem że do wyjaśnienia sprawy nie opuszczę miasta. Dla pewności rozsyłają moje dane identyfikacyjne na wszystkie lotniska i promy w promieniu kilkuset kilometrów,

skutecznie blokując mi możliwość wyjazdu. Ja w rewanżu podaję im kompletnie zmyślony adres miejsca zamieszkania, którego nie są w stanie zweryfikować.

Zamawiam taksówkę i wracam do domu Leonarda, który wygląda teraz jak jeden wielki krater. Na ulicy gromadzą się ludzie. Ubrana na czarno masa składająca się głównie z zapłakanych twarzy i laserowych świec żałobnych. Ktoś śpiewa piosenkę, inni skandują jego imię. Jedna z dziewczyn zrywa z siebie stanik i rozkłada się topless na stercie kwiatów usypanej pod zrujnowanym murem. Mężczyzna z wiadomości robi jej zdjęcie, które w ciągu następnych pięciu minut obiega świat i trafia na główne strony wszystkich najważniejszych blogów newsowych, a także na plakaty i koszulki. Leonard Constantine – gangster, artysta, jebaka, przedwcześnie zmarły geniusz sztuki i biznesu – staje się ikoną i inspiracją dla tysięcy. W sieci wrze od recenzji jego ostatniego koncertu, który teraz nazywany jest już kamieniem milowym w historii muzyki i jednym z najważniejszych wydarzeń artystycznych połowy stulecia. Pojawia się plan odtworzenia jego występu ze wspomnień osób, które w nim uczestniczyły. Zmobilizowani na szybko eksperci od neuroinżynierii wyjaśniają, że otrzymanie w miarę wiernej wersji niezaśmieconej indywidualną interpretacją jest możliwe, o ile znajdzie się wystarczającą liczbę ludzi. Rusza projekt crowdfundingowy, który w pierwszy kwadrans zbiera czternaście tysięcy procent zakładanego budżetu. Na blogu najbardziej znanego krytyka naszych czasów – Charlesa Eibacha – pojawia się wpis: „Wiadomość o śmierci Leonarda zastała mnie na kiblu. To zastanawiające, jak rzeczy nieważne przeplatają się z ważnymi, tworząc szarą teksturę naszej egzystencji. Pan Constantine był egoistycznym, pozbawionym skrupułów, kompletnie szalonym skurwielem. Uwielbiałem go”.

W tym samym czasie „Forbes” uaktualnia listę stu najważniejszych osób dekady i umieszcza nazwisko Leonarda Constantine’a na czterdziestym czwartym miejscu, tuż przed Aishą Mustafą, pomysłodawczynią napędu kwantowego.

I to wszystko, zanim jeszcze wrócę do taksówki.

Więc jakie były jego ostatnie słowa? Teraz to nieważne. Nie mogłem nic zrobić, żeby go ocalić. Jeśli nawet pojechałby ze mną tym pierdolonym metrem, jeżeli ta rozmowa przebiegłaby inaczej, gdybym nie pojawił się w jego domu tego dnia ani nawet wcale się nie urodził, ta bomba dosięgłaby go i tak. Sam wybierasz, w co wierzysz – powiedział kiedyś Jahred.

Ja wierzę właśnie w to.

Ulice są prawie puste. Wiatr przegania ludzi do domów, zatrzaskuje za nimi drzwi i okna. Ostatni maruderzy snują się po chodnikach z podniesionymi kołnierzami i spuszczoneym wzrokiem. Stawiają niepewne kroki, targani wiatrem, zastanawiając się, co przyniesie jutro. Świetliste IV góruje nad miastem, przypominając wszystkim, że zgrabny tyłeczek dobrobytu wciąż siedzi na tykającej bombie. Absolutny brak komentarza ze strony władz strefy A dodatkowo nakręca spiralę paranoi i mnoży domysły. Na blogach pojawiają się plotki o fali dobrowolnych rezygnacji. Nieoficjalne źródła mówią nawet o czterdziestoprocentowym spadku frekwencji na listach oczekujących. Nagroda za podanie choćby wskazówki prowadzącej do poszlaki, która sprawi, że zostanie ujawniona domniemana tożsamość Vincenta Noira, to już w tym momencie siedmiocyfrowa kwota.

Po drugiej stronie muru znajoma, pokancerowana twarz patrzy na mnie z hologramowego billboardu, próbując nakłonić mnie do kupna biografii „Leonard Constantine – król miasta”. To dobry tytuł. Mocny. Dużo dużych słów. Chociaż gdyby Leo akceptował go osobiście, zapewne dodałby do niego jeszcze kilka epitetów. „Baron biznesu”. „Pierdolony geniusz”. „Dicktator”. Coś w tym stylu.

Wysoko postawione korporacyjne szczury w białych kołnierzykach, którymi Leonard przez lata pomiatał jak zwykłymi szmatami, pewnie ostatnio kiepsko sypiają, kombinując, ile jeszcze uda się na nim zarobić, zanim temat przestanie być modny. Zanim ulica zgłosi się do nich po swoje udziały. To bezkrólewie nie może trwać zbyt długo. Biznes Leonarda to łakomy kąsek i zapewne już teraz, gdzieś za kulisami, na tylnych kanapach limuzyn i w strefach VIP modnych klubów, toczy się gra na słowa, pociski i pieniądze o to, kto dostąpi zaszczytu zasiadania na tronie.

Ludzie to czują. Nawet jeśli wszystko udaje się sprawnie zamieść pod dywan, trupy lądują na dnie rzek, a pozostałe po kulach dziury w ścianach zostają przykryte obrazami w ramach, to i tak nie da się nie poczuć tego chłodnego oddechu na plecach. Czas kończy się nam wszystkim. Nadchodzą zmiany.

Powoli wspinam się na górę, stawiając ciężkie kroki na każdym stopniu. W rękach torby z zakupami. W głowie równie ciężkie myśli. Mam za sobą dwugodzinny spacer pod wiatr i jedyne, o czym marzę, to muzyka, wyro i ucieczka w błogą nieświadomość. Nie zauważam, że na drugim końcu hallu, tuż przy drzwiach do apartamentu ktoś wyczekuje mojego przybycia. Gdy podnoszę wzrok, stajemy praktycznie twarzą w twarz. Postać przygląda mi się przez dłuższą chwilę, próbując odgadnąć, co mogę w tym momencie myśleć. Ale ja nie myślę nic. Zupełnie jakbym dał się złapać w światła pędzącego pociągu, po prostu stoję tam sparaliżowany, czekając na nieuniknione.

– Przybywam w pokoju – mówi Almeida, wyciągając do mnie swoją dłoń.

*

Kostka lodu wyslizguje się z rąk, z głośnym trzaskiem rozbija o blat i ucieka w głąb kuchni. Almeida uśmiecha się. Lekkim, prawie tanecznym krokiem przemierza zaciemniony pokój, oglądając moje rozrzucone ubrania, niepozmywane gary i szczęśliwie wygaszone ekrany przeglądarek. Daje mi chwilę na przygotowanie drinków i pozbieranie myśli.

A potem zasiadamy naprzeciw siebie. Dwie szklanki lądują na stole i zapada długa, niewdzięczna cisza. Naprawdę nie jestem w stanie dodać ani jednego słowa więcej do tego, co już jej powiedziałem, gdy przyszedłem tam z sercem na tacy jak jakiś skończony, zauroczony idiota. Uznaję, że to uczciwe, aby tym razem to ona zaczęła.

– To woda? – pyta, wskazując na moją szklankę.

– Tak – odpowiadam. – Staram się ograniczać chłanie.

– To bardzo dobrze.

– Nie żebym miał z tym kiedykolwiek problem, ale postanowiłem zmienić swoje życie.

– Cieszę się.

– Zacząłem też spędzać więcej czasu aktywnie. Co wieczór staram się wybrać na długi spacer.

– Tutaj w okolicy?

– Tak, przeważnie przechodzę mostem Assange'a na drugą stronę kanału i spaceruję do bulwaru Hawkinga. A później z powrotem przez osiedle. Jest tam bardzo zielono i przyjemnie. To znaczy, o tej porze roku wszędzie wieje... Czy możemy już przestać? – przerywam sam sobie.

– Jasne – odpowiada, uśmiechając się smutno.

– No więc powiedz mi, dlaczego tu jesteś?

Spuszcza głowę, a jej fioletowe loki lądują na stole, jakimś cudem rozsypując się wokół pełnej szklanki.

– Chciałam cię przeprosić – mówi i podnosi na mnie swoje wielkie, błyszczące oczy.

– Zachowałam się źle. Zbyt impulsywnie. Powinna była cię wysłuchać. Z drugiej strony, miałam swoje powody. Najpierw ukrywałeś przede mną, że pracujesz dla gangstera, później twierdziłeś, że w legalnym charakterze, a na końcu zastaliśmy u ciebie w mieszkaniu związanych i torturowanych ludzi. I co ja mogłam sobie wtedy pomyśleć?

– Hej – wtrącam się. – Co to mają być za przeprosiny?

– Wina leży pośrodku.

– Masz rację. Ale dalej się kolegujemy? – pytam.

Almeida obrzuca mnie pochmurnym spojrzeniem, ale dobrze wiem, że robi to tylko na pokaz.

– Pewnie – mówi, wyciągając do mnie swoją dłoń.

Spoglądam na nasze smutne szklanki ze zwykłą wodą, z których nie ubyło ani łyka.

– Wiesz co, może przyniosę coś mocniejszego? – proponuję.

– Myślałam, że się nie doczekam – odpowiada z uśmiechem.

Po chwili wracam do stołu z butelką pełną rudej cieczy i w sto razy lepszym nastroju. Gestem odpalam też jakieś skrzypcowo-gitarowe pitolenie, żeby tworzyło odpowiednią przestrzeń.

– Jest jeszcze jedna sprawa – mówi Almeida.

– Jeszcze coś przeszkrobałem?

– Wiem, jak potwierdzić datę rozwodu twoich rodziców.

– Co?

Przez chwilę wszystko do mnie wraca. Wyrwane z kontekstu, zamazane wspomnienie wspólnego obiadu w niedzielne popołudnie, przy oknie z widokiem na świat. A zaraz po nim dudnienie gumowych pał obijających się o moje plecy w przerwie na reklamę. Tym jest dla mnie Ketra. Bolesnym wspomnieniem, które sprawia, że mówię do siebie i gestykuluję, gdy nikt mnie nie widzi, wyobrażając sobie, jak zrobiłbym to wszystko inaczej, gdybym tylko mógł.

Ale już nie mogę.

– Teraz to bez znaczenia – odpowiadam, rzucając odruchowe spojrzenie na wieże.

Jeszcze tam stoją, blade ze strachu i naznaczone.

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć?

Nie odpowiadam.

– Znam cię, Robercie. Znam cię dobrze. Nawet jeśli nie umiesz tego przyznać przed samym sobą, to niczego bardziej nie pragniesz. Prawda... – Almeida wyjmuję z oka soczewkę i kładzie ją przed sobą na stole – jest gdzieś tutaj.

Na wyciągnięcie mojej ręki.

Prawda zapisana w nanowiązaniach węgla.

Rozwiązanie zagadki, które ostatecznie wyjaśni, czy padłem ofiarą jakiejś gry, czy po prostu miałem pecha. Teraz już nie wiem sam, co gorsze. Wiem tylko tyle, że moneta nigdy nie ląduje na kancie. Czasem po prostu bardzo długo spada.

– Pokaż mi to – mówię.

– Niestety... to nie takie proste.

– To ja już nic nie rozumiem – rzucam zrezygnowany.

- Zacznę od początku. Cztery dni temu zostałeś przesłuchany przez policję.
- Zgadza się.
- Dostałam raport z twojego wywiadu, bo wciąż jestem przypisana do prowadzenia twojej sprawy. Na policji zwykle panuje burdel, ale tego wieczoru sytuacja zupełnie ich przerosła. Najpierw zginął Leonard, a chwilę później okazało się, że mają jeszcze żywego trupa. Nikt nie chciał za bardzo wnikać w temat, więc szybko zaklasyfikowali to jako błąd systemu. Policja wysłała prośbę do Ketry, żeby zaktualizowali swoje dane i uznano sprawę za zakończoną. Ale parę minut później, gdy ty byłeś już pewnie w drodze do domu, Ketra odpowiedziała... nakazem bezwzględnego zatrzymania Roberta Welkina. Jak zgaduję, nie podałeś policji swojego prawdziwego adresu?
- Nie – odpowiadam.
- To dobrze, bo pewnie spędzałbyś dzisiejszy wieczór w bliskim towarzystwie chłopaków z północnej strefy. Zapewniam cię, że nie pogadalibyście o sztuce.
- Domyślam się.
- Do nakazu został dołączony pakiet informacji mających pomóc tutejszym służbom w zidentyfikowaniu ciebie: kilka filmów, karta medyczna, sporządzony przeze mnie rys psychologiczny, ale także dokumenty dotyczące twojego procesu.
- Elektroniczne kopie dokumentów – poprawiam ją. – Średnio zdolny trzecioklasista jest w stanie podrobić na nich sygnatury i spreparować metadane tak, żeby wyglądały na autentyczne. Nic nam to nie daje.
- Masz rację. Same pliki są bezużyteczne, ale na szczęście wszystkie były poparte źródłami. Pakiet informacji umożliwił pełen dostęp do logów, baz danych i raportów Ketry. Jeden z linków był szczególnie interesujący. Prowadził prosto do bazy nagrań z rozpraw sądowych z lat 2024 – 2030. Udało mi się skopiować ją w całości. Niezależnie od tego, kiedy twoi rodzice podpisywali papiery, musieli zostać zarejestrowani. Znajdziemy właściwy film, poznamy odpowiedź.
- Ile tego jest? – pytam, spoglądając na małą, przezroczystą soczewkę spoczywającą niewinnie na stole.
- Jakość nagrań jest zbyt słaba, żeby poddać je automatycznemu rozpoznawaniu twarzy. Co więcej, szyfrowanie pozamieniało nazwy plików w przypadkowe ciągi znaków. Nie mamy innej opcji niż przeszukać je w starym, dobrym stylu.
- Ile materiału, Almeida? – pytam ponownie.
- Dziewięćset dni.

*

Zarośnięty mężczyzna w dziwnie obcisłym garniturze zrywa się zza ławy oskarżonych, energicznie przeskakuje stolik i kilkoma ogromnymi susami pokonuje dystans dzielący go od sędzi odczytującej wyrok. Kobieta podnosi wzrok dokładnie w momencie, gdy ręka oskarżonego zaciska się w pięść tuż przed jej gardłem. Ochroniarze odciągają mężczyznę do tyłu, przewracają na plecy i przez następne pięć minut sumiennie napieprzają gumowymi pałami.

Ale rozwody i tak są najlepsze.

Są pary, które się kłócą, pary, które płaczą, takie, które się wyzywają, i takie, które kompletnie się ignorują. Ale nic nie przebije tych, które wybuchają radością. Jest coś zabawnego i zarazem budującego w widoku ludzi, którzy wreszcie zdecydowali się wzajemnie nie unieszczęśliwiać. Ten magiczny moment, w którym kobieta podchodzi do swojego – byłego już – męża, spogląda mu głęboko w oczy i się uśmiecha. Po prostu uśmiecha. Po raz pierwszy od miesiący. I on też patrzy na nią, wypełniony absolutnym spokojem i zrozumieniem. Razem wypływają na powierzchnię, młodnieją. Wypełnia ich radość, którą wyrwali z powrotem od życia.

Być może następnego dnia obudzą się w pustych łóżkach, do których już powoli zaczęli się przyzwyczajać, i po raz pierwszy poczują, że jednak czegoś im brakuje, że może to był błąd. Ale teraz liczy się tylko ta chwila, gdy są pewni, że wszystko już będzie dobrze.

– Hej, czy ty widzisz, co tu się dzieje? – pytam Almeidy.

– Taak... – odpowiada, otwierając na chwilę oko i mocniej wtulając się w poduszki na kanapie.

Kończę jej niedopitą whisky. Zatrzymuję odtwarzanie. 120 filmów za nami, 86 276 przed. Nawet oglądając po kilka sekund z każdej rozprawy, nie będziemy w stanie przerobić całości materiału do końca tygodnia.

Nie wiem, czy mamy tyle czasu.

Jeśli nie policja, to agenci Ketry prędzej czy później zapukają do moich drzwi. Wyciągną ten adres z gardła komuś na mieście albo wykradną z kont Leonarda. Almeida też na pewno pozostawiła po sobie wystarczająco dużo śladów, kopiując bazę danych. To tylko kwestia czasu, jak wszyscy trafimy na przesłuchanie. Chciałbym mieć do tego czasu odrobione lekcje domowe, tak żebym wiedział, co odpowiadać. Ale z fragmentów informacji, które znajduję, nie układa się nic sensownego. Mój ojciec. Ja. Ketra. Agenci. Im więcej w tym grzebię, tym mniej rozumiem.

Dzisiaj też już nic sensownego nie wymyślę.

Przyciemniam światło. Almeida śpi na kanapie. Mojej kanapie. Myślę sobie, że fajnie by było nakryć ją jakimś kocem. Ale ja nie mam koca. Nigdy nie miałem. Koce

wyginęły dawno temu. Gestem podkręcam temperaturę w tej części pokoju na dwadzieścia jeden stopni. I robię to równie opiekuńczo.

Budzę się w środku snu. Jednego z tych, w których strzępy wspomnień i wyobrażeń polepione parującym alkoholem mieszają się w ciężkostrawną zawiesinę absurdu. Tej nocy nakręcałem setki analogowych zegarów w wielkim starym domu. Biegałem z pokoju do pokoju po stromych, drewnianych schodach, tupiąc w rytm ich tykania, nieustannie poganiany przez wizję eksplodującego budzika. Mamy, do cholery jasnej, 2049 rok. Dlaczego nikt jeszcze nie wie, jak to wyłączyć. Albo chociaż kontrolować?

Wstaję. Niepewnie. Powoli rozpędzam swoje kroki w korytarzu, sporadycznie wspierając się o ścianę. Z potarganymi włosami, z odcisniętą na policzku fakturą poduszki i z wczorajszym oddechem wkraczam do kuchni.

– O, wstałeś – mówi do mnie Almeida, kompletnie mnie zaskakując.

Spoglądam w dół. Przynajmniej mam na sobie gacie.

Ona też nie jest w kompletnym stroju. Ma na sobie mój szlafrok. Dużo za duży. O ile jego dolna część zasłania jej smukłe nogi, pozostawiając wszystko powyżej kolan domysłem, o tyle dość luźne wcięcie dekoltu spotyka się dopiero w dolnej granicy piersi, odsłaniając wiele z ich naturalnego piękna.

Staram się nie gapić.

Dłużej niż minutę.

– Wrzuciłam rzeczy do pralki – mówi, nalewając mi kubek kawy.

Kubek kawy. Kawa. Dla mnie. Jest ktoś, kto robi dla mnie kawę rano. Dzisiaj. Teraz. Moje serce wypełnia się ciepłem do pełna. Już wiem, że przepadłem.

– Jasne – odpowiadam, siadając przy stole. – Jak się spało?

– Dobrze, ale krótko. Ech, szalona noc – mówi, udając rozmarzenie.

– Odpadłem zaraz po tobie, tuż po sto dwudziestym filmie.

– Idzie powoli, ale dzisiaj mamy cały dzień. Ja będę obrabiać pliki, a ty będziesz wypatrywał starych. Zamówimy jakieś żarcie, zrobimy sobie przerwę na spacer, żeby nie zwariować. Zobaczysz, do wieczora zrobimy pięć tysięcy plików. Albo będziemy mieli szczęście i trafimy ich od razu. Nigdy nie wiadomo... – zapoznaje mnie ze swoim dobrze przemyślanym planem.

Patrzę prosto w jej wielkie, wyspane oczy. Część mnie pragnie, żeby została tu na zawsze. Siedziała ze mną całymi dniami na wielkiej, wygodnej kanapie, oglądała stare filmy, śmiała się, gdy podkładałam głosy pod fragmenty pozbawione fonii, wkładając

obsceniczne wiązanki w usta nobliwych sędziów. Ale nie mogę udawać, że mamy przed sobą nieskończoność.

– To się nie uda – mówię, bezlitośnie gasząc cały jej entuzjazm.

– Robert...

– Przykro mi, Almeida, ale nie damy rady tego zrobić w ten sposób. Materiału jest zbyt dużo, a po kilku godzinach oglądania tego bez przerwy, sam nie jestem pewien, czy jeszcze potrafię rozpoznać moich własnych starych.

Nie muszę być szamanem, żeby dostrzec w jej spojrzeniu pytanie o to, czy została tu ostatnią osobą, której jeszcze na czymkolwiek zależy.

– Gdybyśmy mieli odpowiednie oprogramowanie... – kontynuuję, balansując gdzieś na granicy wybuchu. – Pliki miały pieprzoną kolejność. Nie wiem. Gdybyśmy mogli w jakiś sposób ograniczyć ich liczbę. Ale przecież sam nie stworzę futurystycznego oprogramowania skanującego wszystko. Nie mam takiej wiedzy. Nie jestem pierdolonym Vincentem Noirem! I wtedy. Nagle.

W ciemności zapala się lampka.

Linia łączy kropki. Pojawia się plan. Który nie jest nawet planem. Ale to jedyne, co mamy.

– Przebieraj się! – mówię nagle.

– Co? Po co?

– Musimy odwiedzić pewne miejsce.

*

Pół godziny później wyskakujemy z taksówki wprost na ruchliwy chodnik. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak wtedy, gdy byłem tu po raz ostatni. Nie wiem dlaczego, ale przez całą drogę wyobrażałem sobie świeżo spalone zgliszcza, woń zwęglonych kabli i podeptane kwiaty. Widocznie ten organizm jest w stanie przeżyć bez głowy.

– Więc to jest?...

– Everybody Schadenfreude – wyjaśniam. – Prywatne wydawnictwo Leonarda, ale także centrum dowodzenia każdym z jego biznesów.

– I jesteśmy tu, bo?...

– Leonard był bardzo bogatym człowiekiem – mówię, otwierając przed Almeida drzwi. Wpuszczam ją do ogromnego hallu wypełnionego marmurem, szkłem i drewnem.

– Nie szczędził pieniędzy na rozrywkę, ale z drugiej strony inwestował też w rozwój technologii. Jeżeli nic się nie zmieniło, to wciąż powinien tu funkcjonować jego dział innowacji.

– Myślisz, że będą w stanie nam pomóc?

– Rozpracowali schemat działania wirusa, który pozbawił Ketkę systemu kontroli pogody. To powinno być dla nich banalne.

– Oby – mówi Almeida, wpatrując się z niedowierzaniem w szklaną rozetę wmontowaną w sufit.

Moją uwagę przykuwają bardziej przyziemne sprawy. Hall wygląda jak w każdy dzień tygodnia. Jest wypełniony życiem, spieszącymi się ludźmi, którzy próbują dogonić czas i taksówki. Niektórych z nich rozpoznaję: na przykład ulizanego mężczyznę w eleganckim, granatowym garniturze, który na spotkaniu przed koncertem siedział bez marynarki po stronie inwestorów. Jest też sekretarka, drobna blondynka, ostentacyjnie wypinająca swoje nienaturalnie wielkie balony zza biurka recepcji. Jej ostro wymalowane oczy wychwytyją mnie spomiędzy krzątających się osób. Przez dłuższą chwilę przygląda się mi z niezdecydowanym wyrazem twarzy. Ostatecznie dochodzi do wniosku, że jestem osobą, na którą czekała, i woła do siebie gestem.

– Pan Robert Welkin – mówi, a w jej głosie wciąż słychać pytanie.

– Tak – potwierdzam.

Dziewczyna bierze głęboki oddech. Być może to ulga albo po prostu zapowietrzyła się całym tym eksponowaniem biustu.

– Szef czeka na pana w gabinecie – rzuca, kierując mnie wzrokiem do wind.

– Ale...

– Prosił, żebym skierowała pana prosto do niego, na wypadek gdyby kiedykolwiek się pan u nas pojawił.

– Nie rozumiem – mówię, spoglądając na Almeidę, która wygląda na jeszcze bardziej zagubioną ode mnie.

– Wszystkie wyjaśnienia otrzyma pan w gabinecie prezesa. Zapraszam na górę. Zna pan drogę.

Znam.

Zostawiam Almeidę w hallu, tłumacząc, że to nie powinno długo potrwać, i ruszam do góry schodami, pokonując stopnie pojedynczo, dając sobie czas do namysłu. Do odwrotu. Ale głos rozsądku milczy, a nogi mimowolnie przyspieszają. Gdy docieram do końca czterdziestometrowego korytarza, już praktycznie biegnę. Bez pukania rozrzucam ciężkie drewniane wrota na boki i wpadam do sali tronowej. Budzące respekt, śmierdzące dymem pomieszczenie, w którym całymi dniami Leonard pisał historię tej gorszej, biedniejszej Ketry. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak zawsze. Poza skórzanym fotelem, na którym nikt nie siedzi...

Gdzieś w głębi duszy marzyłem o tym, że zastanę go tu z piętami w ręku i nogami na stole. Na mój widok strzeli niedopałkiem gdzie bądź, poderwie do pionu, uniesie ręce w geście zwycięstwa i oznajmi, delektując się jak zawsze dźwiękiem własnego głosu:

– Wygrałem, skurwielu!

Tak.

To byłoby idealne wyjście z tej gry. Skutecznie zniknąć, zatrzeć za sobą wszystkie ślady i jeszcze, korzystając z rozgłosu, zarobić na tym kupę kasy. Bardzo w jego stylu. Szkoda, że nie zdążyłem mu sprzedać tego pomysłu. A teraz już go nie ma. Zamiast niego jest ktoś inny.

Za moimi plecami drzwi zamykają się. Nie słyszę kroków. Ani oddechu. Tylko mechaniczne szczeknięcie broni. Moja głowa mimowolnie opada, a plecy wyginają w łuk. Ciało instynktownie kuli się, ucieka przed nieuchronnym zderzeniem z pociskiem. Myśli zostają w miejscu. Nawet nie jestem w stanie stwierdzić, czy to było dobre życie. Zresztą jakie to ma w tej chwili znaczenie?

Ale szaman mija mnie. Wolnym krokiem podchodzi do stołu i rozsiada się w fotelu.

– Przepraszam. Teraz trzeba uważać – wyjaśnia, odkładając broń.

Jego masywne cielsko wypełnia tron, z którego widać całe miasto. Udało mu się. Wreszcie jest na swoim miejscu.

– Wygrałeś, skurwielu – mówię, nie ukrywając pogardy.

Bo tylko tyle mogę zrobić. Splunąć i powoli wycofać się w kierunku drzwi. Red zdejmuje ciemne okulary, odkrywając przede mną swoje oczy. Czarne, zimne, przepelnione bólem. Tak jakby każda rzecz, którą widział, zostawiła w nich swój ślad. Być może teraz, gdy już osiągnął swój cel, będą mogły odpocząć w ciemnościach pod powiekami.

– Przegraliśmy – odpowiada, spuszczać wzrok. – Miałem go chronić. I zawiodłem.

– Wiesz, co ja myślę, Ed? Ty faktycznie możesz widzieć przyszłość. Widziałeś siebie na tym miejscu od zawsze, i patrz, spełniło się.

– *Kumamayo!* – warczy, waląc swoją ogromną pięścią w stół tak mocno, aż czuję to przez podłogę. – Leonard ocalił mnie. Dał dom. Życie. Nie mógłbym.

Postanawiam go już więcej nie prowokować. Uniknąłem kuli w tył głowy, ale jego ręce są równie skuteczne.

– Próbowaliśmy razem. Ty. Ja. Pamiętasz? – mówi, podchodząc do mnie. – Dziewczyna. Klub. Samochód. Wszyscy jesteśmy jednym. Podróżujemy w historii czasu. Od lat próbowałem ją zmienić. Wykoleić. Zrobiłem za mało.

– Mogłeś mnie po prostu zastrzelić tamtego dnia i miałbyś problem z głową.

– Zamiast ciebie byłby inny. Historia nie toleruje zmian. Naprawia je. Lepiej było pilnować.

– Kontrolować?

– Tak.

– Nakłść mi głupot do głowy, zmuszać do robienia wszystkich tych absurdalnych rzeczy, żeby zrealizować niemożliwy plan, który nie miał prawa zadziałać. Bardzo się cieszę, że mogłem się przydać, Red.

– Trzeba wrzucić wiele kamieni, żeby rzeka skręciła. Zrobiłem zbyt mało. Zbyt mało – powtarza jak mantrę.

Ale żadne jego rytualne zawrośnięcie nie sprawi, że dam się przekonać.

– Już zawsze będziesz wątpił – mówi, przeszywając mnie wzrokiem.

– Więc spraw, żebyś uwierzył. Powiedz mi, co się stanie? Znajdę ojca? Bzyknę Almeidę? Będzie szczęśliwe zakończenie? Dawaj. Przecież wiesz – prowokuję go.

Szaman zakłada z powrotem okulary. Idealnie czarna powierzchnia szkielec zatrzymuje wszystkie jego emocje wewnątrz. Jego głos znów jest jednostajny, niski, rzeczowy.

– Naprawdę? Chcesz zepsuć zabawę? – pyta, zbliżając się do mnie. – Chcesz wykonywać życie?

Odruchowo robię krok w tył, a moje plecy uderzają o drzwi.

– Czy może chcesz żyć? – kończy i robi kolejny krok w moją stronę.

Biorę głęboki oddech. Potrzebuję go. Potrzebuję powietrza. Nie potrzebuję natomiast jego bredni. Ani jednego słowa więcej.

– Idę, Ed. Mam rzeczy do zrobienia.

– Idź. Ja będę tu. Pilnował – mówi, po czym wraca do stołu.

– No tak, Leo zostawił po sobie kilka interesów, które wymagają opieki – rzucam przez ramię i otwieram drzwi.

– Równowagi, Rob. Będę pilnował równowagi.

*

Sekretarka nawiązuje kontakt wzrokowy, zapewne chcąc zapytać, jak przebiegła moja wizyta, czy wszystko w porządku i kiedy mogę znów zaszczyścić ich swoją obecnością. Ale ja jeszcze nie wychodzę. Chcąc uniknąć straty kolejnej cennej minuty mojego życia na czcze pierdolenie, łapię Almeidę za rękę i dość stanowczo wciągamy za sobą do windy.

– Co jest? Co się stało? – pyta, gdy już jesteśmy w środku.

– Nic. Po prostu nie chcę tu spędzić całego dnia.

– Wspomnienia, rozumiem – mówi, zupełnie nie trafiając z diagnozą.

Zauważam, ku mojej nieukrywanej radości, że im więcej przebywamy razem, tym gorzej idzie jej analizowanie mnie. Układ lekarz – pacjent, na którym zbudowaliśmy naszą znajomość, powoli przestaje istnieć. Skrócony dystans zawęży nasze pola widzenia. Stajemy się dla siebie nieczytelni, nieprzewidywalni. Ciekawsi.

Winda parkuje na poziomie minus dwa. Mijamy salę, w której lekarze Leonarda wybebeszyli ze mnie chipa, zaszywając w jego miejsce same wątpliwości. Następne drzwi to dział innowacji.

Zanim wejdem, zdążę jeszcze skomentować szczerym uśmiechem odręcznie wykonaną plakietkę przyklejoną na słowo honoru do drzwi, na której Leonard umieścił dumnie brzmiący napis: „Dział Przepalania Kasy”. Tuż po przekroczeniu progu wpadam na Rogera.

– Paniczu, długo oczekiwaliśmy przybycia twojego – mówi z właściwą sobie składnią, kłaniając się w pas dwukrotnie.

Almeida spogląda na mnie nieco rozbawiona, ale bardziej przestraszona.

– Nie pytaj – mówię, wciągając ją głębiej w galimatias białych uniformów i wielkich ekranów.

Stajemy razem z Rogerem przed centralnym hologramem wyświetlającym dokładnie ten sam obraz, który widziałem tu ostatnio – rytmicznie pulsującą bezkształtną obłoczną opisaną setkami najróżniejszych wykresów i parametrów.

– Analizujemy na dobę godzin dwadzieścia cztery – mówi. – Tylko to robimy.

– Nie rozpracowaliście go jeszcze?

– Tego nie rozumie nikt, paniczu – odpowiada, a w jego głosie słychać podziw i fascynację.

Postanawiam ubiec Rogera, który wygląda w tym momencie jak natchniony, i mam wrażenie, że lada moment rozpocznie jakiś bardzo abstrakcyjny monolog o losowo kompilowanych wartościach binarnych w asymetrycznym ciągu hybrydowym generowanym ad hoc, z którego zrozumie tylko swoje imię.

– Będę potrzebował waszej pomocy – mówię mu. – Mamy dziewięćset dni materiału filmowego, którego nie możemy w żaden sposób zeskanować. Potrzebujemy rozpoznać na nich pewne osoby.

– Konta obiektów potrzebne.

– Niestety nie ma takiej opcji.

– Model 3D? Film? Zdjęcie?

– Jedyne, co mam, to wspomnienia – mówię, wskazując własną głowę o nieco zmieszanej twarzy.

Roger przyjmuje wyzwanie, marszczy czoło i zabiera problem ze sobą, znikając w głębi pomieszczenia. Jeszcze przez chwilę widzę go przedzierającego dziarskim, trochę pokracznym krokiem pomiędzy współpracownikami. Jego wzrok skierowany w wysoki sufit, z którego niechybnie spadnie ulewa pomysłów.

– Dajmy mu kilka chwil.

– Okej, ale jeżeli się nie uda, wrócimy do tradycyjnych metod – mówi Almeida.

Naprawdę nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. Jej upór mnie zadziwia. Trochę męczy, a trochę inspiruje. Na szczęście w tym momencie czyjeś ręce łapią mnie za ramiona i zaciągają do przeszklonego pomieszczenia z wielkim białym fotelem zabiegowym. Asystenci proszą o zajęcie miejsca. Dostaję też do połknięcia jakąś tabletkę.

– Zrobimy, paniczu, tak – zaczyna Roger. – Wytniemy jedną setną sekundy z każdego filmu, podamy paniczowi zwiększający koncentrację środek i podłączymy do aparatury badającej mózgu aktywność w trzydziestym siódmym obszarze. Oko nie zobaczy, ale rozpozna mózg. Gdy maszyna zrobi „ping”, będziemy mieli to, czego szukamy. Materiał?

Almeida wyjmuje z oka soczewkę, ja zarzucam pigułę, popijając ją wodą z plastikowego kubeczka.

– Gotowi?

Robi mi się gorąco. Mogę przysiąc, że czuję atomy powietrza odbijające się o moją skórę i jestem w stanie je policzyć. W uszach słyszę szum przepływającej tętnicami krwi i nie muszę poruszać oczami, by widzieć praktycznie dookoła głowy.

– O, kurwa – mówię, myśląc jednocześnie o dziesięciu rzeczach naraz.

O zimnej skórze, którą obity jest fotel. O Almeidzie stojącej przy drzwiach, potęgującej wrażenie tymczasowości. O moim starym, który może w tym momencie siedzieć na rybach i wyciągać z wody żywe stworzenie, które zje albo nie. O wspomnieniu mojego starego, które może już być tak zatarte w pamięci, że nie potrafię być obiektywny, dodam mu aureolę, a mamie skrzydła. O tym, że chłodne powietrze pasuje do laboratorium, i zdziwiłbym się gdyby panował tu zaduch jak w piwnicy. O tym, że w sumie jesteśmy w piwnicy. O technologii, której nie rozumiem, ale jej ufam, bo została stworzona przez naukowców pięć razy mądrzejszych ode mnie, dwa razy wyższych, upośledzonych jedynie w kontaktach międzyludzkich. O Leonardzie, który był znanym koneserem kobiecych kształtów i sobie folgował, bo dymał dzień w dzień, a także nocami, nawet gdy był zmęczony czy nawalony, to i tak żadnej nie odpuszczał. O

tym, że tylko dwa procent osób ma wpływ na rozwój gatunku ludzkiego, reszta konsumuje i wydalą. Także o całym tym pieprzonym laboratoryjnym uniformowym konformizmie.

– Nie odpływa panicz, tylko na ekranie skupia – upomina mnie Roger i odpala pokaz.

Moje receptory zostają zaatakowane czarno-białą serią obrazów wypluwanych z częstotliwością, przy której seria z karabinu jest powolna niczym kapiący kran. Po dokładnie dwunastu sekundach maszyna robi „ping”!

Rozpoznaję ich natychmiast.

Scena zawieszona w przestrzeni, pełna ziarna klatka z filmu, który uchwycił zwyczajny moment z życia. Po lewej mój ojciec, ziewający, z przymrużonymi oczami i ręką założoną na tył głowy, po prawej mama, dużo młodsza niż w moich ostatnich wspomnieniach, z długopisem w ręku i kartką czekającą na atramentowy podpis. Dopiero gdy przypatrzę się chwilę dłużej, dostrzegam niepokój w tej z pozoru normalnej scenie. Ich wzrok jest skupiony na wspólnym punkcie poza kadrem. Być może to osoba, może zwykły przedmiot – taki jak drzwi, przez które muszą przejść. Cokolwiek to jest, jest ostateczne i nieodwracalne. Zauważam też, że mama trzyma długopis w zupełnie nienaturalny sposób, jakby złapała go w pośpiechu. Ich dłonie nie wiszą swobodnie. Są zamknięte. Pomimo dystansu, który ich dzieli, ich ciała wyraźnie są pochylone ku sobie. Podświadomie szukają kontaktu. Kadr urywa się na wysokości pasa, ale jestem w stanie założyć się o dużą kasę, że każda ze stóp jest mocno przyklejona do podłogi. Być może widać także delikatnie ugięte kolana przewidujące utratę równowagi, przygotowujące się do ucieczki lub walki. Więc dlaczego tata ziewa? No cóż, niektórzy reagują w ten sposób na stres. Moja pamięć jest w tym momencie wyostrzona, ale nie mogę znaleźć żadnej sytuacji, która potwierdzałaby lub obalała tę teorię. Zamiast tego odtwarzam sobie wciąż tę samą scenę, w której siedzę na jego ramionach i obserwuję rosnące metalowe szkielety na horyzoncie. Ojciec pokazuje mi każdą z wież po kolei, wymieniając ich nazwy, podając wysokość i liczbę mieszkańców. Gdy dochodzimy do Zero Tower, odstawia mnie bez słowa na ziemię. Patrzę wielkimi oczyma na białą igłę wbitą w popołudniowe niebo nasycone czerwienią i fioletem. Wydaje mi się tak nierzeczywista, ogromna i dostojna, że nie mogę o nią nie zapytać.

– A ta najwyższa, tato? Ile osób?

On uśmiecha się i mówi szeptem:

– Tylko jedna.

– Król? – pytam, wyobrażając sobie brodatego, sędziwego mężczyznę w czerwonych szatach i złotej koronie.

– Tak lubi o sobie myśleć – odpowiada.

Otwieram oczy.

Głowy. Dużo głów tworzących zwarty krąg. Nie da się ukryć, że wszystkie wpatrzone we mnie.

– Mózg?

– Nieuszkodzony.

– Tętno?

– Prawie w normie.

Próbuję się podnieść, ale nie mam siły. Jestem zbyt zmęczony. Jakbym całą tę podróż w czasie odbył pieszo. Roger pomaga mi wyprostować się w fotelu. Krąg rozluźnia się.

– Co się stało? – mówię, wywlekając z siebie ciche, chrypiące słowa.

– Uboczny skutek LD-49, będzie panicz żył.

Próbuję znaleźć Almeidę, ale w tym chaosie to niemożliwe. Ludzie przemieszczają się zbyt szybko, bym był w stanie rozpoznać ich twarze. Asystentka upewnia się, czy nie potrzebuję jednak dożyłnej aplikacji adrenaliny.

– Nie – mówi głos, który kiedyś znałem. – Organizm musi produkować sam zacząć.

– Po prostu pokażcie mu to.

Czyjaś dłoń kieruje mój wzrok na ogromny ekran. Zaszumiony, niewyraźny kadr przedstawia mojego ojca, który przeszedł z jednego do drugiego snu i teraz pochyla się nad biurkiem, na którym leży papier. Dotyka papieru przedmiotem, który zostawia na nim ślad. Kąt widzenia pozwala dostrzec kształt śladu. Ten chaotyczny mazaj, który może być jego imieniem, nazwiskiem lub inicjałami. Ale ważniejszy jest rząd cyfr pod nim. Dziewięć, dziesięć, dwa tysiące dwadzieścia cztery. Dziewięć, dziesięć. 9.10.

– Miałem rację, miałem rację – mówię, z powrotem zapadając się w ciemność.

– Jak się czujesz? Znaczenie tych słów powoli krystalizuje się w mojej głowie. To zdanie. Pytanie. Pytanie wymaga odpowiedzi. Patrzę na swoją rękę, do której wraca czucie. Stan nieważkości powoli mija. Zaczynam akceptować fakt, że to ciało należy do mnie. Nie jestem w nim, jestem nim.

– Lepiej – mówię powoli i podnoszę się do pozycji półsiedzącej.

Za oknem zachodzi słońce. Minał cały dzień. Nie pamiętam, jak wróciliśmy do domu, ale jestem tu. To daje mi poczucie bezpieczeństwa.

– Ten naukowiec, Roger, mówił, że po tak silnej stymulacji twój mózg przejdzie w stan tymczasowego spowolnienia. Pamiętasz, co się stało?

– Miałem rację – mówię, przewracając oczami po ścianach sypialni.

– Wiesz, co to oznacza? – pyta mnie Almeida, siadając na łóżku, tuż obok mnie.

– Że... oni nie mieli racji?

O czym jest ta rozmowa? Coś pojebałem.

– Robert! Hej! Chodź do mnie – mówi, przyciągając mnie za rękę. – Cholera. Muszę coś z tym zrobić, bo za często odpływasz.

– Ja? – pytam. – Dokąd?

Almeida rozpina suwak swojej bluzki.

– Dotknij mnie – mówi, przysuwając do mnie parę swoich krągłych, całkowicie naturalnych piersi.

Spoglądam w jej oczy. Wesole i lekko przymrużone. Almeida przygryza pomalowaną na wiśniowo wargę, uśmiecha się rzędem lśniących zębów. Moja prawa ręka natychmiast ląduje na jej dekolcie. Lewą odsuwam kurtynę fioletowych włosów i dobieram się do szyi. Wewnętrzzną częścią dłoni czuję jej twardniejący sutek. Prąd zaczyna płynąć w obwodzie. Zbliżam się na tyle, by poczuć mocniej ten słodki, przyspieszony oddech na swojej twarzy.

Pocałunek. Jeden długi pocałunek.

– No! – mówi powoli, ale zdecydowanie, odsuwając się ode mnie – tyle powinno wystarczyć.

– Wow... to było... to już? – pytam nieco zawiedziony. Mimo że czuję się, jakbym urodził się na nowo.

– Zalecenia lekarza.

– Wiesz co, chyba to jeszcze nie jest to. Mam lekkie zawroty głowy. Myślisz, że możesz coś z tym zrobić?

Almeida uśmiecha się, zapina bluzkę i wstaje.

– Czuję, że ogarnia mnie ciemność – wołam za nią. Bezskutecznie. Wychodzi z sypialni.

Więc wstaję. Robię sobie czarną, gorącą kawę, która pachnie mokrą ziemią, i zasiadam przed monitorem, żeby zobaczyć to jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze jeden. Bo to wszystko, co mam oprócz wspomnień. Jeden dziesięciominutowy, pozbawiony dźwięku i kolorów film nagrany kamerą monitoringu. Almeida siedzi przez cały ten czas obok, ciszą akceptując kolejne powtórki. Godzinę później ja też już mam dosyć.

Potrzebuję powietrza. Powinienem stąd wyjść. Wpakować nas w pierwszy samolot i wylądować dwanaście stref czasowych dalej. Ale nikt mi na to nie pozwoli. Na zewnątrz nie jest bezpiecznie.

Na razie muszę się zadowolić widokiem z okna – piękną panoramą białych wież Ketry, naznaczonych trzema pionowymi liniami.

– Rob, myślę, że powinieneś to zgłosić. Być może pozwoliliby ci...

– Jebać ich! – warczę.

I natychmiast tego żałuję. Ale Almeida wie, że to tylko odruch. Dlatego daje mi chwilę na ochłonięcie. Na przefiltrowanie tego gniewu, na przerzucenie przez głowę kilkunastu apokaliptycznych scenariuszy, w których widzę, jak Ketra płonie, jak zamienia się w pył, grzebiąc w zgłiszczach siedemnaście milionów idoli, którzy nie są niczym więcej jak zaczipowanymi małpami doświadczalnymi w tym chorym eksperymencie. I gdy już jest pewna, że powoli zaczynam się uspokajać, odzywa się znów, kompletnie zmieniając temat:

– Jaki on był? Opowiedz mi o nim, proszę.

– Leonard był... – zawieszam się, bo to też świeża rana. – Był...

– Inspirujący – podpowiada.

– Złe słowo.

– Był twórczy?

– To na pewno. Głównie tworzył chaos. Robił biznes. Czasami malował, pisał teksty, muzykę.

– Lubieś go?

– Hm... O ile można lubić kogoś, kto nieustannie celuje w twoją głowę z broni i naraża twoje życie w najbardziej wymyślne sposoby. Przebywanie w jego towarzystwie było trochę jak ćpanie – dawało kopa i zabijało powoli. Ludzie uwielbiali tę toksyczną atmosferę, dlatego gdziekolwiek się pojawił, natychmiast oblegały go tłumy. Ludzie podążali za nim. Różni. Niektórzy widzieli w nim genialnego artystę, który zamienił swoje życie w sztukę, inni podziwiali jego styl, nonszalancję, umiejętności biznesowe, cokolwiek. Wielu było tam tylko po to, by nie przegapić momentu, w którym Leonard potknie się i upadnie.

– Myślisz, że któraś z tych osób?...

– Myślę, że Leo doskonale znał zasady gry, w którą grał. Jeśli pytasz o nazwisko człowieka, który zabił Leonarda Constantine'a, to był to Leonard Constantine. Zgubiła go pewność. Zgubiło go to, że przestał odróżniać wiedzę od wiary.

Wracam na kanapę, siadam tuż obok Almeida i wyjmuję pusty kubek z jej dłoni.

– A tak w ogóle to mogłaś mnie czymś ukłuć – mówię, spoglądając prosto w jej oczy – albo po prostu wystraszyć.

– Tak. Rozważałam oblanie cię wrzątkiem i zepchnięcie ze schodów – zbywa mnie żartem. Ale ja nie odpuszczam.

– Więc dlaczego pocałunek?

– Może pomyślałam, że będzie najbardziej skuteczny...

– Znasz mnie. – Uśmiecham się.

– A może po prostu chciałam – mówi, rzucając mi zapraszające, wyzywające, intensywne spojrzenie, jedno z tych, które sprawiają, że ziemia ucieka spod stóp.

Ja na szczęście siedzę.

I przysuwam się trochę bliżej niej. Odkładam kubek na stolik. Jej dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym i kciukiem zbliża się do mojej twarzy. Almeida mruży jedno oko, przygląda mi się, jakby chciała sprawdzić, czy mieszczę się w kadrze. Czy to, co widzi, jej się podoba. Jej dłoń mija moją twarz. Zanurza palce w moich włosach i delikatnie przesuwając paznokciami po skórze głowy, coraz wyżej i wyżej. Potem wsuwa palce swojej drugiej dłoni pomiędzy moje i chwyta mnie naprawdę mocno, powodując ból. Teraz nie mam wątpliwości, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dokładnie w tym momencie jej bransoletka wibruje trzy razy.

A później jeszcze raz.

Jestem wystarczająco blisko, żeby zobaczyć swoje oczy przeglądające się w jej rozszerzonych źrenicach. Zamieramy zawieszonymi naprzeciw siebie, jak dwa lustra odbijające w nieskończoność tę samą pustkę.

– Zostałam wylosowana – mówi, wypuszczając moją dłoń.

*

– Chcesz drinka? – pytam, wyciągając butelkę z lodówki.

Almeida od dobrych dziesięciu minut siedzi na kanapie w tym samym miejscu, w którym zastała ją wiadomość.

– To trzeba uczcić – rzucam, stawiając z hukiem szklankę na blacie. – Ze stu milionów osób akurat wybrali ciebie. Akurat ty! – mówię, mocno gestykulując, sporo też rozlewając.

– Robert... – zaczyna smutno, ale nie pozwalam jej dokończyć.

– Spoko. Dam ci kilka porad, żebyś mogła się lepiej zaaklimatyzować. Tam na górze jest trochę inne powietrze. Bardziej rozrzedzone. Może się od niego zakręcić w głowie. Dlatego pamiętaj, że jak masz lęk wysokości, są na to tabletki. Wystarczy zgłosić

się do centralnego punktu medycznego w czternastej wieży. Dostaniesz je za darmo. W czternastce jest w ogóle rewelacyjna knajpa. Poziom dwudziesty ósmy albo dwudziesty dziewiąty. Nie pamiętam, dawno nie byłem. Koniecznie zamów chili con carne. Rozwali ci kubki smakowe, zobaczysz.

– Rob...

– Nie do końca wiem, jak to jest z wylosowanymi osobami, ale być może dadzą ci wybrać lokal. Unikaj niskich pięter i wszystkich wież o numerach powyżej trzydziestego pierwszego. Miejska legenda głosi, że mieszkania w Ketrze są zawsze nasłonecznione, ale to gówno prawda. Niektóre wieże prawie cały czas pozostają w cieniu Zero Tower. Poza tym... bez systemu kontroli pogody to i tak chuj...

– Zamknij się, do cholery!!! – wrzeszczy.

W jej oczach są łzy i wściekłość. Wbijają paznokcie w kolana. Ja opróżnięm szklanekę jednym łykiem.

– Nie idź tam. Proszę cię.

Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

Jej twarz znika pośród burzy fioletowych loków, ale nie muszę jej widzieć, żeby wiedzieć, że płacze. Przeze mnie.

Bo jestem jedyną osobą, która stoi jej na drodze. Nie mogę nie dostrzec piękna w tej tragedii. I już wiem, że nie mamy żadnego wyboru. Wszystko zostało zaplanowane z góry.

– Posłuchaj... – zaczyna cicho i powoli. – Zawsze wiedziałeś, jakie mam marzenie. Uciec stąd do lepszego miejsca.

– To „lepsze miejsce” wcale nie musi być adresem.

– Nie rozumiesz, Rob. Jesteś tu tylko przez chwilę i miałeś dużo szczęścia, ale niektórzy naprawdę żyją tu z dnia na dzień. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak wielką obietnicą dla mnie i dla wszystkich stąd jest życie bez stresu i zmartwień o tak podstawowe rzeczy jak praca, dom, przyszłość.

– Nie rozumiem, jak można chcieć funkcjonować w systemie, który bezkarnie robi z tobą, co chce? To gówno nie działa, jestem żywym przykładem. Prawda jest taka, że wszyscy tu na dole jesteście pieprzonymi hipokrytami! – wyrzucam z siebie. – Odkąd tu jestem, każdego dnia słyszę, jaka ta Ketra zła i zniewolona, jaka obrzydliwie bogata i zepsuta i jak bardzo słońce zasłania, ale wystarczy jedno zaproszenie do środka, i nagle wszyscy przestają podskakiwać, padają na kolana i zaczynają bić pokłony w podzięcie za bezpieczną przyszłość. Może trudno to dostrzec, ale wy już jesteście w Ketrze, tylko tej gorszej, bo pozwalacie górze dyrygować całym waszym życiem!

– Robert! – zaczyna ostro, ale zamiast setki bluzgów wydobywa z siebie tylko jeden ciężki oddech. – Ja wiem, że to nie jest żadna pieprzona ziemia obiecana. Ale to najlepsze, czym w tym momencie dysponuję. Nie będę miała drugiej szansy.

– Przy całej twojej wiedzy i doświadczeniu jesteś bardzo naiwna, Almeida.

– Jestem realistką – mówi, podchodząc do mnie na odległość kroku.

Wyciąga dłoń, być może po drinka, którego trzymam, ale ja natychmiast łapię ją za rękę i przyciągam bliżej. Jej ciało poddaje mi się, lecz słowa nie przestają atakować.

– Możesz mówić, co chcesz, ale ty nie jesteś stąd. Całe twoje życie zawsze było układane za ciebie, a tu kompletnie się pogubiłeś. To nie twoja wina.

– Myślę, że radziłem sobie całkiem nieźle – mówię, rozglądając się po wypasionym wnętrzu nienależącego do mnie apartamentu. Natychmiast dociera do mnie, jak słaby jest to argument.

– Jasne... – ironizuje.

– Byłem tam, widziałem to i już nigdy nie wracam! – stwierdzam stanowczo.

– Dzisiaj. Jutro. Być może za miesiąc. Ale co się stanie, gdy poczujesz, że codzienna monotonia odbiera ci powietrze? Że przypadkowa praca, którą akurat udało ci się znaleźć, nie pozwala ci poczuć choćby minimalnej satysfakcji, a z każdym kolejnym budzikiem z łóżka wstaje coraz mniej ciebie? Dalej będziesz szedł twardo pod wiatr?

– Ludzie się zmieniają.

– Ludzie się NIGDY nie zmieniają – rzuca. – Tylko uczą się lepiej kłamać.

Almeida odwraca głowę, a ja podążam za jej spojrzeniem, daleko, za okno, za wysoki biały mur.

– Być może jedyna szansa, jaką mamy, jest właśnie tam – mówi, oplatając mnie rękami.

Opieram głowę na jej ramieniu, zanurzam twarz w jej lokach i odwzajemniam uścisk.

– Nie bój się – szepcze mi do ucha. I ja też szepczę kilka słów tylko dla niej.

*

Zanim wyjdziemy, upewniam się, że wszystko jest gotowe. Siedem pięter niżej tłum rozpycha się i wylewa z wąskiego chodnika wprost na ulicę, tworząc zator długi na cztery skrzyżowania. Wystarczyła jedna niepewna informacja wpuszczona w sieć, żeby blogerzy połknęli haczyk i zwalili się tu szybciej niż straż jadąca do pożaru. Tylko dlatego, że podobno ktoś zna kogoś, kto może być blisko z kimś, kto chyba słyszał, że nowa mieszkanka Ketry prawdopodobnie przebywa w tym miejscu i być może o 22:30

uda się wraz ze swoim partnerem do miasta marzeń, by natychmiast odebrać nagrodę główną. Więc ty też musisz tam być. I oglądać nasze unikalne treści poprzedzone odpowiednio długim blokiem reklamowym.

– Gotowa?

Almeida daje mi znak. Zarzucam na nos ciemne okulary, chwytam butelkę whisky i gaszę światło. Chwilę później wbijamy się w zdeorganizowany, nabuzowany tłum, rozświetleni fleszami niczym pieprzone gwiazdy rocka. Z szumu głosów wychytujemy tylko pojedyncze zdania. „Co czujesz?”; „Za czym najbardziej będziesz tęsknić?”; „Ty kurwo!”. Almeida spokojnie i rzeczowo stara się odpowiedzieć na każde pytanie. Ja postanawiam być bardziej kreatywny. Walę whisky z gwinta i krzyczę prosto do najbliższej kamery:

– Wzięliśmy ślub godzinę przed losowaniem! Wiesz, co to oznacza, stary?

Próbuję zachęcić też wszystkich do skandowania: „strefa A”, ale nie spotyka się to ze zbyt dużą aprobatą. Ktoś pyta nas, czy nie martwimy się kończącym się odliczaniem, całym tym Vincentem i brakiem komentarza ze strony Ketry, ale zanim zdążę nakarmić ich jeszcze większą ilością niedorzeczności, Almeida chwytą mnie za ramię i szybko wciąga do taksówki.

Zaczynamy powoli przeciskać się przez ludzi, tworzących zwartą materię oblepiającą szyby auta.

– Kochanie – zwraca się do mnie – wygląda na to, że będziemy mieli najpiękniejszy miesiąc miodowy.

Widocznie spodobała jej się moja improwizacja. Postanawiamy nie wychodzić z roli i przez całą drogę rozprawiamy o tym, jaki będziemy mieli widok z okna, jaki kolor zasłon w salonie, jaką dostaniemy pracę. Mówię jej, że kupię sobie prawdziwy fortepian i pewnie nie nauczę się na nim grać, ale przynajmniej będę pijał przy nim wino, wyobrażając sobie, że komponuję dla niej. Obiecuję, że będziemy chodzić na długie spacerunki po ogromnych, zalesionych tarasach, zbierać liście i wkładać je pomiędzy kartki starych książek. Ona odpowiada, że będziemy mieli mnóstwo kwiatów i dużo światła, będziemy jedli leniwe sobotnie śniadania w łóżku i zestarzejemy się tam, a potem umrzemy spokojnie. Może trochę znudzeni, ale pewni, że przeznaczyliśmy dla siebie wszystkie chwile, które zostały nam dane, że żyliśmy do samej śmierci. Stary taksówkarz z siwą brodą i wyblakłym tatuażem na przedramieniu tylko ciężko wzdycha.

– Macie cholerne szczęście, dzieciaki.

Mam tak wielką ochotę mu powiedzieć... ale zamiast tego każę jechać szybciej. Brudna, duszna strefa B rozstępuje się przed nami i znika daleko z tyłu w kłębach gęstej nocy. My dryfujemy prosto w stronę światła.

Wywalony do ścieków, teraz wracam frontowymi drzwiami. Trochę przybrudzony, podrapany, z trzydniowym zarostem i alkoholowym oddechem wchodzę do idealnie białego pomieszczenia, a ochroniarze na mój widok mimowolnie sprawdzają, czy broń przy ich pasach jest gotowa do wystrzału. Jeszcze nie jesteśmy na górze, ale w tak zwanej recepcji – jedynym budynku należącym do strefy A, który nie został bezpiecznie schowany za jej wysokim murem. Prawdopodobnie jest to najpilniej strzeżone miejsce na Ziemi. Jedno z tych, którego nie można fotografować z kosmosu ani z ulicy i właściwie nie wolno o nim wspominać. Nawet doktor Benedict Way nie miał o nim nic do powiedzenia.

Ja już raz tu byłem, gdy miałem pięć lat, ale nie pamiętam niczego. Bo właściwie nic tu nie ma. Zimne aluminiowe krzesła, ściany wyłożone chaoitem, dwoje drzwi i jeden ogromny ekran. Do pełnego efektu sali szpitalnej brakuje już tylko delikatnej woni eteru.

– Dobry wieczór państwu, nazywam się Jolene von Hirsch i jestem szefową Departamentu Imigracyjnego miasta Ketra – twarz z ekranu mówi głosem, w którym nie potrafię rozpoznać żadnych emocji. – Proszę przedstawić się na potrzeby głosowej identyfikacji i określić cel swojej wizyty.

– Almeida Ceira, otrzymałam możliwość dołączenia do społeczności Ketry w drodze losowania.

– Bardzo dobrze, a pan?

– Jestem Robert Welkin i przyszedłem złożyć reklamację – mówię.

Kobieta mruga kilkakrotnie, jej wzrok odpływa poza ekran.

– Przykro mi, panie Welkin, ale nie mam pana na liście gości – odpowiada, rzucając długie spojrzenie przez całą salę w kierunku ochrony.

Słyszając narastający dźwięk kroków, Almeida próbuje się odwrócić, ale łapię ją za rękę i delikatnym ruchem głowy proszę, by tego nie robiła.

– Proszę sprawdzić jeszcze raz – mówię.

– Bardzo mi przykro – odpowiada kobieta z ekranu.

W tym momencie moja twarz ląduje na posadzce przyciśnięta kolanem. Drugi ochroniarz szorstkim gestem odsuwa Almeidę i odbezpiecza broń.

– Co z nim robimy, szefowo?

Przychodzenie tu było moim ostatnim złym pomysłem.

– Poczekajcie.

Ekran gaśnie, zostawiając nas zawieszonych w bezruchu. Całe moje życie skompresowane w przestrzeni pomiędzy palcem wskazującym a spustem. Wciśnięte w

płuca Almeidy, która powstrzymuje się od krzyku, żeby nie wywołać reakcji łańcuchowej. Mija minuta. Kolejna. Powoli tracę czucie w twarzy i nadzieję, że wyjdę stąd o własnych siłach. W jej spojrzeniu widzę tylko przerażenie i poczucie winy, które próbuję załagodzić ciepłym uśmiechem. Gdyby coś poszło nie tak, z tym chciałbym ją zostawić.

Marna namiastka po widoku eksplodującej głowy.

Dlatego ona nie chce mnie słuchać. Chce coś z tym zrobić. Raz po raz spogląda na wycelowaną we mnie broń i na podłogę, oceniając dystans, który dzieli ją od odwróconego do niej plecami ochroniarza. Kalkuluje szanse i ku mojemu przerażeniu zaczyna przesuwać się do przodu. Pół centymetra. Kolejne pół centymetra.

I wtedy on to zauważa.

Strach w moich oczach.

Odwraca się z bronią w kierunku Almeidy, tak energicznie, że nie jestem w stanie nic powiedzieć. Na szczęście wyręcza mnie kobieta z ekranu.

– Baczość! – wrzeszczy, w ostatniej chwili zatrzymując bieg wydarzeń.

Jej głos odbija się echem od białych ścian sali.

– Bardzo przepraszam państwa za to nieporozumienie – mówi, odzyskując dawną rzeczowość w głosie. – Okazuje się, że błąd systemu wymazał dane pana Welkina, ale już potwierdziliśmy jego tożsamość. Witamy państwa w Ketrze.

Ochroniarz zdejmuje kolano z mojej twarzy, podnosi mnie do pionu i starannie otrzepuje. Nie mam pojęcia dlaczego, skoro podłoga jest sterylna. Gdy następnie próbuje poprawić mi fryzurę, daję mu do zrozumienia, że nie trzeba. Jego kolega odkłada zabezpieczoną broń do kabury i wycofuje się na koniec pomieszczenia.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – mówi kobieta.

Drzwi pod ekranem rozsuwają się, ukazując długi, zalany światłem korytarz. Wchodzimy do środka, nie oglądając się za siebie, i maszerujemy tak w milczeniu przez kilkaset metrów w głąb ziemi, prosto do stacji podziemnej kolei próżniowej. Instrukcje głosowe proszą nas, abyśmy zajęli miejsce wewnątrz wagonu i nie zbliżali się do okien. Przed nami dziesięciokilometrowa podróż, której czas nie powinien przekroczyć trzydziestu sekund. Dosłownie chwilę później wysiadamy na peron po drugiej stronie muru. Almeida bierze głęboki oddech.

– Udało się. Naprawdę tu jesteśmy – mówi z ulgą.

– Tak, udało się – potwierdzam.

Przed nami pojawia się pani von Hirsch, czy jak jej tam, i jeszcze raz przeprasza za całe zamieszanie. Po kolei opisuje procedury, które czekają nas w kolejnych dniach, obowiązkowe szkolenia i badania, których grafik niebawem otrzymamy. Wyjaśnia także, że dopóki nie zostanie przeprowadzony proces ewaluacyjny, będziemy przebywać w

tymczasowych lokalach, które określa jako „nic szczególnego, ale w porównaniu z... sami wiecie, całkiem niezłe”.

– Niestety zostaliście państwo umieszczeni w zupełnie różnych budynkach – mówi, przywołując windę. – Dlatego wasz kontakt do zakończenia wszelkich formalności może być mocno utrudniony. Takie są procedury.

Wchodzimy do środka. Winda katapultuje nas w górę bez uczucia przeciążenia. Kilka chwil później jesteśmy już na osiemdziesiątym siódmym piętrze. Udaje mi się uchwycić co nieco z tego zapierającego dech w piersiach widoku za oknem. Sądząc po układzie wież, znajdujemy się w dwójce albo trójce, bardzo blisko Zero Tower. Dokładnie widać dwie świetliste linie na fasadach sąsiadujących budynków.

– My wysiadamy tutaj – oznajmia nasza przewodniczka, zapraszając Almeidę na zewnątrz.

– Do zobaczenia – mówię.

Ona podchodzi do mnie bez słowa i zarzuca ręce na szyję, ściskając mocno. Przez ubranie czuję jej dudniące serce.

– Do zobaczenia – odpowiada cicho i powoli rozluźnia uścisk, wycofując się niechętnie.

Kolejne drzwi zamykają się pomiędzy nami, pozostawiając mnie z samym sobą odbitym w ich lustrzanej powierzchni. Moja pokancerowana twarz wygląda jak rozmazana plama na tle wszechobecnej idealnie lśniącej bieli. Winda rusza z powrotem w dół.

To nie sen. To prawda. Znów tu jestem. Wszystko jest takie znajome i tak obce zarazem. Kolory, korytarze, zapachy, zwyczaje, gesty i słowa, muzyka w hallach i widoki. Nie ma drugiego takiego miejsca na ziemi.

Może i dobrze.

Klękam na podłodze i zakładam ręce za głowę.

Kilka sekund później do środka wlewa się cały oddział specjalny, który wywleka mnie z windy jak kukłę i wrzuca bez słowa prosto do szklanej celi.

Ze wszystkiego najgorsza jest nuda. Świadomość upływającego czasu, który zostaje bezpowrotnie zmarnowany. W takich warunkach mózg przyzwyczajony do bodźców kompletnie wariuje. Zaczyna wypełniać pustą przestrzeń wspomnieniami, pragnieniami, gniewem, całą tą toksyczną mieszanką, przed którą nie ma gdzie uciec, tylko jeszcze głębiej do środka. A gdy otwieram oczy po krótkim, niespokojnym śnie, z powrotem

siedzę na wprost ściany płaskiej jak linia życia, którego mogłoby nie być. To mało wymyślna tortura, ale bezlitosna.

Staram się nie myśleć o Almeidzie, ale to jedyne, co daje mi chwilę ukojenia. Jednocześnie przynosi ból, gdy zdaję sobie sprawę, że została tam zupełnie sama. Ale to silna dziewczyna. Da sobie radę – powtarzam w kółko, póki nie uwierzę.

Dzień drugi. Brak bodźców. Brak snu. Użyłem dziś toalety sto czternaście razy pod rząd, bo chciałem sprawdzić, czy mechanizm utylizujący odchody da się zepsuć. Inżynierowie, którzy stworzyli ten kibel wykonali kupę dobrej roboty.

Śnił mi się Jahred. Siedzieliśmy razem w restauracji i piliśmy herbatę, obserwując bacznie ulicę. Ja zadawałem pytania dotyczące ludzi, którzy przechodzili za oknem, a on na nie odpowiadał. Poznałem tak wiele historii, bo każdy jakąś przecież ma. Nie trzeba być szamanem, żeby je poznać. Wystarczy się zaangażować w rozmowę. A on robił to na odległość. Automatycznie. I mówił, że wiecznie boli go od tego głowa. Ale ja naciskałem, a on opowiadał cierpliwie o nauczycielce, która dziś na lekcji przeżyje załamanie nerwowe i rzuci swoją pracę na rzecz hodowania kwiatów, i do końca życia ani razu nie pożałuje tej decyzji, o zawodowym kierowcy, który podczas jednej ze swoich tras podwiózł dziewczynę, o której cały czas myśli, ale boi się zadzwonić, ale któregoś dnia się przełamie i zestarzeją się razem, o facecie, który właśnie idzie do kasyna przegrać całe swoje życie i osierocić dwójkę dzieci, z których jedno będzie znanym piłkarzem, a drugie przeżyje swoje dni u boku przyjaciela z dzieciństwa, o kobiecie słuchającej audycji, która zmieni jej życie, sprawi, że zrezygnuje z polityki i zacznie pracować z dziećmi, przejmując klasę po nauczycielce, która miała załamanie nerwowe. Tak wiele historii, marzeń i życia upchnięte w jednej minucie, w jednej ramce, w jednej szybie restauracji. I wszyscy oni nieświadomi świata innego niż ich własny.

Gdy wstałem, uderzyła mnie przerażająca myśl... skoro nie ocaliliśmy Leonarda, nie udało się zmienić historii, to znaczy, że wszyscy ci ludzie, których próbowaliśmy uratować, dostali dokładnie to samo, tylko z nieznacznym opóźnieniem. Z drugiej strony... czasem nawet dodatkowa minuta potrafi wszystko zmienić. A ja tracę ich tak wiele.

Tracę też zmysły, wierząc, że Red mówił prawdę.

– Wy kurwy pierdolone! – drę mordę, kopiąc w niezniszczalne drzwi.

– Proszę zachować spokój, w przeciwnym wypadku zostaną użyte środki przymusu bezpośredniego – zdehumanizowany głos informuje mnie o konsekwencjach uruchomienia ultradźwięków, które usmażą mój mózg, ale mam to w dupie.

Tłukę pięściami w przezroczystą powierzchnię, za którą znajduje się jedynie ciemność, zostawiając krwawe ślady na jej powierzchni. Po kolejnym uderzeniu ochrona uruchamia system wystarczająco głośno, by powalić mnie na ziemię, zbyt cicho, żeby uszkodzić organy wewnętrzne. Miotam się w agonii przez kilka minut po podłodze, czując jak szara masa bulgocze pod czaszką i próbuje wypłynąć gęstym strumieniem przez uszy. Gdy wreszcie nastaje cisza, podnoszę się z trudem i zataczam w kierunku łóżka. Chowam głowę pod poduszkę i nakrywam kocem, cały w drgawkach.

– To było ostatnie ostrzeżenie – oznajmia mechaniczny głos systemu.

Tata. Almeida. Tata. Almeida. Tata. Almeida. Gdzie jesteście, kiedy was potrzebuję?

– Wstawaj, to twój szczęśliwy dzień. – Ochroniarz budzi mnie szturchnięciem, rzucając mi coś w twarz.

To ubranie. Moje własne. Powyciągana bordowa koszulka na długi rękaw z rysunkiem drzewa, czarne spodnie dżinsowe i biała sportowa marynarka, z której ktoś wyrwał całą elektronikę umożliwiającą słuchanie muzyki i niechlujnie zaszył. Mimo wszystko i tak miła odmiana po więziennym łachmaniarskim szlafroku.

– No, dawaj, przebieraj się. Za dziesięć minut masz spotkanie na samej górze – mówi, dyrygując przed sobą elektryczną pałą.

– Górze?

Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Gdy jestem już gotowy, w celi pojawia się jeszcze dwóch strażników, którzy przynoszą ze sobą czarne matowe pudełko. Wewnątrz znajduje się obroża, w której już raz miałem okazję wystąpić.

– To nowy model. Bez prądu, ale z neurotoksyną – objaśnia jeden z nich. – Bardzo skuteczny, więc nie próbuj niczego głupiego, bo pan Retter będzie musiał sprzątnąć trupa ze swojego gabinetu.

Nie podoba mi się sposób, w jaki akcentuje słowo „trup”. Jakby to już było pewne.

Ochroniarze umieszczają mnie w jednoosobowej windzie, która jest szklaną tubą zamkniętą w przezroczystym tunelu ciągnącym się w nieskończoność do góry przez

bebechy Zero Tower. Z pogardą w głosie udzielają ostatnich instrukcji, zaczynając każde zdanie od „nie radzę”, a później patrzą, jak zaczynam unosić się wysoko. Coraz wyżej.

Mknę przez igłę niczym trucizna.

Tysiąc dwieście dwadzieścia pięć metrów później wyłaniam się spod podłogi w ogromnym, stylowo urządzonej gabinecie. Jest jeszcze większy niż na filmach. Jeszcze wyższy. A rozciągający się z niego widok jeszcze bardziej zatrważający. Widać stąd całe niebo nasycone gradientem barw, od czerwieni zachodzącego słońca, do atramentu wypełniającej zza horyzontu nocy. Ogrom przestrzeni ugina nogi w kolanach, wciska oddech z powrotem do płuc. Nawet wyświetlane na szybach z półprzezroczystym filtrem notowania giełdy, parametry techniczne miasta, pogoda i newsy nie są w stanie zakłócić tego widoku, do którego nikt nie ma prawa się przyzwyczaić.

Kanu Retter podnosi swój wzrok znad książki. Niespiesznie zamyka ją i odkłada na dębowe biurko, po raz pierwszy zaszczycając mnie swoim chłodnym spojrzeniem, które potrafi nauczyć pokory każdego, niezależnie od tego, czy ma pięć lat, czy pięć miliardów na koncie.

– Czytał to pan? – pyta, pokazując mi okładkę najnowszej książki Marka Navidsona wydanej przez Everybody Schadenfreude z przedmową autorstwa Leonarda Constantine’a.

– Niestety nie – odpowiadam.

– Dziwne, skoro pomógł ją pan stworzyć. Myślałem, że będzie pan ciekaw efektu, panie Welkin.

– Ostatnio byłem trochę zajęty. Brakło czasu.

– Czas... – powtarza za mną, spoglądając mimowolnie na swoją suchą i zniszczoną dłoń. – Ja widocznie miałem go trochę więcej od pana, bo dałem się pochłonąć tej fascynującej lekturze. I mam kilka przemyśleń, którymi chciałbym się z panem podzielić, oczywiście jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Proszę bardzo – mówię, opierając się o ścianę szklanej tuby.

– Nie, nie – protestuje – nie będzie pan przecież tak tam stał. Zapraszam.

Retter wciska przycisk na biurku, a drzwi windy rozsuwają się, wpuszczając do wewnątrz powietrze wypełnione ciężkim zapachem drewna i papieru. Zapachem starej biblioteki wypełnionej zniszczonymi książkami pełnymi pożółkłych i pozaginanych stron. Powoli przechodzę przez apartament, podziwiając szczegóły wystroju, po czym zajmuję miejsce w fotelu ustawionym naprzeciw masywnego biurka.

– Dziękuję – mówię i opieram się wygodnie.

– Więc, panie Welkin, wracając do tematu: książka pana Navidsona to bardzo ciekawe studium człowieka dążącego do osiągnięcia wolności – zaczyna.

Jego słowa są spokojne, wyważone i bardzo elegancko intonowane. Zdradzają ogromną świadomość melodii języka.

– Główny bohater decyduje się odrzucić po kolei wszystkie rzeczy ze swojego otoczenia, które mogłyby w jakikolwiek sposób go ograniczać. Zaczyna od swoich nałogów, a warto wspomnieć, że ma ich kilka. W drugiej kolejności pojawia się elektronika. Budzik, konsola, konto e-mailowe – wszystko to zostaje usunięte z jego codzienności. Mogłoby się wydawać, że to dość radykalne kroki, ale bohater pana Navidsona jest perfekcjonistą, niewybaczającym sobie żadnego błędu. Postanawia pójść dalej. Zrywa z pieniędzmi, jednocześnie rezygnując ze wszystkich usług i towarów, które tych pieniędzy mogłyby wymagać. To za mało. Rezygnuje ze zobowiązań wobec swojej dziewczyny, pracodawcy i właściwie każdego, z kim łączą go jakiekolwiek kontakty prywatne czy oficjalne. Bohater jest zadowolony. Pozostawiony samemu sobie dostrzega coraz większy sens w swoich działaniach, wynajdując kolejne sfery życia, które nakładają na niego niepotrzebne ramy. Czy może pan spróbować zgadnąć, co dzieje się na początku drugiego aktu?

– Hm. Podejrzewam, że bohater porzuca życie w zorganizowanym społeczeństwie.

– Lepiej! Pozbywa się moralności. Od tego momentu już niewiele rzeczy może stanąć mu na drodze do celu. Bohater egzekwuje nadane sobie prawo do bycia wolnym, przekraczając wszelkie możliwe normy, wytyczne i ramy społeczne, co w dużym skrócie sprowadza się do krwawej orgii rozpoczynającej trzeci akt.

– Mam przeczucie, że to historia bez happy endu.

– Wręcz przeciwnie, panie Welkin. Nasz bohater, nagi, głodny i oślepiiony w ostatecznym geście triumfu wyzbywa się ostatniego ograniczenia, jakim jest jego własna forma. Oстрыm kawałkiem szkła otwiera swoje żyły, uciekając z ram egzystencji. Bohater umiera. I triumfuje zarazem. Nie uważa pan, że to w pewnym sensie romantyczne?

– Uważam, że nie opowiada mi pan tej historii bez powodu – odpowiadam.

– Widzi pan, panie Welkin, wszyscy moglibyśmy z taką samą łatwością zostać zwierzętami. Ludzka natura jest trudna do poskromienia. Wystarczy tylko chwila nieuwagi, żebyśmy globalnie cofnęli się w rozwoju o pięćdziesiąt tysięcy lat. Jedyne, co nas przed tym powstrzymuje, to właśnie te „ograniczenia”. Zasady, które stawiamy wokół siebie, podobnie jak budynki dające nam schronienie przed deszczem. Wytyczne, dzięki którym możemy prawidłowo interpretować nasze emocje i zachowania, całą naszą egzystencję.

– No i nie zapominajmy o obrożach z neurotoksyną. One też dość skutecznie przywołują do porządku – mówię, podnosząc głowę nieco wyżej.

– Panie Welkin, jak pan myśli, co mogłoby się stać dzisiaj w tym pomieszczeniu, gdyby nie pewne środki ostrożności?

– Jestem przekonany, że rozmawialibyśmy dokładnie tak, jak w tym momencie.

Retter spogląda mi prosto w oczy. Jego ton staje się coraz bardziej chłodny.

– Obserwowałem pana, panie Welkin, bardzo dokładnie przez ostatnie pięć dni. Jest pan gwałtownym człowiekiem.

– Myślę, że wiele osób w moim położeniu pozwoliłoby sobie na chwilę słabości.

– Zmierzam do tego, panie Welkin, że TO – mówi, stukając twardym paznokciem w drewniany stół – i trzydzieści pięć pozostałych wież to najbardziej zaawansowany i przemyślany zbiór zasad, jaki dotąd stworzono. To kolejny krok oddalający nas od naszej zwierzęcości i gwałtowności. Tutaj wszystko ma swój cel i tylko w tym miejscu możemy w pełni skupić się na tym, co naprawdę dla nas ważne. Na udoskonalaniu człowieka – kończy, bardzo mocno akcentując trzy ostatnie słowa.

– Trochę szkoda, że jednak nie wszyscy mogą w tym uczestniczyć – mówię, kierując swoje spojrzenie ku feerii barw za oknem.

– Jeśli myśli pan, że wszyscy są tacy sami, jest pan ignorantem – rzuca ostro. – Absolutnie nikt nie znalazł się w moim mieście z przypadku. Także pan. I proszę nie robić takiej miny. Proszę nie zakrywać się fałszywą skromnością i w żadnym wypadku proszę nie dopuszczać do siebie myśli, że ma pan cokolwiek wspólnego z ludźmi, których spotkał pan poza granicami Ketry – mówi, uważnie studiując mowę mojego ciała, nad którą nie jestem w stanie panować choćby w połowie tak dobrze, jak on panuje nad swoją. – Jest pan praktycznie innym gatunkiem. A świadomość tego, świadomość własnej wartości to bardzo potężna broń podczas codziennych konfrontacji z życiem. Może to jest dobry moment, żeby dowiedział się pan czegoś o sobie. Jest pan gotowy?

– Zawsze – odpowiadam.

Okno za biurkiem zamienia się w ogromny, panoramiczny ekran, na którym wyskakują dane, wykresy i zdjęcia. Moje zdjęcia.

– To wyniki pańskich testów z ostatnich dwudziestu pięciu lat. Wszystkie mocno powyżej średniej, mimo że według wszelkich analiz nie posiada pan żadnych predyspozycji do bycia wybitnym. Żadnych – podkreśla. – Wręcz przeciwnie, pańskie zdolności koncentracji i przyswajania wiedzy znajdują się raczej w dolnych zakresach standardów Ketry. A jednak testy mówią same za siebie. – Ekran na krótką chwilę wypełnia się rzędem cyfr, z których większość to dziesięć i dziewięć. – Zawsze

myślałem, że ideał to coś pozbawionego wad, ale patrząc na pański przykład, skłaniam się ku myśli, że ideał może być czymś, co potrafi każdą ze swoich wad przewyciężyć. Jest pan inspirującym przypadkiem. Tym bardziej zabolęła mnie klęska, którą pan poniósł.

– Nie bardzo rozumiem – mówię.

Retter spogląda na mnie surowo spod swoich siwych, gęstych brwi.

– Otrzymał pan bardzo proste zadanie, z którego kompletnie się pan nie wywiązał.

– Nie przypominam sobie, żebym był briefowany.

– Pańska misja była zbyt oczywista, by ją wyjaśniać. Zbyt logiczna. Wydawało mi się, że poszukiwanie kontaktu z rodziną stanie się dla pana naturalnym odruchem w momencie poważnego życiowego kryzysu. Ale pan, panie Welkin, wolał zamiast tego poszukać wrażeń, łatwych pieniędzy, używek i przypadkowego seksu. Pan wolał rozproszyć swoją energię na rzeczy błahe i pozwolił pochłonąć się hedonistycznym zapędom, zamiast spróbować wykorzystać choćby minimum własnego potencjału. Jednym ruchem zaprzepaścił pan wszystko, nad czym tu tak długo pracowaliśmy.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego wam wszystkim tutaj tak bardzo zależy na znalezieniu mojego ojca? Co on wam zrobił?

Retter nie odpowiada. Jego spojrzenie na chwilę ucieka w kierunku bezkresnej przestrzeni za oknem.

I nagle wszystko staje się jasne. Jasne jak gruba pionowa linia na Zero Tower oznajmiająca zbliżający się koniec wielkiego miasta.

– Z całym szacunkiem, ale jest pan szalony, myśląc, że mój ojciec to Vincent Noir! – mówię do niego, jakimś cudem przeciskając ostre słowa pod obroźą ciasno oplatającą moją szyję.

– Myli pan szaleństwo z determinacją. Moje działania były logiczne – odpowiada niewzruszony. – W równaniu z tak dużą liczbą niewiadomych należy sprawdzić każdą kombinację, nawet jeśli jesteśmy pewni, że robimy to tylko po to, by ją odrzucić. A właściwie to jak dobrze zna pan swojego ojca?

– Wcale – odpowiadam zgodnie z prawdą – ale wiem, że to nie mógł być on.

– Widzi pan, panie Welkin, to jest dopiero pozbawione logiki stwierdzenie.

– Więc ustalmy – proponuję. – Całe moje życie zostało w jednym momencie zniszczone, bo chciał pan sprawdzić jedną z kombinacji?

– Oczywiście, jestem świadom poniesionych przez pana kosztów, ale, również z całym szacunkiem, są one niczym w porównaniu ze stawką, o którą toczy się gra – odpowiada chłodno. – Musi pan zrozumieć, że Ketra jest dla mnie warta każdej ceny i zrobię wszystko, aby ocalić ją przed tym...

Nie pozwalam znaleźć mu właściwej obelgi.

– Jak wielu oprócz mnie? – pytam, wcale nie łudząc się, że uzyskam odpowiedź, ale Retter sięga do swojej pamięci i odpowiada spokojnie.

– Wytypowaliśmy sto osiemnaście osób. Do chwili obecnej otrzymaliśmy sto siedemnaście negatywnych odpowiedzi. Jak pan widzi, mogę mieć trochę racji – podkreśla swoje słowa długą pauzą. – Żyjemy w erze technologii, więc nie skłamałbym, twierdząc, że znalezienie pańskiego ojca to tylko kwestia czasu, ale nasz czas kończy się dzisiejszej nocy. Nie dostaniemy go więcej, panie Welkin. Zawiedliśmy. I Pan, i ja.

Stary człowiek naprzeciw mnie rozkłada dłonie na grubych skórzanych ramionach fotela, chwytając je mocno. Jego okręt płynie dzisiejszej nocy po wzburzonym morzu. Na horyzoncie nie ma już ani jednego światła kierującego do bezpiecznego portu. Stary człowiek wie, że nikt z jego załogi nie może się dowiedzieć o strachu, który przepelnia jego myśli. To byłby dla niego koniec. Dlatego, paradoksalnie, jedyną osobą, z którą może porozmawiać tej nocy, jestem ja. I mimo że znajdujemy się na szczycie cywilizowanego świata, na samym wierzchołku góry usypanej z pieniędzy i technologii, to powietrze nie wypełnia tu prestiż, lecz samotność... i cisza.

Za oknami ostatnie wspomnienie krótkiego, zimnego dnia maluje się krwistą wstęgą nad znikającą linią horyzontu. Na powierzchni szyb elegancko pogrupowane informacje wyświetlają podsumowanie tygodnia na giełdzie, prognozę pogody na jutro i top listę memów z dwugłowym kotem, przypominając, że gdzieś tam, poza mikroświatem, w którym się znajdujemy, dalej toczy się życie. I będzie się toczyć dalej, niezależnie od tego, czy Ketra przetrwa tę noc, czy zamieni się w kupę gruzu.

– W sumie nie dziwię się pańskiej bierności – Retter odzywa się wreszcie. Jego głos jest inny. Niepasujący do wizerunku wyrachowanego mędrca, którym częstował mnie, odkąd tu wszedłem.

– Ja na pana miejscu też nie przejmowałbym się ojcem, którego nie było – rzuca drwiąco. – Ostatecznie to ja popełniłem błąd, bo założyłem istnienie braku w miejscu, które przecież zawsze było wypełnione... mną. Nie da się ukryć, że to ja dałem panu ten wspaniały dom. Nauczyłem funkcjonować w świecie. To ja wychowałem cię, Robercie – mówi, zwracając się do mnie po raz pierwszy po imieniu, prowokując mnie jeszcze bardziej. – Dlatego teraz znów tu jesteś. Wbrew intuicji i niezależnie od wszystkich swoich wątpliwości, wróciłeś do mnie.

Biorę głęboki oddech.

– Nie jesteśmy rodziną, panie Retter – mówię, wyczerpując naraz wszystkie rezerwy spokoju. – Mój ojciec jest gdzieś daleko stąd, a pan jest po prostu obcym

człowiekiem, właścicielem lokalu, w którym przyszło mi mieszkać. W żaden sposób to nie czyni z pana osoby, która może decydować o moim życiu. O jakimkolwiek życiu.

– Właścicielem lokalu? To dobre. Widocznie ćwierć wieku to dla pana wciąż za mało, by zrozumieć, czym jest Ketra.

– Ketra jest iluzją. Odzwierciedleniem zepsutej moralności usprawiedliwianej wyższymi celami. Proszę przeczytać uważniej książkę Navidsona, być może pozwoli panu lepiej poznać siebie.

Zauważam, że jego powieka zaczyna drgać. Suche dłonie zaciskają się w pięści, a usta wykrzywiają groteskowo. Ale wystarczy kilka sekund, dwa ciężkie oddechy i już jest po wszystkim. Zwłoki emocji spadają na samo dno czarnej otchłani, którą jest Kanu Retter. Jego głos odzyskuje chłodną rzeczowość.

– Dopilnuję, aby miał pan wystarczająco dużo czasu, żeby przemyśleć to wszystko jeszcze raz. Może pan odejść.

Z zaciśniętej pięści wysuwa się jeden palec wskazujący wewnątrz szklanej windy. Wstaję. Ale nie odwracam się, tylko wycofuję. Powolnymi krokami drepczę przez gabinet, do tyłu, jakbym odsuwał się od miejsca, którego już nigdy nie zobaczę. Jakbym chciał na zawsze wypalić sobie na siatkówce ten majestatyczny widok z najwyższej wieży, żebym później mógł go odtwarzać w nieskończoność w ciemnościach, pod powiekami.

Ale tak naprawdę to chcę, żeby on widział mnie. Moje zaciekawienie. Moje szczęście. Mój spokój. Wszystko to zawarte w jednym, nieobecny spojrzeniu, które przemyka nad jego ramieniem i zatrzymuje na ciemnej szybie zapisanej milionem informacji. Kanu Retter podąża za spojrzeniem. Powoli obraca się w fotelu. W jego ruchach widać ostrożność.

Tam, na niewielkim fragmencie multimedialnej szyby, pomiędzy mdłym teledyskiem plastikowej laski z fluorescencyjnymi cyckami a filmikiem z psem liżącym się po jajach, rozpoczyna się prawdziwy show.

Dziewczyna o fioletowych włosach wbija skalpel w swój nadgarstek. Retter włącza fonię, więc widok bryzgających strug krwi jest dodatkowo wzmocniony przesterowanym krzykiem. Skalpel nurkuje pod skórę. Ręka cofa się w naturalnym odruchu, ale Almedia zaciska zęby, ociera ramieniem łzy i wbija się głębiej w tkankę, wydłubując ostrzem na powierzchnię niewielki, zakrwawiony przedmiot. Ciało obce. Chip.

Skalpel uderza o podłogę. Ona podnosi kamerę ze statywu i podchodzi z nią do okna, pokazując nocną panoramę strefy B widzianą z okolic siedemdziesiątego piętra ósmej wieży Ketry.

– To chip, który zbiera o tobie dane bez twojej wiedzy. Ty też go masz. Jeśli urodziłeś się poza Ketrą, jest w twoim lewym nadgarstku. Jeśli mieszkasz tu od urodzenia masz go w mózgu – wyjaśnia. W tle słychać głośny trzask. Do pomieszczenia wbiega grupa jednakowo ubranych mężczyzn, uzbrojonych w elektryczne pały.

Tu nagranie urywa się. Zaledwie po minucie i trzydziestu pięciu sekundach. Ale nie potrzeba więcej.

Kanu Retter zamienia się w posąg. Nie jest w stanie spojrzeć w moją stronę ani obrócić się w kierunku drewnianego biurka, by wstukać kod i zaaplikować mi w szyję całą neurotoksynę tego świata. W pomieszczeniu pojawiają się dwaj mężczyźni w garniturach. Jeden z nich zdecydowanym kopnięciem w pieszczel posyła mnie prosto na kolana. Pyta o dalsze instrukcje. Zadaje to samo pytanie ponownie i ponownie. Ale Kanu Retter po prostu tam siedzi. Milczy. Jego zmęczone spojrzenie odbite przez szyby zamazane na czarno nocą wraca do niego głuchym echem.

Park Snowdena jest zupełnie pusty o tej porze roku. Gruba warstwa śniegu zawalająca niepodgrzewane chodniki i gęsto posadzone drzewa sprawiają, że całość przypomina bardziej dziką połąć lasu, niż miejski teren rekreacyjny stworzony do spacerów w niedzielne popołudnia. Natura szybko odebrała go miastu. Tak, żebyśmy pamiętali, że równie szybko zaopiekuje się całą resztą naszej sztucznej dżungli, jeśli zrobimy coś nie tak i nagle nas tu zabraknie. Czarne, mokre drzewa wyrastające z porannej mgły i zniszczona, zamarznięta fontanna, na brzegu której właśnie przysiadł czarny kruk. Wiele więcej tu nie ma. Brak nawet koloru, poza jednym, majaczącym w oddali błękitnym owalem wykrojonym z nieba pełnego ciężkich od śniegu chmur.

Nad Ketrą zawsze świeci słońce.

Nabieram w ręce mokrego śniegu i staram się ugnieść go tak mocno, żeby był twardy jak kamień. Śnieżka przelatuje tuż obok drzewa, w które celowałem, i rozbija się na kolejnym. Druga próba. Tym razem w punkt. Biały śniegowy czub ozdabia chropowatą korę. Udaje mi się trafić w cel jeszcze cztery razy, zanim stwierdzę, że to trochę monotonne, a poza tym moje rękawiczki są już kompletnie przemoczone i zaczynają marznąć mi ręce. Nie kupiłem wersji podgrzewanej. Nikt nie przewidział, że zima w tym roku będzie taka zimna.

Serwisy newsowe nie miały czasu puścić prognozy pogody, bo były zbyt zajęte roztrząsaniem rewelacji z Ketry. Teraz, po trzech miesiącach od usunięcia Kanu Rettera z funkcji burmistrza, napięcie powoli zaczyna opadać, ale i tak o dowolnej porze dnia

mogę odpalić portal z wiadomościami i zawsze znajdę tam Almeidę odpowiadającą po raz setny na te same pytania. Po raz setny streszczającą tylko epilog historii, która tak naprawdę się wydarzyła.

Bo w oficjalnych przekazach nikt nie znajdzie ani jednego słowa o tym, że zaplanowaliśmy to wspólnie, że wchodząc do Ketry, dokładnie wiedziałem, w co się pakujemy, więc wymyśliłem plan awaryjny, a później wyszeptalem go jej do ucha naprawdę cicho, bo cały czas byliśmy podsłuchiwani. Pozwoliliśmy Kanu Retterowi uwierzyć w to, że jest krok przed nami i tylko dlatego dzisiaj mogę rzucać śnieżką w drzewo po drodze na spotkanie z Almeidą, zamiast tracić zmysły w szklanej celi. Historia nie wspomni też o Leonardzie Constantinie, który jako pierwszy wyciągnął spod ziemi informację o chipach, ani o człowieku, który mu ją sprzedał, a którego imienia nawet ja nie znam. Wszyscy poznają uproszczoną wersję wydarzeń, w której to Almeida Ceira na oczach milionów widzów wygrzebała sobie z nadgarstka skomplikowane urządzenie inwigilujące każdą osobę na każdym piętrze w każdej wieży Ketry, na niespotykaną dotąd skalę. Zrobiła to, bo przez przypadek odzyskała świadomość na stole operacyjnym w środku nocy, chociaż dobrze pamięta, że tego wieczoru kładła się do łóżka. Anestezjolog nawalił. Takie rzeczy się zdarzają.

Najbardziej ironiczne jest to, że zagłada Ketry dokonana się nie z rąk Vincenta Noira, tylko samego Kanu Rettera, który tak zaciekle próbował jej bronić. Ludzie z wewnątrz zaczęli masowo opuszczać lub pozywać miasto w chmurach, a ci spoza muru postulowali zrównanie go z ziemią. Burzę główna uspokoił dopiero Jon Daud, który tymczasowo objął stanowisko burmistrza Ketry i okazał się zauważalnie mniej charyzmatyczny, ale zdecydowanie bardziej rozsądny i ugodowy od swojego poprzednika. W swoim emocjonalnym wystąpieniu pan Daud kategorycznie odciął się od dotychczasowych praktyk inwigilacji i ku zaskoczeniu wszystkich ogłosił, że od teraz i na zawsze Ketra staje się otwartym miastem, w którym każdy będzie mógł żyć, rozwijać się i pracować, a zgromadzony przez nią dorobek intelektualny zostanie uwolniony i dostępny dla wszystkich. W końcowych zdaniach swojego exposé ze łzami w oczach przyznał, że idealni to my wcale nie jesteśmy i że życzyłby sobie, żeby skaza, pionowa linia nakreślona na fasadzie Zero Tower, pozostała tam już na zawsze, tak by codziennie mogła przypominać nam o naszych niedoskonałościach i o tym, jak wiele pracy przed nami.

Vincent jak zawsze zrobił po swojemu. Nie tylko zlikwidował symbol i przywrócił pełną funkcjonalność oświetleniu Ketry, ale także zwrócił wszystkie kody systemu kontroli pogody, jednocześnie awansując do rangi superbohatera, o którym powstają nie tylko memy, ale także książki.

A co z Robertem Welkinem? No cóż. Ja po prostu cieszę się, że żyję, bo w momencie, gdy opuszczałem podniebny apartament Kanu Rettera, doczekanie kolejnego dnia wcale nie było dla mnie takie oczywiste. Spędziłem w celi długie siedemdziesiąt dwie godziny, podczas których praktycznie ani razu nie zdarzyło mi się zamknąć oczu. Moje ciało nieustannie przygotowane na atak. We łbie sieczka myśli, wspomnień, koszmarów i okazjonalnych happy endów.

A później zobaczyłem ją.

Nie halucynację, ale Almeidę. Prawdziwą. Wchodzącą do mojej ciasnej klatki w towarzystwie Jona Dauda i mówiącą, że już po wszystkim. Zdążyłem tylko wziąć ją w ramiona i usłyszeć, jak Jon mówi, że jest mu bardzo, ale to bardzo przykro. Nogi ugięły się same. Ciało upadło na podłogę przygniecione ogromem psychicznego i fizycznego wycieńczenia. Przez chwilę wszyscy myśleli, że to neurotoksyna. Że umarłem. Nie mogłem się nie uśmiechnąć, widząc ich miny, gdy po chwili otworzyłem oczy...

Z nieba znowu zaczyna sypać. Otwieram drzwi kawiarni Lilo. Niewiele osób wie, że swego czasu właśnie tutaj trzech najpoważniejszych graczy Ketry zwykło spotykać się, by dzielić i rządzić, a także delektować się kawą podawaną w niewielkich filiżankach. Dwóch z nich już opuściło ten świat. Dokładnie miesiąc po śmierci Leonarda pan Molten został odnaleziony martwy w swoim własnym biurze. To było jedno, czyste i precyzyjne cięcie zaczynające się w kroku, a kończące wraz z czubkiem głowy. Makabryczny widok.

Zamawiam kawę. Almeida wysłała mi powiadomienie, że jest już w drodze. Powinna być tu za dziesięć minut, bo ruch w centrum jest bardziej płynny niż zwykle. Filiżanka wypełniona parującym espresso ląduje przede mną praktycznie natychmiast. Młody mężczyzna, który ją przyniósł, odsuwa krzesło i dosiada się do mojego stolika. Spoglądam na niego lekko zbity z tropu i zauważam, że chyba nie jest kelnerem. Nie może nim być, bo – o ile dobrze pamiętam – w tym lokalu obsługa nie ubiera się w długie, czarne płaszcze i nie nosi skórzanych rękawic z obciętymi palcami. Nie ma też w zwyczaju dosiadania się do swoich gości, nawet gdy ci wyglądają na wyjątkowo samotnych. Mężczyzna gapi się prosto na mnie ciekawskim i nieustępliwym wzrokiem.

– W rzymskim systemie liczbowym nie ma zera – odzywa się po dłuższej chwili.

– Przepraszam, ale ja tu na kogoś...

– Naprawdę nie wiem, jak doszłicie do tego, że będzie zero, a później wielkie bum? Nie może być zera. Niczego. Wszystko kończy się na jedynce, jedności. Taki jest naturalny porządek wszechświata. Przecież istniejemy, tak?

Rozglądam się wkoło w poszukiwaniu ratunku, ale jak na złość jestem zupełnie sam. Nawet obsługa wiecznie wypytyująca o to, czy smakuje, czy kawka wystarczająco mocna, teraz cała schowała się na zapleczu.

– Jeśli chcesz o tym pogadać, to mogę dać ci namiary na moje konto – proponuję wciąż uprzejmym tonem. – Napisz do mnie, chętnie odpowiem, jak będę miał chwilę, ale teraz... naprawdę... jestem umówiony.

– Chodź, zbliż się – mówi, pochylając się nad stolikiem – powiem ci coś w tajemnicy. No, dawaj.

Nie ruszam się nawet o centymetr. Moje plecy ściśle przywarte do oparcia krzesła przeszywa dreszcz, ale wciąż stawiam bierny opór. On uśmiecha się. Kiwa głową, próbując dać mi do zrozumienia, że wcale nie ma złych zamiarów. Wreszcie podnosi się z miejsca, kładzie swoją rękę na moim ramieniu i poklepując mnie po nim, mówi zupełnie spokojnie:

– Mogę wejść na twoje konto, kiedy tylko zechcę.

W obliczu nowych faktów postanawiam już więcej nie protestować. Mój rozmówca spokojnie wraca na swoje miejsce i kontynuuje:

– Na północy jest miasto, nazywa się Hallba. Polecisz tam i zapytasz miejscowych o najstarszą knajpę na wyspie. Każdy będzie wiedział, o co chodzi. Jak już tam dotrzesz, zamówisz zupę rybną z papryką, na drugie stek w sosie grzybowym, a do tego płonącego naleśnika. Powtórz.

– Zupa rybna, stek z grzybami, naleśnik. Pamiętam.

– Fantastycznie. Wyjątkowo bezpośredni barman zapyta cię, kim, do cholery, jesteś i co tam, do cholery, robisz. Wtedy powiesz mu, że szukasz ojca... Jeśli będzie w dobrym humorze, poda ci właściwy adres. Nie zapomnij, żeby zjeść wszystko do końca i zostawić mu duży napiwek.

– Ale... ale...

Nie jestem w stanie sklecić zdania. On wstaje, zarzuca na głowę czarny kaptur i rusza do wyjścia, nie oglądając się w moją stronę ani razu.

W drzwiach mija się z Almeidą.

– Cześć. Wszystko w porządku? – pyta już z daleka.

Nie odpowiadam. Biorę łyk gorącej i gorzkiej kawy, a później chwytam ją za rękę i zabieram na drugi koniec świata.

2049

Wydanie pierwsze

© Rafał Cichowski i Novae Res s.c. 2015